

Czasami los  
wiedzie  
do miłości  
krętymi  
ścieżkami

KRYSTYNA  
**MIREK**

**KOLOR RÓŻ**

*Saga dworska*

zwierciadło

KRYSTYNA  
MIREK  
KOLOR RÓŻ  
*Saga dworska*

TOM II



## ROZDZIAŁ 1



Przekwitła, przerosła już w lesie jagoda! Którędy, którądy, gdzie ta panna młoda?!

Jasne powietrze słonecznego wrześnieowego poranka rozdarł zachrypnięty głos weselnego drużby, który świętował już od tygodnia i najwyraźniej coraz gorzej to znosił. Ku zaskoczeniu Julianny zebrani goście nie spojrzeli w stronę dziewczyny w bieli stojącej właśnie w progu domu, lecz na nią.

Nie był to życzliwy wzrok. Raczej sugerujący, że każdy dawno już zna rodzinną tajemnicę Łackich i chce się pochwalić, że udało mu się ją odgadnąć. Julianna poczuła się osaczona. Wcale nie przekwitła jeszcze ani tym bardziej nie przerosła. Skończyła dopiero osiemnaście lat. Tymczasem grube baby w chustkach na głowach i kwiecistych odświętnych spódnicach patrzyły na nią, jakby pilnie potrzebowała współczucia.

Bez potępienia, na to była zbyt lubiana, ale z wyraźną dozą litości.

Julianna odruchowo cofnęła się o krok, żeby się schować za plecami ojca i nadepnęła na nogę Dominikowi, temu dziwnemu parobkowi, który od wielu tygodni mieszkał w ich domu i mnożył tylko zagadki. Nikt nie wiedział, kim naprawdę jest.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Nie szkodzi – odburknął. Zero grzecznej usłużności, pokory właściwej służbie.

Od rana był wyraźnie zły. To też stanowiło pewną nowość dla całej rodziny. Nikt dotąd nie przywykł przejmować się nastrojami parobków, wykonywali polecenia i tyle. Ale Dominik dobitnie potrafił dać do zrozumienia, że jest wściekły, bo kazano mu być woźnicą na weselu. I nie zamierzał ukrywać swoich emocji.

– Chyba słowo „przepraszam” ci się należy – powiedziała zdenerwowana Julianna. Obserwowała go od tygodni i niestety wciąż miała więcej pytań niż odpowiedzi. Coraz bardziej ją ciekawił. – Czemu jesteś taki zły? – zapytała już spokojniej. – Wesele to radosna uroczystość. Cała rodzina Jackowskich świętuje. Wydali kuzynkę za mąż w rekordowym tempie. Nie braknie mięsiwa, poleje się wódka i mają podać ich najlepszą struclę drożdżową. Dwanaście kucharek piekło. – Spojrzała na niego, ale nie wyglądał na specjalnie oszołomionego tymi nowinami. – Służba też będzie dobrze się bawić – dodała. – Dostaniecie jedzenie, napitki. Ciesz się, że nikt na ciebie nie patrzy – zakończyła wreszcie, bo to było doprawdy mocno denerwujące, że do tego stopnia nic go nie ruszało.

– Nie jestem tego taki pewien – odpowiedział Dominik, nie zmieniając swojego ponurego wyrazu twarzy.

Faktycznie, miał trochę racji. Julianna podniosła wzrok i rozejrzała się wokół. Zobaczyła, że znów jest obserwowana o wiele intensywniej niż para młoda. Zawsze to główna atrakcja. Ale ta szybko się opatrzyła. Śliczna dziewczyna w odświętnej sukni i jej bardzo przejęty przyszły małżonek w surducie ledwo się dopinającym na okrągłym brzuchu. Aniela zrobiła dobrą partię. Maślarz był jedynakiem i też sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, że mu się trafiła taka śliczna panna.

Ale nie byli najważniejsi na swoim weselu.

Goście zwietrzyli główną sensację gdzie indziej.

Panienka z dworu na Zasławiu na wesele przyjechała sama. Wciąż bez narzeczonego. Tylko ojciec jej towarzyszył. Na dodatek dziewczyna gada z parobkiem jak z równym sobie, a czas mija. Zegar nieubłaganie odmierza sekundy do momentu, kiedy czas i konwenanse wyznaczają ostateczną granicę i dla Julianny nastanie koniec.

Zostanie starą panną. Najgorszy los i nie ma znaczenia, czy to w chłopskiej chacie, czy we dworze. Kobieta niczyja, ta, której nikt nie wybrał, nie jest szanowana nigdzie.

Julianna zdawała się zupełnie tego nie rozumieć, choć uchodziła za wyjątkowo mądrą panienkę.

Tak było w rzeczywistości. Nie zgadzała się z tym.

Dlaczego oni tak się mną interesują? – zaczęła się zastanawiać. Panien na wydaniu przecież nie brakowało. I niejedna miała problem z dostatecznie szybkim znalezieniem męża.

– Oni wiedzą – wyszeptała nagle. Dotarło to do niej w jednym momencie.

– Tak myślę – przyznał Dominik, który stał tuż za nią i słyszał, co powiedziała. A ona znów spojrzała na niego uważnie. Ten człowiek zawsze rozumiał, o czym się mówi. W lot łapał każdą myśl i potrafił wyciągać dobre wnioski. Już się przekonała, że jeśli warto z kimś rozmawiać, to właśnie z nim.

– Jak to możliwe? – zapytała. – Tak dobrze się ukrywamy.

– Tak dobrze to wam się tylko wydaje – odparł. – Państwo myślą, że liczy się tylko to, co na salonach, a służba żyje w innym świecie. A tymczasem oni wszystko słyszą.

– Przecież wiem – zdenerwowała się Julianna. – Zakazaliśmy im gadać.

– Jakby zakazać wiatrowi wiać – westchnął. Czasem Julianna wiedziała naprawdę dużo, ale bywały monety, gdy jej dziewczęca naiwność brała górę. – Każdy ma jakiegoś ukrytego narzeczonego, o którym jeszcze nikt nie wie, szwagra z długim językiem, prymitywną teściową albo ulubioną przyjaciółkę. I wszyscy gadają. Zawsze ktoś nie wytrzyma i pochwali się nowiną, zwłaszcza taką,

– Jak to gadają?! – zdenerwowała się. – Przecież wyraźnie ci mówię, że ojciec zabronił.

– Zakazać ludziom plotkować, to jakby wydać dekret, żeby rzeka płynęła pod prąd lub deszcz padał z dołu do góry. Albo kury śpiewały serenady zamiast gdać. Możesz na nie wrzeszczęć, ile chcesz, ale one i tak odpowiedzą ci w jedyny sposób, jaki potrafią.

Znów mu się przyjrzała. Nie mówił jak parobek, ale przecież nim był. Co za dziwny człowiek. Ale bez wątplenia miał rację. Sama mogła na to wpaść.

– O rany! To będzie okropne wesele – uświadomiła to sobie.

Nie była pewna, czy Dominik ją usłyszał, bo orkiestra znowu zagrała skoczną głośną muzykę, radośnie obwieszczając wszystkim, że panna młoda przywitała się już ze swoim przyszłym mężem i teraz zmierzają w stronę pięknie przystrojonej bryczki, by udać się do kościoła.

Została chwilę sama, bo ojciec wmieszał się w tłum. Wielu chciało z nim porozmawiać. Suchy i wysoki Jackowski, ojciec równie suchego i wysokiego syna, bardzo docenił fakt, że Łąccy przybyli osobiście do domu sąsiadów, żeby być obecni przy przywitaniu młodych. W ogóle tata cieszył się ostatnio sporym powodzeniem. Spłacił długi i mógł radośnie zaciągać nowe, bo znowu miał debet u Żyda. A że lubił biesiadować, stawiać i pożyczać innym, nie troszcząc się, czy będą mieli z czego oddać, to był powszechnie lubiany.

Julianna zacisnęła zęby. Chciała uciekać, ale Dominik dyskretnie położył jej dłoń na plecach i skierował w stronę powozu. Wszyscy pakowali się już do swoich pojazdów, by ruszyć orszakiem pełnym roześmianych, rozśpiewanych wesołych ludzi wprost do kościoła. Parobek Łackich wyróżniał się na tym tle nie tylko faktem, że był bardzo przystojnym młodym mężczyzną, którego ciało wyrobiło się w ciągu ostatnich tygodni w ciężkiej fizycznej pracy, lecz przede wszystkim swoim posępnym spojrzeniem.

Julianna miała ochotę usiąść obok niego. Zapytać o to wszystko. Co się stało, że miał taki zwarzony humor. Nie ciekawiły jej wcale przechwałki ojca, który odnalazł wreszcie córkę i opowiadał właśnie, że znalazł fenomenalny sposób na świetny interes. Będzie teraz razem ze starym Grzelakiem handlował gorzałką.

Julianna tylko westchnęła.

Tata miał całkiem niezłe pomysły. Być może w rękach kogoś doświadczonego takie przedsięwzięcie mogłoby przynieść sukces, ale ona wiedziała, że jeżeli tych dwóch lekkomyślnych mężczyzn dopuści się do takiego interesu, to będą chodzić wiecznie pijani, rozdawać swój towar za darmo i świetnie się przy tym bawić.

Mama przez jakiś czas na herbatkach będzie opowiadać o świetnych perspektywach męża, aż dotrze do niej, że żadnych takich nie ma, za to są kolejne długi.

– Bądź ostrożny, tato – powiedziała, ale obruszył się. Już dziś trochę wypił. Przy pięknie udekorowanej bramie wjazdowej każdy gość dostawał poczęstunek: pędzony w domu bimber o wielkiej mocy.

– Czemu ty jesteś ciągle taka poważna? – zapytał Ignacy Łacki z pretensją przez zaciśnięte zęby. Jednocześnie uśmiechnął się i uchylił kapelusza przejeżdżającej sąsiadce. – Jak masz sobie w takich warunkach znaleźć męża? Popatrz, Żalczyk tu jest. Uśmiechnij się do niego, wyprostuj, przemyśl swoją decyzję. On wyraźnie daje ci szansę, a nie musiałby. Młody Jackowski zresztą też.

Tak. Julianna jeszcze wyraźniej poczuła, co ją czeka przez cały wieczór. Każdy jej gest,

uśmiech czy słowo będą szeroko komentowane, każda odmowa tańca, choćby i z podpitym kawalerem, uznana za niepotrzebną dumę, brak rozsądku.

Większość ludzi uważa, że panna na wydaniu, która zbyt długo czeka na swoją kandydata, tym samym pozbawia się wszelkich praw. Nie ma prawa odmawiać, podejmować decyzji, wyrażać własnego zdania. Ma tylko robić to, co zwiększa jej szansę. Najpierw na miłość, ale potem już na znalezienie kogokolwiek.

Julianna właśnie odczuła, że niespodziewana późna ciąża mamy wiele zmieniła. Już nie była jedyną dziedziczką dworu. Za kilka miesięcy mógł się pojawić prawdziwy spadkobierca. Syn.

Zacisnęła gwałtownie powieki. Też czekała na to dziecko, ale czasem było jej bardzo przykro. Rodzice odsunęli ją na boczny tor, jakby nigdy nic dla nich nie znaczyła. Mówili, co innego, ale ona wyraźnie to czuła.

Pochyliła ramiona, a tata znów spojrzał na nią z przyganą.

Pewnie miał swoje racje. Nie tylko ona to widziała. Zmiana rzucała się w oczy każdemu. Najbardziej sensowni kandydaci już jej nie brali pod uwagę. Na przykład taki Malinowski. Wrócił właśnie z wojska. Prawdziwym cudem nie stracił ręki, nogi, oka ani rozumu. To rzadko się zdarzało. Teraz zamierzał gospodarzyć na ojcowym sporym kawałku ziemi i znaleźć sobie żonę. Jeszcze rok temu byłaby pierwszą kandydatką na jego liście, ale dziś nie spoglądał w jej stronę i nie przyszedł się przywitać, kiedy przybyli. W ogóle mało osób to zrobiło. Jedynie starsi mężczyźni ściskali ręce jej ojca. I do niego mieli najwięcej spraw.

Julianna opuściła głowę. A tata tylko westchnął. Znów zmniejszyła swoje szanse. Ale jakie to miało znaczenie? Ludzie wiedzieli, że matka jest w ciąży, choć ukrywała się w czterech ścianach domu, wymawiała się od wszelkich wizyt a to bólem głowy, to znów kobiecymi sprawami. Dominik miał rację. Taka wieść nie ma szansy się ukryć. Suknię trzeba było coraz bardziej poszerzać, mamie wyjątkowo dopisywał apetyt i informacja rozniosła się po wsi.

Do Julianny zaczęło docierać, że naprawdę została z niczym. Nie mogła zrozumieć tej logiki, jakby życie ukarało ją za to, że jest dobra dla swoich rodziców. Spłaciła ich długi, oddała swój posąg.

Czy to jest w porządku? Nie mogła tego pytania zadać ojcu. Znowu by się zdenerwował. Zresztą nie znał odpowiedzi i sam nigdy nie zaprzętał sobie głowy podobnymi dywagacjami. Bawił się.

W dzieciństwie uwielbiała go za to. Sprawiał, że ich dni stawały się radosne, a świat – przyjaznym miejscem. Ale gdy przestała być dzieckiem, coraz częściej dostrzegała, że ta postawa ma bardzo wysoką cenę. Konsekwencje radości życia prezentowanej przez ojca płacą jego najbliżsi. Czy jeśli jej braciszek się urodzi, to zanim skończy osiemnaście lat, majątek ojca będzie jeszcze cokolwiek wart? Czy też będzie musiał jak ona szukać kogoś z posągiem i pieniędzmi, żeby ratować rodzinę?

Dojechali do kościoła, a ona poczuła przemożną ochotę, żeby uciec.

– Źle się czuję, tato. – Ścisnęła jego dłoń. – Idź pierwszy. Ja postoję chwilę na powietrzu i dołączę do ciebie.

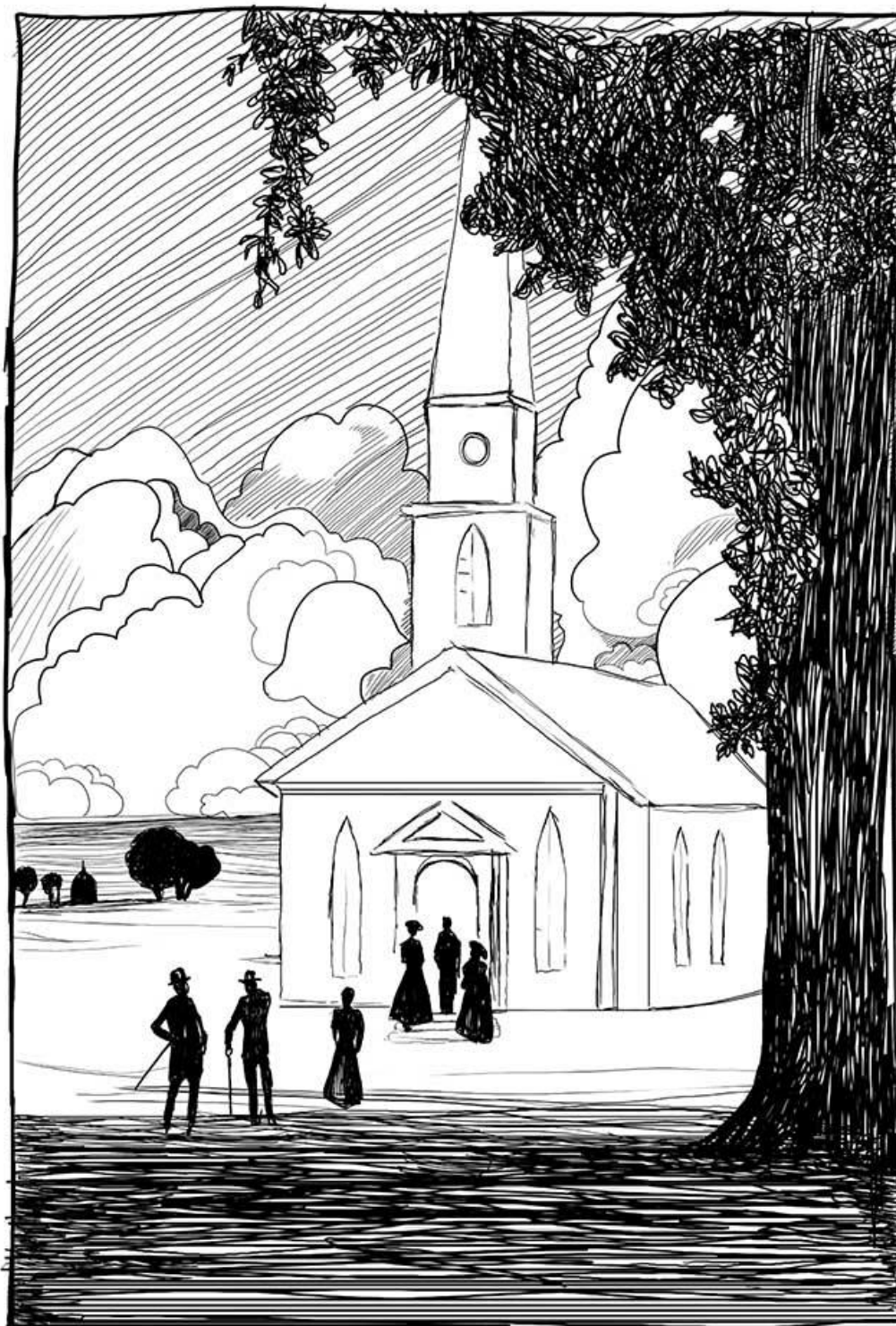
To już na dobre go rozzłościło.

Oprócz ponurej córki gorsza jest tylko taka, która słabuje.

Zwłaszcza przed ślubem, bo potem, jak już złowi jakiegoś naiwniaka, może sobie pozwalać na fanaberie. Ale w tym najbardziej trudnym momencie, kiedy trzeba się zaprezentować od jak najlepszej strony, każda oznaka słabości może sprawić, że plotki rozniosą się po okolicy, a krótka lista kandydatów na męża jeszcze się zmniejszy. Rozmawiali o tym wielokrotnie. Nie pomogło.

Sprytna, mądra Julianna na rynku matrymonialnym radziła sobie wyjątkowo słabo, nawet jeśli się starała.

Ignacy Łącki pospiesznie się uśmiechnął, choć doprawdy nie miał na to ochoty. Ale właśnie podszedł właśnie do niego Żalczyk. Juliannie skinął uprzejmie głową, a z ojcem się przywitał, co nie było takie oczywiste, bo ostatnio rozstali się w gniewie.



Łącki postanowił wykorzystać okazję, by naprawić relacje. Mężczyźni ruszyli razem do kościoła. Żalczyk nie zaproponował Juliannie swojego ramienia, choć właściwie powinien. Miała iść za nimi zgodnie ze swoją pozycją, jako córka i panna na wydaniu, dwa kroki z tyłu.

Ani myślała to robić.

Odwróciła się w stronę Dominika.

– Możesz zostać ze mną chwilę? – zapytała.

Kiwnął głową, ale minę miał zaciętą. Co ten człowiek miał w sobie takiego, że kiedy mu się wydało polecenie, zachowywał się, jakby doznawał osobistej obrazy? Jak on w ogóle przetrwał tyle lat? Pewnie tylko dlatego, że był dobry. Pracowity i silny. Dawno już domyśliła się, że to z powodu swej dumy musiał pewnie uciekać z poprzedniego miejsca pracy, o którym nigdy nie wspominał.

Tłum gości wymieszał się, a potem wepchał do niewielkiego kościoła. Ci mniej znaczący zostali na zewnątrz, służba pilnowała koni, a Julianna, korzystając z zamieszania, odeszła nieco w bok. Weszła pomiędzy wierzby płaczące rosnące tuż nad niewielkim strumieniem, przeskoczyła go, podnosząc fałdy swojej odświętnej sukienki, po czym ruszyła dalej w stronę gęstego brzoźowego zagajnika. Za sobą słyszała kroki Dominika. Nie zostawił jej, choć pewnie miał taką ochotę. Czuła to całą sobą.

Odwróciła się gwałtownie, a on wpadł na nią i gdyby jej nie podtrzymał, mocno obejmując, z pewnością by się przewróciła. Szybko wyszarpnęła się z jego objęć. Ten mężczyzna działał na nią bardzo mocno, a nie była aż tak głupia, żeby sobie pozwalać na romans z parobkiem. Poprawiła fałdy sukienki i spojrzała mu w oczy.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego tak nie znosisz wesel? – zapytała. – Zwykle jesteś zły na cały świat, ale dziś przechodzisz samego siebie.

– Mam swoje powody – odparł.

– No jasne – oburzyła ją ta wymijająca odpowiedź. – Nikt nie zasługuje na to, żeby wiedzieć, co jaśniepan parobek sądzi na jakikolwiek temat. Mieszkasz u nas od lata i jeszcze nawet nie podałeś swojego nazwiska.

– Nie mogę – powiedział.

– Pewnie jest jakieś brzydkie. Jak się nazywasz? Gumiak. Pyra, a może Zgnilak? – denerwowała się.

– Nie... – powiedział cicho. – To ładne nazwisko, ale boli.

Od razu się uspokoiła i pożałowała swoich cynicznych słów.

W ten sposób rozbrajał ją już wiele razy. Nie można się złościć na człowieka, w którym wyczuwa się prawdziwe cierpienie. To nie był kaprys, wiedziała, że jej nie okłamuje. Ma ważny powód. Było jej przykro, że nie chce z nią rozmawiać, nic jednak nie mogła na to poradzić.

– Nie chcesz, to nie mów. – Wzruszyła ramionami, odwracając się od niego. Żłote liście brzoź czy czerwonych o tej porze dębów stanowiły o wiele ciekawszy widok.

Stała tak przez chwilę, oddychając pospiesznie. Czas mijał, w kościele zapewne zaczęła się już uroczystość. Nikłe były szanse, że ktoś nie zauważył braku dziedziczki z dworu tuż obok ojca w rodzinnej ławce. Tym bardziej że nie przyjechała także mama. Julianna zdawała sobie sprawę, że z każdą chwilą pogarsza swoją sytuację.

Ale coś ją blokowało. Nie mogła się ruszyć. Na myśl o tym, że ma tam wrócić, nogi jej sztywniały, ciało obejmował paraliż i tak trwała bez ruchu. Ojciec pewnie się wścieknie. To jednak za chwilę. Pan Łacki nie wyjdzie teraz z kościoła, by zwrócić córce uwagę, i nie zaciągnie jej siłą do środka, bo to by wywołało jeszcze większy skandal.

– Przepraszam panienkę – odezwał się wreszcie Dominik.

O, proszę – pomyślała. – Nie wytrzymał.

Rzadko się do niej zwracał jako pierwszy i była o to zła, choć przecież to nic dziwnego. Parobek. Dzieliła ich przepaść.

– Myślę, że powinniśmy już iść – powiedział łagodnym tonem. – Jeszcze nas kto tutaj zobaczy, bez przyzwoitki, sami... Tej waszej bonie to ja bym uszy oberwał... Jakby tak mojej córki pilnowała, miałyby za swoje.

– Daj spokój. – Julianna wzruszyła ramionami. – Dawno przestałam być dzieckiem. Poza tym ona gdzieś tu się kręci, zaraz mnie znajdzie.

– To się trzeba przenieść na dobre do tego drugiego świata i dorosnąć – powiedział. – Żeby panienka nie utknęła na dobre pomiędzy dzieckiem a kobietą.

– Wyjść za męża, tak? – Odwróciła się gwałtownie w jego stronę. – Wszyscy macie tylko jeden pomysł. A co, jeśli ja nie chcę?

– Nie znam się. – Nie patrzył jej w oczy, kiedy to mówił. – Ale wydaje mi się, że większość dziewczyn o tym właśnie marzy. Młodych chłopaków w sumie też.

– Ale ty nie. – Zaskoczyła go i chyba tylko dlatego odpowiedział szczerze.

– Ja tam za ślubami nie przepadam. – Ścisnął mocno czapkę, którą trzymał w dłoni, a potem ruszył w stronę kościoła. – Idę – powiedział. – Z dwojga złego lepiej, żeby ktoś tu zobaczył pannienkę samą niż ze mną. Za dużo u was tych skandali.

– A skąd ty się tak dobrze znasz na zasadach panujących we dworze? – zapytała, ruszając za nim.

– Każdy się zna – odpowiedział wymijająco. Biegła, żeby usłyszeć jego słowa. Dominik szybko się oddalał. – Służba żyje waszym życiem bardziej niż się spodziewacie – dodał.

– Co masz do wesel?! – zawołała jeszcze, ale po minie od razu poznała, że kontakt się zakończył i nic już dzisiaj nie usłyszy, zwłaszcza osobistego. Dominik stawiał wielkie kroki swoimi długimi nogami, a ona biegła za nim, choć to naprawdę nie wypadało. Miała ochotę szarpnąć go za ramię i wydusić z niego więcej informacji. Niejeden służący wiele by dał za taką chwilę spoufalenia z państwem, chętnie by gadał o swoich sprawach, a ten nigdy. Temu jednemu nie zależało.

Zniknął właśnie, skręcając w bok, zanim zagajnik zaczął się rozrzedzać. Julianna sama odeszła w stronę kościoła. Stała w cieniu wielkiego kasztana.

– Gorąco panience? – zapytała szeptem mleczarka, obserwując zarumienione policzki i przyspieszony oddech dziedziczki Łąckich.

– Tak. – Skinęła głową Julianna wdzięczna za to wytłumaczenie. – Musiałam się trochę przewietrzyć.

Odeszła kawałek dalej. Nie chciała bowiem wdawać się dłuższą pogawędkę. Czowała na sobie spojrzenia wszystkich osób, licznych weselnych gości, którzy uczestniczyli w uroczystości na zewnątrz.

Rozglądała się za Dominikiem. Miała do niego sporo spraw, ale on oczywiście zniknął. Taką miał tajemną moc. Był w tym o wiele lepszy niż ona, mimo iż reprezentowała naprawdę niezły poziom. Też się potrafiła schować, ale nie tak. Każdy ma jakiś talent. Babcia umiała świetnie leczyć, Julianna rozpoznawała ludzkie problemy, a Dominik zniknął. No i oczywiście milczał. A ona – choć miała tak wysoko rozwiniętą intuicję – nie potrafiła nawet w przybliżeniu domyślić się, o co temu dziwnemu człowiekowi chodzi i dlaczego tak ją fascynuje.



## ROZDZIAŁ 2



Dominik podszedł do wozu i dla formalności sprawdził, czy koń jest dobrze przywiązany. Z trudem zachowywał spokój. Oprócz panien młodych w bieli, weselnych bryczek, kwiatów, orkiestry oraz wystrojonych ojców to właśnie konie wzbudzały w nim najgorsze skojarzenia z tamtym pamiętnym dniem.

Gdyby Siwek się wtedy nie zerwał, co by z nim było? Może już by nie żył? Nie miałyby szansy łapać tego kolejnego oddechu, który właśnie zaczerpnął, zjeść dzisiaj śniadania, patrzeć, jak chmury przepływają spokojnie po niebie. Jakby nic się nie stało. A przecież wydarzyło się coś niewyobrażalnego.

Kiedy pan Łącki kazał mu dzisiaj zaprzęgać i wieźć ich na to wesele, omal nie zaryzykował wszystkim. Miał ochotę chlasnąć go batem, zaprotestować, rzucić mu czapkę pod stopy i powiedzieć, że rezygnuje, odchodzi.

Ale miał przyjaciela, za którego był odpowiedzialny, i do tego nadchodziła zima. Już wiedział, jak ciężko jest dwóm bezdomnym znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Dach nad głową i coś do jedzenia. Bez nazwiska, pieniędzy, rodziny czy znajomych. Wiedział już, jak to jest być napadniętym, okradzionym, pobitym, głodnym.

Choćby człowiek był bardzo silny, kiedy napotka przewagę liczebną w obcym miejscu albo w nocy, staje się bezradny.

Cudem więc prawdziwym zacisnął usta, wcisnął do środka wszystkie te słowa, które parły, by je wypowiedzieć, a potem posłusznie zawiózł ich w to okropne miejsce.

Starał się nie mrugać. Ledwo bowiem tylko przymknął powieki, widział Emilkę. Pannę młodą w bieli z czerwoną plamą krwi na piersi. Teraz znów to do niego wróciło. Zaatakowało z całą mocą. Aż usiadł obok wozu, oparł łokcie na kolanach i złapał swoją udręczoną głowę mocno w dłonie. Myśli zdawały się rozsadać mu czaszkę.

Czy to wszystko prawda? – Po raz tysięczny to pytanie wypełniło go w całości. – Czy to w ogóle możliwe?

Tak bardzo chciał pojechać tam i sprawdzić. Teraz już wiedział, że to nieuniknione. W końcu będzie musiał to zrobić. Jeśli bowiem nie zobaczy na własne oczy grobu rodziców i brata, rodzinnego dworu w rękach tego zdrajcy i kolaboranta Brackiego, nie uwierzy. Jak miał się jednak dostać taki kawał drogi? Jechali konno wiele dni, a teraz już nie miał swojego Siwka, tylko własne nogi. Kto wie, ile by mu to zajęło. Może trzy tygodnie? Pan Łącki nie będzie tyle czekał na parobka, nikt mu nie da tak wielu wolnych dni.

Tymczasem Józek zadomowił się w tym dworze i świetnie czuł. Jeśli tęsknił za swoją rodziną, to odbywało się to u niego jakoś inaczej. Od dłuższego już czasu przyzwyczajał się do myśli, że opuści rodzinną chałupę i pójdzie na swoje. I to „swoje” pojawiło się tutaj. Był młodym wesołym chłopakiem, dobrze tańczył, rwał się do roboty i szybko znalazło się wiele dziewczyn chętnych do tego, by iść z nim nad rzekę na spacer. Józek leżał wieczorami w sianie i rozważał różne opcje. Może Marycha, może Kasia, może Anula? Którą wybrać?

Dominik często zasypiał kołysany jego wywodami. A bo ta jest ładna, a tamta z kolei miła, a ta znowu najmłodsza w chałupie i wszystko zostanie dla niej. Ale inna zaś porwała go za serce i nie może przestać o niej myśleć. Ledwo doszedł do jakiegoś wniosku, myślał sobie: no tak, to się zgadza, niech będzie Anula, to zaczynał, że jednak z drugiej strony... – i wszystko zaczynało się od początku.

Dominik sobie tego nie wyobrażał. Jak mógłby w ogóle zastanawiać się nad nowym życiem, nad jakimiś dziewczynami, skoro jego serce zostało zmiażdżone, stłuczone, pokrojone na kawałki?

Siła życia w człowieku jest czymś niewiarygodnym. Trudno było mu uwierzyć, że on sam wciąż trwa, wstaje, ubiera się, wykonuje swoją pracę. W tym akurat cierpienie nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, zaciekłość, jaka w nim rosła, dodawała mu sił. A umiejętności przekazane przez rodziców sprawiały, że szybko stał się we dworze ważną osobą. Liczono się z jego zdaniem, dziwiono temu, jak wiele potrafi.

Nikt przecież nie wiedział, że szykowano go do innego losu. Nie parobka, lecz pana we

dworze. Latami przygotowywano. I choć nie był najstarszy, nigdy nie miał odziedziczyć rodzinnego domu, to jednak zakładano, że ożeni się z jakąś posażną panną i tak czy inaczej, stanie właścicielem ziemskim. Tymczasem spał na słomie, mył się rano przy studni, jadł suchy chleb i zasuwał fizycznie. Takie życie.

Za chwilę miały się rozdzwonić dzwony. Cały się spał. Będzie musiał znieść widok jakiejś dziewczyny w bieli. Uginać się pod naporem wspomnień. Czekać do końca tej uroczystości być może wiele godzin.

Czuł się tutaj całkiem obco. Wśród tych ludzi cieszących się weselem. Ale z drugiej strony rozumiał ich. Nie miał za złe. Życzył im, żeby tych chwil szczęścia mieli jak najwięcej, korzystali z tego, że przynależą do jakiejś rodziny, społeczności, znają swoje miejsce. On już na zawsze miał pozostać wyrzutkiem bez własnego kawałka ziemi, a nawet nazwiska, którego od tak dawna nie odważył się głośno wypowiedzieć.

Pozostał mu tylko Józek, dawny parobek z ojcowego dworu, który Dominik musiał opuścić w tak dramatycznych okolicznościach.

No i ta biedna panienska Julianna, jedyna pracowita osoba w całej tej lekkomyślnej rodzinie. Być może traktował ją trochę jak młodszą siostrę, której nigdy nie miał, pewnie dlatego, że ona też sprawiała wrażenie niezwykle samotnej osoby. Była jedynym głosem rozsądku. Widział, jak pracuje, biega i opiekuje się prababcią, leczy ludzi, zbiera zioła, chce, żeby jej życie było pożyteczne.

– A ta panienska Łącka – usłyszał jak na zawołanie głos z tyłu. – Ta już chyba całkiem do niczego musi być, że ją ten Żalczyk wypróbował, ale mu się nie spodobała i odstawił. Teraz taka zużyta to już na pewno męża nie znajdzie.

– Widać miał powody. – Ktoś drugi włączył się natychmiast do rozmowy.

Dominik poczuł, jak cała złość na ten fatalnie urządzony świat, w którym niewinni ludzie cierpią, wciąż trwają wojny i nie pozwala się żyć, tylko wiecznie ktoś musi wszystko niszczyć, zaczyna w nim rosnać do niespotykanych rozmiarów. Cały żal, rozpacz spotęgowana przez to wesele, które o wszystkim mu przypomniało, zalała mu oczy, mózg i sprawiła, że policzki się zaczerwieniły, a ciało przeszedł gorący dreszcz.

Wstał i odwrócił się. Tuż za nim rechotało dwóch wyjątkowo nieprzyjemnych chłopów pilnujących pańskich koni. Znaleźli sobie temat do rozmowy. Zapewne nie oni jedni. Niszczenie panińskiej czci to zawsze świetny motyw do plotek. Raz rzucona iskra ma tendencję rozprzestrzeniać się błyskawicznie.

– Zamknij się! – wrzasnął do pierwszego z nich.

– Bo co? – oburzył się chłop. Był dość wysoki, choć chudy. Nieprzyjemny uśmiech odsłonił brzydkie pożółkłe zęby. – Będziesz się stawiał za panienkę? – rzucił ostro. – Oni tam ciebie bronić nie będą. To bogacze.

– Nic nie zrobiła! – zawołał Dominik na dobre już wkurzony, co wyraźnie spodobało się jego przeciwnikowi. Chyba lubił zwady. – Jest niewinna! – krzyknął.

– A tobie skąd to wiedzieć? – Drugi z mężczyzn przysunął się bliżej i Dominik poczuł nieprzyjemny zapach przetrawionej gorzałki. – Może próbowałaś? W sumie teraz to już panience nie zależy. Jeden więcej, jeden mniej, co to za różnica? Nikt się nie dowie... Może być i parobek, skoro taki urodziwy – zarechotał, a kilka osób od razu mu zawtórowało.

Więcej nie zdołał powiedzieć, bo odepchnięty poleciał gwałtownie do tyłu. Jego kompan naskoczył natychmiast na Dominika, ale on szybko się obronił. Jednak bójka urozmaicająca długi czas oczekiwania okazała się atrakcyjna dla większej ilości nudzących się mężczyzn.

Do bitki rzucili się kolejni parobkowie. Właściwie nawet nie wiadomo było, który z nich po czyjej stoi stronie. Lali się zawzięcie nawzajem, oddając sobie ciosy i atakując zaciekle. Konie zaczęły rzeć i płoszyć się, a także szarpać na swoich powrozach.

Dominik odsunął się kilka metrów dalej, zaskoczony rozwojem akcji. Otarł krew spływającą mu z rozbitej wargi. To było niewiarygodne, jak szybko konflikt się rozprzestrzenił i jak tłukli się ludzie, którzy przecież w gruncie rzeczy nic do siebie nie mieli, nie zwracając nawet uwagi na to, że ten, który zaczął, już w tym nie uczestniczy.

– Co jest, psia mać?! – Z kościoła wyskoczył jeden ze starszych druzbów. – Co tu się uprawia?! – Porwał szybko bat i zaczął nim na ślepo okładać tłukącą się służbę. – Spokój mi tu natychmiast! Koni pilnować! Cisza! Książdz dobrodziej właśnie Najświętszy Sakrament do góry pod-

nosi, a wy co tutaj wyprawiacie? O co właściwie poszło?

Nikt się nie odzywał. Mężczyźni wstawali, otrzepywali obłocone ubranie, odszukiwali swoje czapki i ocierali skrwawione twarze. Jeden masował sobie dłoń, inny kolano, wszyscy milczeli.

– Jeszcze z wami pogadam! – huknął drużba. – Psie juchy! Kto to widział?! Za dobrze wam chyba na dworskich posadach. Głodu wam trzeba! Zaraz zaczniecie szanować robotę.

Nikt nie odważył się odezwać.

Chwilę później konie znów stały spokojnie, a parobkowie i furmani zdołali się doprowadzić do porządku. Zapanowała cisza. Słyszeć było z kościoła pieśń maryjną. Msza za chwilę miała się skończyć.

I tylko gdzieś w powietrzu, delikatnie jak szmer opadających jesiennych liści, niosła się plotka, że panienska Julianna musi szybko sobie znaleźć męża, bo może to być dla niej ostatnia szansa, skoro jest już tak źle, że najprostszy parobek, na dodatek przybłąda, musi bronić jej honoru.

### ROZDZIAŁ 3



Trzeba nam się i porozmawiać. – Ignacy Łącki okrutnie się skrzywił, wypowiadając te słowa. Późno wrócił z wesela. Za dużo wypił, nie mógł w tłumie gości znaleźć Julianny i był ogólnie wściekły z wielu powodów.

Na śniadanie zszedł jako ostatni.

Jego żona dawno już zjadła, w ciąży dopisywał jej apetyt. Kwitła. Wygładziły jej się zmarszczki. Miała rumiane policzki i bardzo dobry humor. Trochę przytyła, ale nie na tyle, by stanowiło to problem. Za to z wielką przyjemnością zjadała się smakołykami z dworskiej kuchni, która – napędzana kolejnymi długami zaciąganych lekką ręką przez męża – obfitowała w dobrodziejstwa.

– Jak było na weselu? – zapytała, obracając się w stronę schodzącego po schodach Ignacego. Był zmięty, nieogolony, zmęczony i wyraźnie w złej formie. Opary alkoholu zadawały się unosić nad nim, zdradzając, że intensywnie omawiał swoje przyszłe interesy. Domyśliła się tego i była przygotowana. – Masz tutaj. – Podała mu garnek z sokiem z kiszzonej kapusty. – Wypij do dna, a potem idź, umyj się przy studni zimną wodą i chwilę przewietrz. Przygotowałam ci też herbatę imbirową i owsiankę. To dobre na kaca.

Julianna siedziała przy stole, ale nie odezwała się ani słowem. Wiedział, że zna jakieś receptury od prababki, które może szybciej by pomogły, ale nie zamierzał się prosić.

Spojrzał na obie swoje ukochane kobiety z mniejszą niż zwykle życzliwością. Wyraźnie miał ochotę coś powiedzieć, ale jednak wstrzymał się na chwilę i wyszedł na podwórko. To był niezły pomysł. Chłodne powietrze było ożywcze.

Józek, parobek, już tam stał. Doskonale znał procedury. U jego dawnego pana po każdej większej zabawie było dokładnie tak samo. Naciągnął już do wiadra lodowatej wody. Od wielu tygodni dni stawały się coraz krótsze, a noce chłodne.

Pan Łącki zanurzył dłonie w wodzie, a potem ochlapał twarz. Przetarł ją energicznie, prychnąwszy na wszystkie strony. Od razu zrobiło mu się bardzo zimno, a mimo to ściągnął koszulę i jeszcze opłukał cały tors, a potem znowu twarz.

Parobek podał mu ręcznik. Mężczyzna wytarł się, włożył koszulę i zrobił kilka kroków. Poszedł kawałek w sad. Trząsał się. Miał nadzieję, że to tylko z zimna. Prócz tego bowiem przepełniała go wielka złość. Liczył, że jak zrobi kilka kroków na świeżym powietrzu, to się trochę uspokoi. Chyba mu jednak nie pomogło. Chociaż myśli rzeczywiście stały się odrobinę przytomniejsze i mniej bolała go głowa. Sok z kiszzonej kapusty nieco też uspokoił żołądek. Łącki najwyraźniej potrzebował większego wsparcia.

Uporczywie spacerował, aż z zimna zdrętwiały mu stopy.

Wrócił do domu, wszedł do sieni, głośno tupiąc, po czym przekroczył próg jadalni i usiadł przy stole. W milczeniu spożył owsiankę, a potem wypił herbatę z drogim imbirem, słodzoną miodem.

– Na obiad zadysponowałam żurek, nasz dworski, najlepszy – powiedziała pani Łącka, patrząc na niego ze spokojem. Widywała już męża w gorszej formie. – To też ci pomoże. Ale powiedz, mój drogi, czemu jesteś taki zły? Co poszło nie tak? Ktoś ci uchybił? Żle się bawiłeś? A może brakowało ci żony? – próbowała żartować.

– Co poszło nie tak?! Co poszło nie tak? – przedrzeźniał ją, aż pobladła zaskoczona tym ostrym tonem. – Wszystko! – zawołał.

Julianna poczuła, jak pod gardło podchodzi jej strach. Wydawało jej się, że zna to uczucie. Czasem, kiedy biegła z prababcią ratować czyjeś życie, towarzyszyły temu naprawdę mocne emocje. Kiedyś odwiedziła prababcię w jej domku, znalazła ją na podłodze. Staruszka zemdliała i to był moment, kiedy Julianna naprawdę się przeraziła. Ale teraz to było coś jeszcze większego. Wierzyła w swoje siły, tego nauczyła ją prababcia, ale miała wrażenie, że za chwilę stanie się coś, z czym nie zdoła sobie poradzić.

– To za długo trwa – powiedział pan Łącki surowo. – Cackamy się z nią jak z księżniczką, a ona przynosi rodzinie tylko wstyd. – Spojrzał z gniewem na córkę. – Gorzej już być nie może.

– Boże, co ty mówisz?! – Pani Łącka złapała się za serce, a potem odruchowo objęła Ju-

liannę za ramiona. Ich jedyne, ukochane dziecko, śliczna dziewczynka, oczko w głowie obojga rodziców.

– Tyle się nasłuchałem głupich uwag, co nigdy w życiu – żalił się Ignacy. – Nie dość, że się nie przywitała z żadnym kawalerem, znikła gdzieś na mszy, to jeszcze ponoć parobek bił się za nią. Wyobrażasz to sobie?!

Pani Łacka pobladła.

– Ludzie gadają, że... A, zresztą – zmitygował się, bo jednak przy stole siedziała panienska. – Potem ci powiem. Okropne rzeczy o niej gadają – dodał jednak. – Nie będę czekał ani chwili dłużej. Głupi byliśmy, myśląc, że twoją ciężę da się ukryć. Wszyscy wiedzą. Klepali mnie po ramieniu, mrugali, opowiadali dowcipy o starych ojcach, a nawet gratulowali, choć dziecko się jeszcze nie narodziło. Już wiedzą, że jeśli będzie syn, to Julianna nie dostanie posagu.

– Jak to nie dostanę? – Julianka wyprostowała się. – Przecież dałam ci dużo pieniędzy...

Rozumiała, że narodziny rodzeństwa zmieniają jej sytuację, ale nie spodziewała się, że tak bardzo.

– Nie ma ich – odpowiedział ojciec, rozkładając bezradnie ręce. – Dobrze wiesz, że poszły na spłatę długów. Nie ma – powtórzył.

– Można przecież jakoś podzielić majątek – zaproponowała dziewczyna. To było takie niesprawiedliwe.

– Dzielić? Oszalałaś?! – oburzył się Ignacy. – Tego się nie robi! Ojcowizna musi pozostać nienaruszona. Trzeba było wychodzić za męża, kiedy jeszcze miałaś czas. – Całkiem już tracił nad sobą panowanie i jak zawsze w takich sytuacjach zrzucał odpowiedzialność za swoje błędy na innych. – Dziś już nie ma za bardzo w czym wybierać. Ale coś się znajdzie – dodał po chwili. Julianna otworzyła usta, lecz on powstrzymał ją surowym gestem dłoni. – Ani mi się waży odzywać – zażądał stanowczo. – Nie brakowało kawalerów wczoraj na weselu. Dlaczego z żadnym nie zatańczyłaś? Gdzieś ty w ogóle była?

Julianna opuściła głowę. Źle się czuła na tym weselu pod pręgierzem spojrzeń, wśród ludzi, którzy wyraźnie próbowali ustalić nowy sposób jej traktowania wobec ciągle zmieniającej się sytuacji. Nie zrobić jej przykrości, bo przecież wielokrotnie im pomagała, ale też pokazać, że rozumieją, iż nie jest już jedyną dziedziczką dworu.

Matki nie dawały zgody kawalerom, żeby z nią tańczyli, bo nie wiedziały, co myśleć. Ludzie w górach są twardzi, nauczeni przez surową przyrodę, że delikatność może okazać się zgubna. Lubili konkret, a tego tutaj brakowało.

Było jednak też wielu takich, dla których małżeństwo z panienką bez dworu, nieważne posażną czy nie, stanowiło łakomy kąsek. I to miał na myśli ojciec, sugerując, że powinna zejść trochę niżej i brać cokolwiek.

Nawet o tym nie pomyślała. Wydawało jej się, że skoro nikt z nią nie tańczy, to może śmiało dyskretnie się oddalić, więc pojechała do babci. Słusznie zrobiła. Przed chatą stała długa kolejka chorych. Jej pomoc bardzo się przydała. Podawała chorym dzieciom specyfiki, rozmawiała z ich matkami, wysłuchiwała staruszek, do których nikt w chałupach nie miał cierpliwości. I wreszcie czuła, że robi coś sensownego, jest na właściwym miejscu.

– Rozumiesz? – Ojciec spojrzał na matkę jak jakiś zupełnie obcy człowiek. Surowy oraz gniewny. – Taką mamy córkę. Wyszła i nawet mi słowem nie powiedziała dokąd. Cały czas ktoś mnie pytał, gdzie jest Julianka – przedrzeźniał gości weselnych – a ja nie miałem pojęcia, co im odpowiedzieć. Czy uciekła z jakimś weselnikiem, a może nawet z parobkiem? Podobno na mszy ktoś ich widział, jak szli razem w stronę łąki. Więcej już nic nie powiem, bo chyba nie wytrzymam... – Złapał się stołu.

Nie musiał. Jego żona doskonale wszystko rozumiała. W przeciwieństwie do Julianny, która wpatrywała się w ojca, nie mogąc pojąć, że to ten sam człowiek, który w dzieciństwie bawił się z nią, przytulał i był całym jej światem. To ten tata, któremu oddała wszystkie swoje pieniądze, wspierała go i była nawet gotowa wyjść za męża za człowieka, którego nie kochała.

Teraz wpatrywała się w jego twarz i nie mogła go poznać. Był tak daleki. Zdawała sobie doskonale sprawę, że żadne jej słowa w tym momencie do niego nie dotrą. Nie ma takiego sposobu, próśby czy błagania, żeby wziął je pod uwagę. Jego oczy patrzyły surowo i widać było, że ma już plan.

W tym momencie Julianna poczuła, że definitywnie opuszcza świat dzieciństwa, w którym żyła przez długie lata w przekonaniu, że rodzice są istotami chroniącymi ją i może bezpiecznie rozwijać się, rosnać, bo zawsze są obok. Wiedzą, co robią. Już nie była tego taka pewna. Opuszczała więc też świat młodości, choć miała zaledwie naście lat. Poczuła, że zaraz zmierzy się z problemami bardzo dorosłymi. Musi dojrzeć w błyskawicznym tempie.

– A co, jeśli mama urodzi dziewczynkę? Czy dwie córki nie powinny zostać potraktowane sprawiedliwie? – zapytała. Nie zamierzała tak po prostu poddać się bez walki.

– Nie mów tak! – Ojciec gwałtownie wstał od stołu. Naprawdę go nie poznawała. – Czego ty życzysz własnej rodzinie? Żebyśmy pomarli bez dziedzica? Żeby przepadło nazwisko i cała nasza historia?

Nie uderzył jej, ale tak się czuła, jakby dostała policzek w twarz. Pomyślała, choć nie odważyła się tego powiedzieć na głos, że właściwie cóż takiego wielkiego jest w tym nazwisku. Żadnej wielkiej chwały ani dokonań. W ciągu życia ojciec ledwo przechował to, co dostał po ślubie. Budynki były zaniedbane, pola również. Chłopi biedowali, a katastrofy i całkowitego zlicytowania rodzina uniknęła wyłącznie dzięki pomocy prababci. Tej, którą ciągle mieli za nic.

Wiedziała jednak, że mówienie tego wszystkiego nie ma sensu. Konflikt był już tak duży, że nie dało się go zażegnać. Ojciec niczego by nie zrozumiał, nie usłyszałby jej słów. Nie było w nim żadnego miejsca na prawdę. Choćby odrobinę.

Postanowiła w tej krótkiej, ale brzemiennej w skutki chwili, że jeśli ona kiedykolwiek będzie mieć dzieci, nigdy nie da im odczuć, że jest jakaś różnica między tym, czy któreś urodziło się chłopcem, czy dziewczynką, jako pierwsze czy ostatnie. I cokolwiek będzie miała, podzieli sprawiedliwie.

Choć być może taki problem zbytnio jej nie dotknie. Marne szanse, że wyjdzie za męża. Ojciec sądził, że znalazł rozwiązanie, ale ono na pewno było złe. Jeśli Julianna miała wyjść z domu prawie z pustymi rękami, to nikt szanowany o rękę jej nie poprosi. Wyprawa zgromadzona w skrzyniach to coś atrakcyjnego tylko dla naprawdę biednego kandydata i zapewne takiego właśnie znalazł jej ojciec.

Zrobiło jej się smutno. I żał tego młodzieńca. Czy jego też do ślubu zmusi rodzina, bo jednak panią z dworu w niektórych kręgach to nie byle co?

– Nie patrzcie tak na mnie! – krzyknął pan Łacki, bo żona i córka miały miny jak na pogrzebie. – Gołej jej przecież nie puszczyć. Coś jej tam dam. Łąccy mają swój honor, nawet jak brakuje gotówki. A te pieniądze, co dałaś na długi, to ci spłace! – zawołał dumnie, choć wiedziała, że w gruncie rzeczy honoru w nim nie ma za grosz. I dotarło do niej z całą mocą, że ojciec nigdy tego nie zrobi. Będzie przeciągał terminy, znajdował wymówki, ale nic nie zwróci. Czy zawsze był taki?

Chyba tak – pomyślała.

Tylko ona kochała go i patrzyła na niego oczami córki, która w ojcu widzi autorytet, kogoś wartościowego. Nie była jedynie córką dziedzica z dworu, lecz przede wszystkim człowieka leniwego, utracjusza, który oczekiwał, że za jego błędy najbliżsi bez problemu będą płacić każdą cenę, a on sam, przyparty do muru, miał się różnych, nawet bardzo złych rozwiązań.

Zaczerpnęła powietrza, wyprostowała się.

– No to mów, kogo znalazłeś. – Spojrzała mu w oczy. Szybko odwrócił wzrok. Zobaczył pogardę i dotarło do niego, że ona zna prawdę. Ale nie poczuł skruchy. Wręcz przeciwnie. Podeszedł do okna, stanął do nich plecami i powiedział dumnie:

– Pójdiesz za Szewczyka.

– Co takiego?! – zawołała matka z oburzeniem, łapiąc się jedną ręką za głowę, a drugą za brzuch. – Przecież to dzierżawca!

– Ale dobry – odparł ojciec. – Płaci regularnie czynsz, nie ma żadnych długów. Wczoraj to sprawdziłem na weselu. A jak wracałem nad ranem do dworu, to obejrzałem jego chałupę. Czysto tam jak w kościele, a jego matka na weselu miała najładniejszą chustkę. To pewnie dla kobiet ważne.

Julianna знаła tę rodzinę. Dobrzy ludzie. Ostatnio zachorowała im babcia i widziała, jak bardzo o nią się troszczyli. Nie zasługiwali na nieszczęśliwą, smutną synową, która nie chce być z nimi.

Wstała. Nogi trochę jej drżały, ale umysł pracował spokojnie i precyzyjnie.

– Mamo! – zawołała i spojrzała w jej stronę. – Nic nie powiesz?

Matka wzruszyła ramionami. Była przestraszona, ale chyba nie miała żadnego pomysłu, jak wyjść z sytuacji. Znała tylko te ścieżki, którymi wszyscy w tej okolicy chodzili. Kiedy masz problem z córką, wydajesz ją szybko za mąż i kłopot się kończy.

– Mamo, proszę cię! – zawołała jeszcze raz Julianna z nadzieją. Przecież ojciec zachowywał się bardzo nie w porządku. Jak nie on. Musiała to widzieć. Dla Julianny było to nowe przeżycie, zobaczyć rodzica w innym świetle, spojrzeć na niego oczami osoby dorosłej, ale przecież mama musiała do tych wniosków dojść już dawno temu. Czemu więc teraz nie reagowała? Nie stanęła po stronie córki? Dlaczego tyle lat godziła się na zaciąganie kolejnych długów?

Julianna intensywnie wpatrywała się w twarz swojej mamy, ale mimo iż odziedziczyła po babci intuicję, nie mogła niczego wyczytać. Jakby na uczucia tej kobiety nałożono w tym zakresie jakąś blokadę.

Pochyliła się i złapała za stół. Zaczęło jej się kręcić w głowie.

Mama wie! – domyśliła się nagle. – Ale nie dopuszcza do siebie oczywistych wniosków, bo czuje się bezradna i nie ma pojęcia, jak mogłaby się odnaleźć w świecie, w którym nie ufałaby mężowi i nie opierała się na jego gospodarskich decyzjach. Nie wychowano jej do samodzielności i nawet przykład wielkiej buntowniczkii tej rodziny, prababci Antosi, niczego w tej kwestii nie zmienił. A może właśnie jeszcze mocniej utwierdził ją w przekonaniu, że nie warto iść pod prąd?

– Muszę wyjść – powiedziała Julianna, po czym, nie tłumacząc się ze szczegółów, pobiegła do swojego pokoju. Zabrała ciepłą chustę i sweter, który prababcia zrobiła jej na szydełku zeszłej zimy. Dawał podwójne ciepło. Otulał wełną, ale i miłością, bo każde oczko było wykonane ze specjalnymi życzeniami.

Kiedy zbiegała po schodach, rodzice zgodnie odwrócili głowy w jej stronę, ale nikt się nie odezwał.

Podobnie jak Stasia, bona. Stanęła w progu, nie wiedząc, co ma zrobić. Czy iść za panienką, czy też jak zwykle zostać w domu i udawać, że wywiązuje się ze swoich obowiązków.

Ale państwo byli tak zaaferowani swoimi sprawami, że nawet nie zwrócili na nią uwagi. Trzasnęły drzwi. Julianna wyszła.



Stasia cofnęła się zatem do kuchni. Z zadowoleniem stwierdziła, że kucharka wyszła na chwilę do ogrodu, zwinęła więc pod fartuch dwie bułeczki z jabłkami i cukrem, który tak wspaniale chrząścił pod zębami.

U państwa znowu był dobrobyt i korzystali z niego pełnymi garściami, a ona uczyła się tego przy nich. Potem bocznym wyjściem ruszyła w stronę zabudowań dworskich, żeby się rozejrzeć, czy nie ma gdzieś Józka, tego miłego nowego parobka. Wszystkie dziewczyny we dworze i w okolicy wodziły za nim wzrokiem, poprawiały bluzki albo wysoko podciągały spódnice, kiedy wspinały się na drabinę, ale ona miała swoje sposoby. Lepsze. Ten duży silny chłopak chodził bez przerwy głodny. Zauważyła to, bo zwracała uwagę na takie rzeczy. Jej pulchne, miękkie ciało miało podobne potrzeby. Ona umiała o sobie zadbać, ale biedny Józek był w zupełnie innej sytuacji. Nic dziwnego. Nie dość, że ciężko pracował, to jeszcze ciągle trzymał się blisko swojego ponurego towarzysza. Pocieszał go i uspokajał. Stanisława wiele razy słyszała. Trzeba mu było wzmocnienia. A nic tak dobrze człowiekowi nie robi na siłę jak cukier. To wiedziała z własnego doświadczenia.

Chodziła dyskretnie tu i ówdzie, od czasu do czasu dla niepoznaki wołając: „panienko, panienko”, że niby rzekomo jej szuka, co było tak stałą czynnością, że nikt już na to nie zwracał uwagi. Podopieczna wiecznie jej ginęła, podobnie jak poprzednim opiekunkom, i we dworze przyzwyczajono się do tego.

Trwało to chwilę, ale w końcu wytrwałość Stasi została nagrodzona. Zobaczyła Józka, jak idzie za ostatnim wozem z kapustą. Od razu było widać, że ten był ładowany przez jego ponurego przyjaciela, bo wszystkie główki leżały równo poukładane na dnie. Na pewno wymoszczonym starannie liśćmi, tak żeby nic się nie obilo i nie uszkodziło. Jak na standardy tego dworu pozostałe wozy też były nieźle załadowane. Widać Dominik na nie także miał oko.

Ciekawy człowiek – pomyślała Stanisława mimo woli, przyglądając się dziwnemu parob-

kowi, który trzymał się raczej na uboczu. Zawsze sam. Nie zagadywał do służby, a i oni nie mieli śmiałości odzywać się do niego. Ale choć nikomu nie wydawał poleceń i jeśli rzucał jakieś kąśliwe komentarze, to zwykle pod adresem gospodarzy, nawet kiedy oni mogli go słyszeć, to miał ogromny wpływ na służbę. W jego towarzystwie każdy starał się pracować lepiej.

Stanisława szybko jednak o nim zapomniała i rzuciła się do pomocy podtrzymywać boki wozu na nierównej drodze, pełnej kolein. Ciężkie pojazdy w każdej chwili narażone były na niebezpieczeństwo. Konie parskały, ciesząc się bliskością domu, a parobkowie też patrzyli z nadzieją w stronę zabudowań, bo w brzuchach im już burczało. Perspektywa kolacji pociągała każdego.

Stanisława miała teraz ważne zadanie. Oddzielić Józka od grupy, a potem dyskretnie przekazać mu swój podarunek, tak żeby inni nie widzieli. Mogą sobie dziewczyny machać biustem. Dekolt to ma każda, ale takie dobre bułki z cukrem i jabłkami tylko ona.

Józek głupi nie był. Powinien umieć zdecydować, co naprawdę dobre.



## ROZDZIAŁ 4



Julianna szła przez łąki. Zwykle biegła tędy, przeskakując przez wyższe źdźbła trawy i ukrywając się zagajnikach albo za większymi krzewami przed znajomymi rodziców. To znaczy każdym człowiekiem. Wprawdzie ludzie wiedzieli, że biega do prababci, ale miała z rodziną taką milczącą umowę, że jednak zachowują pozory. Chodziło oczywiście o reputację Julianny nieustająco narażoną na jakieś niebezpieczeństwo.

Ale dziś było inaczej. Podjęła decyzję i miała zamiar ponieść jej konsekwencje. Już jej nie zależało na reputacji. Wiedziała, że jej nie utrzyma, i wbrew pozorom sprawiło jej to ogromną ulgę. Poczuli się wolna. Mówią, że bunt to taka trudna sprawa, tymczasem szło naprawdę gładko.

Podniosła głowę i kłaniała się mijanym kobietom. Miała plan i choć oficjalnie skrytaliżował się on w jej głowie dopiero dzisiaj, to zdawała sobie sprawę, że rósł latami. Przygotowywała się do niego przez całe dzieciństwo i młodość.

Nogi same ją niosły kamienistą ścieżką wiodącą pod górę, potem znów przez kolejną łąkę. Źdźbła pozołkły, powoli zbliżał się październik i las prezentował się w tej chwili najpiękniej. Jak w królewskim odzieniu. To było idealne otoczenie do tego, żeby podejmować życiowe decyzje. Kiedy się patrzyło na te drzewa, wystawiało policzki ku słońcu, wydawało się, że wszystko w życiu jest możliwe.

Julianna wcale nie czuła się sama. Miała przecież prababcię. Nie znała nikogo mądrzejszego. Choć musiała przyznać, że przez moment przebiegł jej przez plecy delikatny dreszcz, kiedy podchodząc wyżej, spojrzała na chatkę. Nieco inaczej niż zwykle.

Faktycznie była mała. Zwykły kwadracik, jedna izba. Znajdowało się w niej łóżko, piec, szafa z lekarstwami. W niewielkiej przybudówce była spiżarnia, pod spodem piwnica, w której Julianna nigdy nie była. W lesie prababcia miała też liczne ziemianki, w których przechowywała zapasy: leki, składniki do swoich mikstur i kto wie co jeszcze.

Ściany były krzywe. Julianna dziś to zauważyła ze szczególną dokładnością. Małe okienko nie dawało tak wiele światła, jak słoneczne okna dworu. Przypomniało jej się, jak w zimie czuła poddmuchy wiatru wpadającego przez szpary, a przecież spędzała tam głównie dni przy ciepłym piecu z prababcią kręcącą się wokół pachnących ziołami wywarów. Często w chacie bywało wtedy sporo ludzi, bo przeziębiali się w mroźne noce. Bywało ciężko, ale często też wesoło.

Teraz wyobraziła sobie, jak to będzie mieszkać tu na stałe.

Zatrzymała się na podwórku. Studnia znajdowała się dość daleko od chaty i – co ją uderzyło – też była strasznie stara. Przetarła oczy, bo miała wrażenie, że wzrok jej nie działa dostatecznie dobrze. Czy to zawsze było takie zniszczone? Chyba kiedyś nie. Gdy przybiegała tu jako mała dziewczynka, ogród kwiatowy szczycił się większą bujnością. Drzewa przycinano regularnie, a wewnątrz izby prababcia bielila przed każdą Wielkanocą. Ostatnio jakby o tym zapomniała.

Julianna obróciła się gwałtownie. Popatrzyła w dół łąki. Wiodła tam ścieżka prowadząca do jej rodzinnego domu. W zimie – kiedy opadały wszystkie liście z drzew – przez szczeliny można było zobaczyć zabudowania dworu. Bielili się z daleka. Teraz sobie uświadomiła, że był duży i chociaż Dominik często sarkał, że strasznie zaniedbany, to jednak przy chatce babci wydawał się pałacem.

Jeszcze możesz się odwrócić – wyszeptano jej coś do ucha.

Tak. Miała szansę. Być może jutro, pojutrze będzie już na to za późno, ale dziś nadal nikt nie wiedział. Mogła odwiedzić babcię jak zwykle, napić się herbaty, pomóc przy chorych i na obiad zdążyć do domu.

Przed chatką było kilka osób.

Julianna zobaczyła, że prababcia robi coś dziwnego. Wychodzi na podwórko i każdemu z oczekujących wręcza małe zawiniątko, po czym wszystkich odprawia. To się zdarzało bardzo rzadko. Tylko jeśli wołano ją do wyjątkowo pilnego porodu albo ktoś w wiosce umierał. Ale wtedy babcia szybko zawiązywała chustkę wokół głowy, brała swoją nieodłączną laskę w rękę i najczęściej na podwórzu stał już koń gotowy do drogi. Tym razem nic takiego nie miało miejsca. Ludzie jednak posłusznie oddalili się od jej chatki przyzwyczajeni, że czasem wzywają ją ważniejsze sprawy. Ona tymczasem stała i patrzyła, jak schodzą brzegiem łąki.

– Co się stało? – zapytała Julianna, ostatni kawałek pokonując biegiem. – Czemu oni poszli? Myślałam, że ci pomogę.

– Pilna sprawa. – Antonina spojrzała na nią przenikliwie. – Masz mi coś ważnego do powiedzenia. Chciałam cię wysłuchać w spokoju.

– Skąd wiesz? Jakies czary czy co?

– Nie. – Babcia pokręciła głową. – To tylko ludzie tak myślą. Przewidywać przyszłość wcale nie jest tak trudno. Wystarczy tylko umieć patrzeć i znać trochę ludzi. Masz taką zaciętą twarz i zupełnie inne oczy. Plecy wyprostowane, a kroki stawiasz tak stanowcze, jakbyś podjęła ważną decyzję.

Trudno było jej odmówić racji.

– Zostaje u ciebie – powiedziała Julianna stanowczo. – Na zawsze. Nie wyjdę za męża. Będę żyć jak ty.

– Chodź – przerwała jej prababcia, po czym objęła ją za ramiona i pociągnęła do swojego maleńkiego domku. – Oprócz umiejętności obserwowania ludzi, w przepowiadaniu przyszłości ważna jest też informacja – powiedziała. – Trzeba mieć swoich zwiadowców. Mnie już donieśli, że podobno Szewczyk chwali się, że dziedzic daje mu swoją córkę. Więc nie do końca rozumiem, o czym mówisz. Spodziewałam się innych wieści.

– No właśnie. – Julianna znów z całą mocą poczuła poranne oburzenie. – Ojciec całkiem oszalał. Odkąd matka zaszła w ciążę, stracił kontakt z głową. Nawet nie bierze pod uwagę, że może urodzić się dziewczynka – dodała z przykrością. – A może wierzy, że każde dziecko będzie dla niego lepsze niż ja?

Prababcia tylko uściśnęła ją za ramię i posadziła przy swoim starym stole. Starła dłonią zapomniany okruszek, a potem zaczęła się kręcić przy piecu.

– Nie będzie – zaprzeczyła Antonina. Nalała jakiegoś dziwnego naparu i Julianna zastanowiła się, czy w ogóle jest szansa, że kiedykolwiek pozna wszystkie jej przepisy.

– Co to jest? – zapytała.

– Herbata na specjalną okazję – odpowiedziała prababcia.

– Wiedziałas, że tu przyjdę? – zdziwiła się dziewczyna.

– Spodziewałam się. Jak tylko mi rano donieśli. Pij – zachęciła ją. – Rozjaśnia umysł. Chociaż tobie teraz bardziej by się przydało coś na miłość. Zakochiwanie się idzie ci opornie, choć faktem jest, że kandydaci wielkiej szansy ci nie dają.

Nie wiadomo czemu Julianna pomyślała teraz o Dominiku. O tym momencie, kiedy stali w brzozowym zagajniku na tamtym weselu i choć właściwie żaden mężczyzna nie był nigdy tak blisko niej, to jednocześnie też żaden nie znajdował się tak daleko. Całkowicie niedostępny.

Bzdura – odpędziła to skojarzenie.

– Posłuchaj mnie. – Babcia położyła dłonie na stole i pochyliła się w jej stronę. – Ten Szewczyk to nie jest zły pomysł. Naprawdę.

Julianna sparzyła się napojem. Próbowowała się domyślić, co tam jest. Melisa, tymianek, żurawina na pewno. Ale co jeszcze? Nie zdążyła dojść do tego, bo oburzyło ją to, co usłyszała.

– Co ty mówisz? Chcesz, żebym wyszła za męża z rozsądku?

– Nie zawsze to jest takie złe, a już się przecież z tym pogodziłaś – powiedziała cicho prababcia. – Życie jest twarde. Bardzo. Potrafi zdeptać większe ideały niż twoje. Widziałam to wiele razy.

Julianna odłożyła napar. Teraz to naprawdę była w szoku.

– Co ty mówisz?! – zawołała. – Spodziewałam się, że mnie pochwalisz. Sama mawiałaś, i to nie raz, że trzeba być odważnym.

– Owszem. – Antonina kiwnęła głową. – Ale odrobina mądrości też nie zaszkodzi – dodała szybko. – Znam tę rodzinę. To dobrzy ludzie. Nie ma takich wielu na świecie. Może i mezalians – dodała po chwili – ale tobie na złe nie wyjdzie. Będą cię szanować. Do tego przecież sporo cię nauczyłam. Taka kobieta, która potrafi zadbać o swoją rodzinę, zawsze ma lepiej i szybko staje się kimś ważnym. Jesteś mądra, śliczna, on będzie cię kochał.

– Ale ja jego nigdy! – zawołała dziewczyna zapalczywie.

– Tego nie wiesz – odparła powoli Antonina. – Kiedy ma się osiemnaście lat, trudno sobie wyobrazić, co się czuje po trzydziestce, pięćdziesiątce. Jakie długie jest życie. Bywa, że po wiel-

kich miłościach nawet ślad nie zostaje, a czasem uczucie się pojawia, gdzie nikt się nie spodziewał.

– Naprawdę?! – Julianna wstała i próbowała chodzić po małej chatce jak po swoim pokoju; robiła tak zawsze, kiedy była wzburzona. Ale ledwo zrobiła dwa kroki, natknęła się na jakąś beczkę, skręciła w bok i stłukła sobie kostkę o skrzynię, a potem przewróciła koszyk.

– Nie miotaj się tak – skarciła ją prababcia. – Tu wszystko ma swoje miejsce, a chałupka, jak widać, jest dla jednej osoby.

– Trudno. – Dziewczyna usiadła na krześle. – Zostaję. Tak postanowiłam.

Prababcia przymknęła na chwilę oczy.

– Ile mi przynieśli zwiadowcy, to jedno – powiedziała. – Co mi podpowiada doświadczenie, to drugie. Ale musisz wiedzieć coś ważnego. Widziałam dzisiaj taki obraz – zaczęła powoli. – Wiesz, że to mi się czasem zdarza. Zobaczyłam ciebie wiele lat później. Przechodzisz obok domu Szewczyków, źle wyglądasz... i żałujesz swojej decyzji.

Julianna poczuła, jak chłód obejmuje ją od stóp aż po czubek głowy. Prababcia uściśnęła jej dłoń.

– Musiałam ci to powiedzieć. Przepraszam, ale nie każda bajka ma dobre zakończenie. Słaby jest twój ojciec, jak i jego pomysły, to fakt. Wiesz dobrze, że poparłabym każdy twój plan, bo cię kocham i chcę twój szczęścia. Ale tym razem stanęłabym po stronie ojca.

– Nie! – zawołała Julianna, a prababcia jeszcze mocniej uściśnęła jej dłoń.

– Kiedy myślę o tobie w ich domu, to czuję tylko ogromny spokój – dodała z mocą. – To by było dobre, bezpieczne życie.

– A jakaś alternatywa? – zapytała szybko Julianna.

To nie mogło tak się skończyć. Niosły ją tutaj pełne entuzjazmu uczucia. Z góry założyła, że jeżeli ktoś ma szlachetne zamiary, to na końcu spotka go zwycięstwo. Teraz jak na złość przed oczami przewijały jej się twarze wszystkich biednych kobiet z wioski. Tych, do których biegała z babcią, kiedy było im ciężko.

Porody, trudne momenty w biednych zimnych chatkach, chudziutkie dzieci skłębione w kącie izby, przerażone, że być może za chwilę stracą matkę. W ilu chałupach całe życie opierało się na tej jednej osobie, na mamie. A tę mogła w każdej chwili pokonać bieda, kolejna ciąża, choroba, zbyt ciężka praca, brak pomocy.

Obrazy napływały z coraz większą mocą.

Ziemniaki na talerzach pozbawione nawet prostej okras, smutne jesienne dni, inne niż ten dzisiejszy słoneczny i jasny, takie, kiedy przemakają ubrania, błoto wlewa się do butów, a wilgoć wdziera do nieszczelnych chałup każdą szczeliną.

To coś zupełnie innego niż wieczory spędzane we dworze przy trzaskającym w kominku ogniu, z ciepłym garnuszkiem herbaty i mamą czytającą służbie oraz domownikom polskie wiersze.

Zaczęła powoli rozumieć, o co ten cały szum, że to rzeczywiście jest sztuka, by umieścić swoje dziecko w bezpiecznym miejscu na życie oraz że jest ograniczona ilość takich domów, w których da się spokojnie żyć.

– Babciu, proszę cię, wiesz, że ja się tam uduszę – powiedziała cicho.

– Nie będzie tak źle – zareagowała szybko Antonina. – Zejdiesz w hierarchii społecznej o stopień niżej, to ci odbierze parę przywilejów – przyznała. – Ale jednocześnie sprawi, że nie będziesz musiała tak bardzo uważać – dodała. – Na zawsze pozostaniesz panną ze dworu, ale nie będą cię obowiązywały aż tak surowe zasady. Pobiegniesz do wioski bez konsekwencji. Nie zaproszą cię na każdą herbatę ani bal, ale też nie będziesz zważać na opinię, by wydać dobrze córki za mąż. W tamtym świecie twoje pochodzenie już i tak da ci przewagę. Proszę cię, przemyśl to.

– Ale co widzisz po drugiej stronie? – nie ustępowała Julianna. – Co czujesz, kiedy myślisz o mnie tutaj z tobą? – Rozejrzała się po niezwykle ubogim wnętrzu, próbując nadać swojemu głosowi entuzjastyczny ton. Ten, który jej towarzyszył, kiedy tutaj biegła.

– Nie wiem. To tak nie działa na zawołanie. Chyba tylko dzieci czują. Dużo dzieci.

– Moich? – ucieszyła się Julianna.

– Nie wiem – powtórzyła Antonina i pokręciła głową. – Może tych, co przyjdą na leczenie? Nie wiem... Raczej twoich – dodała ucziwie.

– To może dobrze? To znaczy, że kogoś poznam, zakocham się. Dużo dzieci oznacza wielką miłość.

Prababcia tylko westchnęła wobec tej pięknej teorii. Wiedziała, że życie jest o wiele bardziej skomplikowane. Znała tysiące innych powodów, dla których poczynały się dzieci: lekkomyślność, głupota, przemoc, żądza, surowy obyczaj, bezmyślność.

Jak będzie w przypadku Julianny?

Próbowała się skupić od rana, ale niestety jej dar był bardzo delikatny i z natury działał zwykle sam, kiedy się tego nie spodziewała. Przychodził zwykle, gdy zajmowała się czymś innym. Nagle gdzieś się rozglądała, patrzyła na coś i widziała obraz. Krótką migawkę, dziecko biegnące brzegiem łąki, mężczyznę na koniu, fragment jakiejś bitwy, płaczącą kobietę. Strzępki. Czasem można było z tego zbudować spójną historię, czasem dopiero po latach okazywało się, czego dotyczyło przesłanie.

Ale choć teraz wyteżęła mózg z całej siły i przywoływała na pomoc wszelkie swoje doświadczenia i wiedzę, przyszłość nie chciała jej pokazać ani jednego okruszka. Nic, tylko to poczucie smutku. Wiele dzieci i ta jedna scena Julianny w skromnej sukience uczesanej w zwykły kok, z chustką na głowie, przechodzącej obok tamtego domu, jak żałuje swojej decyzji.

Spojrzała na swoją prawnuczkę. Kochała ją najbardziej na świecie.

– Dziecko! – zawołała. – Naprawdę nie zmienisz zdania? – przestraszyła się. – Nawet jeśli ci opowiem, czym jest życie na wygnaniu?

– Dobrze ci tu – zaprotestowała Julianna. – Pytałam cię wiele razy i mówiłaś, że nie żałuję.

– Bo nie mam tu ze sobą dzieci! – zawołała Antonina. – Możesz wytrzymać poniewierkę, ponizenie ty sama, ale kiedy ktoś śmieje się z twoich dzieci i nimi pogardza, to bardzo trudne. Moja córka się uratowała. Bo wyszła za męża, a i tak wiesz, że zawsze było jej ciężko. Musiała się ciągle tłumaczyć. Ludzie są dziwni i tak będzie zawsze.

– Lubią mnie. – Julianna była zdecydowana i choć bała się coraz bardziej, nie zamierzała zmienić zdania.

– Lubią cię ci zwykli – uściśliła Antonina – z wioski. Ale oni twoich dzieci nie wykarmią, nie posłą do szkół.

– Tobie się udało przecież zgromadzić całkiem dużo pieniędzy – odparła rzeczowo Julianna. – Leczenie zawsze przynosi dochody, każdy wyciągnie ostatniego zaskórniaka, żeby ratować kogoś bliskiego.

– To prawda. – Prababcia kiwnęła głową. – Ale popatrz, jak ja żyję.

Julianna nie chciała tego robić. Miała nawet ochotę na coś całkiem przeciwnego, zacisnąć powieki z całej siły. No, ale to by było niepoważne. Rozejrzała się. Tak, teraz widziała to bardzo wyraźnie.

– Nic nie mam – kontynuowała prababcia. – Trzy sukienki, jeden płaszcz na zimę, jedną parę butów. Nie musiałam utrzymywać moich dzieci, bo to zapewnił im ojciec. Ja mam małe potrzeby. Poza tym uciekłam tutaj już jako dorosła kobieta. Ty jesteś młodzieńką, życie masz przed sobą.

– Jakoś tak czuję, że sobie poradzę.

Jakoś tak czuję, że nie – pomyślała prababcia, ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Miała bardzo rozwiniętą intuicję i dawno nauczyła się jej ufać. Od lat już wiedziała, że Julianna odziedziczyła po niej ten dar. Jest bardzo zdolna, mądra, empatyczna, szybko się uczy. Z czasem, kto wie, może będzie nawet lepsza. Już kilka razy zdarzyło się, że doszła do jakiejś diagnozy równie szybko, ale nigdy, że miały tak sprzeczne przekonania.

Co to mogło oznaczać? – To pytanie zawisło w powietrzu, choć Antonina nie wypowiedziała swojej myśli, a Julianna nie zadała go na głos. Obie wiedziały, że konwersacja nadal się toczy. W ich głowach, myślach, emocjach, pomiędzy ich sercami.

Została jednak nagle przerwana.

– Ktoś tu idzie. – Prababcia spojrzała przez okno. – Parobek od was. Ten nowy. O, i jakiś drugi. I jeszcze twoja bona. Pewnie cię jak zawsze szuka.

– Szybko coś. – Julianna też spojrzała w tamtą stronę. Przypuszczenia prababci potwierdziły się w każdym punkcie. Cała trójka rzeczywiście zmierzała w ich stronę.

Julianna od razu spojrzała na Dominika, a ten rozglądał się czujnie wokół. Był tu po raz pierwszy. Bona z obojętnością omiatała wzrokiem każdy szczegół. Ona z kolei znała tu na pamięć

wszystkie krzaki. Wiecznie wyciągała z nich swoją podopieczną i najczęściej jej się to nie udawało. Weszła z niechęcią do małej ciemnej izby.

– Panienko, mama panienkę wzywa natychmiast do domu – powiedziała, starając się zachować godność odpowiednią dla jej stanowiska. Trochę bała się Antoniny. – Będziecie mieli gości – zakończyła stanowczo.

– Kolejny targ? – Julianna wstała od stołu i cofnęła się kilka kroków pod ścianę. Dominik i Józef stali w sieni, ledwo się mieścili. – Nie pójdę z wami – powiedziała. – Przekażcie mojej mamie, że zostaję. Tutaj.

– Panienko! – zdenerwowała się bona. Każdego dnia podejmowała decyzję, że zrezygnuje z tej pracy, i dzisiaj to był właśnie już trzeci raz. Nie czuła się na siłach. – Mama bardzo nalega. Aż przysłała pomoc.

– A ci po co? – zapytała Julianna drwiąco. – W razie czego zwiążą mnie i zaniósą siłą?

– Ja nie wiem – odparła Stanisława. Starła się zachować spokój. – Ale pani kazała, żeby przyszli i żeby przypilnować, bo to ważne.

– Nie pójdę! – Julianna była coraz bardziej zdenerwowana. Wiedziała, co ją czeka. Kolacja z przyszłym narzeczonym. Choćby był najlepszym człowiekiem, nie chciała za niego wychodzić za mąż. Przestała już ufać swojemu ojcu, że podejmuje dobre decyzje dla rodziny. Właściwie to teraz, kiedy się tak nad tym błyskawicznie zastanowiła, doszła do wniosku, że całkiem dobrym patentem na to, żeby się nie mylić, jest robić zawsze na odwrót, niż on mówi. – Nie pójdę! – powtórzyła.

– Proszę cię, dziecko. – Prababcia nagle przestała być najmądrzejszą kobietą we wsi. Zielarką, uzdrowicielką. Stała się po prostu zwykłą prababcią, która drży o los swojej ukochanej prawnuczki, a strach o nią blokuje jej zdolność racjonalnego myślenia. – Złotko moje, to nie jest taki zły pomysł.

– Nie pójdę – powtórzyła Julianna uparcie.

Wtedy do chaty wszedł Dominik. Na jego widok wyprostowała się jeszcze mocniej i odrzuciła warkocz na plecy.

Parobek zapomniał się chyba, co mu się zdarzało w chwilach wzburzenia, bo wkroczył władczo, niczym pan we dworze, a nie zwykły sługa. Podejrzewała go już od dłuższego czasu, że kryje jakąś tajemnicę, i było dla niej oczywiste, że nie urodził się w chłopskiej chałupie. Za dużo wiedział, biegle czytał, znał się na muzyce, na prowadzeniu gospodarstwa, wyróżniał się nawet wśród szlachty, a co dopiero chłopów.

– Oni mają rację – powiedział i po raz pierwszy usłyszała w jego głosie ciepłe tony. Chciała tego więcej. – To nie jest życie dla panienki – dodał.

– Skąd możesz wiedzieć? – zaprotestowała. – Chcą mnie wydać za mąż za prawie obcego człowieka. Przecież też nie lubisz ślubów, powinienes to rozumieć. – Sprowokowała go, ale tym razem zachował spokój.

– Proszę, chodźmy do domu – powiedział tym samym łagodnym tonem. Te słowa docierały od razu do jej serca. Chciała go słuchać, choć wobec innych się buntowała.

Jakże był to niezwykły moment – pomyślała od razu. – Kim mógłby być Dominik, gdyby nie plątał się po dworze wiecznie zdenerwowany, z ponurą miną, pogrążony w dziwnych myślach. Miał w sobie wiele łagodności, której nigdy nie dał szansy.

– Zależy ci na mnie? – zapytała prowokacyjnie.

– Zależy mi na każdym – odparł, wciąż zachowując ten cholerny spokój. – Nie lubię, jak ludzie niszczą sobie życie.

Zrobiło jej się przykro. Nie zamierzała flirtować z parobkiem ani domagać się na siłę komplementów. Po prostu spodziewała się innej odpowiedzi. Milszej. Ale Dominik był mistrzem trzymania dystansu. Pogodziła się z tym. Jednak było jej przykro, że w ogóle musi to robić. Że ten parobek do tego stopnia zaprzęta jej myśli. A przecież nie powinien.

Kto wie? – Zacisnęła nagle dłonie, a potem je rozprostowała. – Może gdyby nie on, to wyszłaby za mąż za tego Szewczyka? Już się przecież zgodziła, że wypełni wolę rodziców.

Ale ten bezczelny Dominik był pierwszym mężczyzną, na którego spojrziała inaczej. Poznała smak tego uczucia fascynacji drugim człowiekiem.

Biedny, ponury i niedostępny.

Babcia ma rację. Źle podejmuję decyzję – pomyślała.

Jednak cofnęła się o krok.

– Nie pójdę – powtórzyła uparcie – i odradzam ciągnięcie mnie siłą. Będzie wstyd na całą wioskę. Ludzie was zobaczą. Niby droga przez las, ale wszędzie można kogoś spotkać, a ja będę krzyczeć – ostrzegła od razu.

– Święci patroni! – zawołała bona. – Co też panienka wyprawia? Wszystko to dobre dla podlotka, ale wreszcie czas zmądrzeć. Nie ma panienka szesnastu lat – zakończyła w taki sposób, jakby to oznaczało absolutny koniec świata i największą katastrofę.

– Tak właśnie zrobiłam, zmądrzałam – odparła stanowczo Julianna tonem nieznoszącym sprzeciwu. Takim, jakim mówi się do służby. Nigdy wcześniej go nie używała, nie tworzyła podziałów, ale teraz chciała być zrozumiana. – Moja matka będzie musiała się do tego przyzwyczaić.

Stanisława posłusznie skinęła głową, знаła swoje miejsce. Józek również natychmiast się uklonił i tylko Dominik zagapił się i wciąż nie reagował.

Nie ma odruchów jak służba – pomyślała Julianna.

– Wróćcie do dworu – nakazała.

Dopiero wtedy drgnął. Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Wyczuł w niej niezłomną wolę. Dokładnie taką samą, jaka i jego charakteryzowała. Odwrócił się i bez pożegnania wyszedł.

Julianna została na środku chatki. Objęła się ramionami. Czowała się dziwnie. Zawsze myślała, że kiedy człowiek podejmuje ważne decyzje, to ma w sercu pewność, a tymczasem nią miotało na różne strony. Nic jednak nie zmieniało faktu, że ostatecznie stała w miejscu i nie zamierzała się stąd ruszać.

– Co teraz będzie? – Prababcia nigdy wcześniej się nie załamywała. Nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Ale perspektywa trudnego życia dla Julianny ją pokonała. – Gdzie ja cię, dziecko, położę?

Faktycznie w chatce było tylko jedno łóżko.

– To nie ma znaczenia, babciu.

– Jak to?! – oburzyła się staruszka. – Idzie zima! Ty wiesz, jakie tu są śniegi?!

– Takie same jak u nas. Zobaczysz, postawię tu dwór piękniejszy niż ten na dole – mówiła Julianna z entuzjazmem, który naprawdę nie miał żadnych podstaw. – Jeszcze tego dożyjesz. Musisz mi obiecać, że doczekasz, aż wprowadzę cię przez piękne dębowe drzwi do środka. Będą ładne podłogi i wielkie okna, i nowe meble, a także żadnych długów.

– Kogo ty chcesz, dziecko, leczyć, żeby cię było na to stać? U nas takiego hrabiostwa to nie ma, a ci, co czasem mnie płacili jakimś groszem, z tobą nie będą chcieli rozmawiać. Ojciec na pewno się o to postara. Wyobrażasz sobie, jak on się wścieknie?

– Nic się nie martw, babciu. – Julianna była już w zupełnie innym świecie. Robiła trzy kroki po maleńkiej drewnianej chałupince, ale oczyma wyobraźni widziała się w przestronnym salonie. – To będzie naprawdę wspaniałe.

Antonina nie była ani trochę przekonana.



Godzinę później znów zobaczyły, że ktoś zmierza w stronę ich domku. Julianna od razu wiedziała, że to nie chorzy potrzebujący wsparcia. I rzeczywiście, niewielkim powozem jechali starsi państwo i jakiś młody, dobrze wyglądający mężczyzna. Szewczyk.

– To on – wyszeptwała prababcia. – Masz jeszcze szansę.

Julianna pomyślała przez moment, że może to faktycznie racja. Los jest dla niej łaskawy. Pozwala jej jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję.

Młody Brzeźnik zsiadł z powozu jako pierwszy i śmiało podszedł w stronę panienki. Wysła przed dom i skłoniła się, jak przystało na pannę z dworu.

– Dzień dobry – przywitał się mężczyzna. Był niskiego wzrostu, raczej drobny, ale twarz miał miłą. Dobrze mu patrzyło z oczu.

I wtedy to poczuła. Pewność. Cokolwiek czekało ją tutaj, ile by dzieci nie przyszło wychować w trudniejszych warunkach, wszystko to będzie lepsze niż codzienność u boku człowieka, którego się nie kocha.

Musiałaby go oszukiwać każdego dnia i każdej nocy. To oczywiste, że w końcu by to od-

krył. Nie da się przecież kłamać przez całe życie. Nie, kiedy się mieszka z kimś pod jednym dachem. Może inne kobiety to potrafiły, była tego nawet pewna, że czasem to się udaje, ale ona nie umiała.

– Panienco Julianno – odezwał się znowu. – Przyjechaliśmy prosić, żeby panienka z nami wróciła. Ja nie mam żadnych złych zamiarów – dodał. – Wiem, że mogła się panienka spodziewać czegoś innego w życiu, ale obiecuję, że będę o panienkę dbał ze wszystkich sił – mówił żarliwie i szczerze.

Jego rodzice kiwali głowami. Wpatrywali się w Juliannę wyczekująco. Babcia miała rację. Jak zawsze. Ci dobrzy ludzie rzeczywiście chcieli stworzyć jej miły dom. Ale niestety nic by z tego nie wyszło.

Podeszła bliżej do tego mężczyzny, spojrzała mu w oczy.

– Nie mogę – powiedziała z całą pewnością. – Jest gdzieś dziewczyna, która będzie szczęśliwa, mając takiego męża i dobrych teściów. – Przez twarz mężczyzny przebiegł grymas złości. – Na pewno tak. – Kiwnęła głową. – I dziękuję, że tu przyjechaliście.

Nie chciała się już tłumaczyć, że dzięki nim upewniła się co do swoich decyzji, ale tak właśnie było. Nie potrafiła ich skrzywdzić właśnie dlatego, że chcieli jej okazać serce.

Jej stanowczość podziałała na nich. I w tym przypadku wykazali się klasą. Nie padło żadne obraźliwe słowo. Nie dali po sobie poznać, jak bardzo są rozczarowani.

Chłopak szybko wskoczył na wóz. Zawrócili na wąskim podwórku i odjechali. Matka Szewczyka jeszcze się obejrzała kilka razy, ale Julianna stała wyprostowana na środku ubogiego podwórka i nie sprawiała wrażenia, że chce zmienić zdanie. Zawołać za nimi. Po chwili zasłoniły ich drzewa w lesie. Zniknęli im z oczu.

– Teraz to ja już nie wiem, co będzie. – Prababcia podeszła do niej. – To się rozniesie po okolicy. Możesz jeszcze za nimi pobiec... – dodała z nadzieją. – To może nie za bardzo godne damy, ale jeśli głośno krzykniesz, zatrzymają się.

– Nie zawołam za nimi, prababciu. Nie zrobię tego. – Julianna objęła ją za ramiona i poprowadziła do chaty.

– I co? Faktycznie zostaniesz tutaj na noc? – zapytała Antonina ze smutkiem.

– Przecież czasem już się tak zdarzało. A moja bona udawała, że nie widzi.

– To było jednak coś zupełnie innego.

– Nie martw się – powiedziała Julianna. – Tym razem ja ci to powiem. Nie martw się – powtórzyła. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mnie tu czeka nowe życie. Tyle roboty, i bardzo dobrze – dodała.

## ROZDZIAŁ 5



Panu Łąckiemu zdarzyło się już dwa razy w życiu udawać stan przedzawałowy. Głównie po to, żeby uniknąć spłacania długów. Ale teraz poczuł, jak to naprawdę jest, kiedy człowiek nie może złapać oddechu, a piersi faktycznie ściska żelazny pierścień.

Goście już odjechali, choć słyszał, że w salonie jeszcze ktoś rozmawia z jego żoną, ale wyraźnie widział powóz Szewczyków okrążający zaniedbany klomb i znikający powoli w drodze do bramy.

Cholerny świat! To było naprawdę dobre rozwiązanie – pomyślał z ogromnym rozgoryczeniem. – Chcieli wziąć Juliannę bez posagu i dać jej bezpieczny dom. Może to nie była najlepsza inwestycja, ale też i żadna strata, a to też się liczyło. Zwłaszcza teraz, w sytuacji, która ciągle się komplikowała. Jego syn, dziedzic, miałby wolną drogę do objęcia majątku. Łącki już nie mógł się tego doczekać tego pięknego wydarzenia, ale do rozwiązania pozostało jeszcze trochę tygodni i jeśli chciał osobiście przywitać następcę, musiał dożyć.

Oparł się więc mocno dłonią o parapet i oddychał. Przydałby się teraz jakiś specyfik babki jego żony. Nie chciał jej znać. Przyniosła rodzinie wiele wstydu, ale nie można było odmówić jej umiejętności leczenia.

– Czarownica – wyszeptał ze złością wściekły, że jest od niej zależny i że tak naprawdę chciałby, żeby mu pomogła. Przypomniało mu się jednak, że ma nalewki w kredensie w salonie i że one też nieźle potrafią człowieka postawić na nogi.

Wyprostował się powoli, postawił kilka ostrożnych kroków i uznał, że nie jest tak źle. Miał tylko nadzieję, że nie spotka w jadalni kolejnego plotkarza, który przybył tutaj, by pożywić się wieściami i roznieść je następnie po okolicy. Niedługo nawet ta wielka sympatia, jaką wszyscy darzyli tutaj Juliannę, może jej nie wystarczyć.

Otworzył drzwi i niestety od razu poczuł, że wszystkie objawy stanu przedzawałowego, które właśnie nieco zelzały, znowu do niego wracają. Zobaczył bowiem Jakuba Żalczyka.

A ten co tutaj? – pomyślał ze złością, po czym kompletnie wbrew swoim odruchom rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się.

– A witam, witam szanownego pana sąsiada. Miło zobaczyć. – Kłamstwo w jego głosie wcale nie było słyszalne, a uśmiech wyglądał na całkowicie szczery. Nikt się nie zorientował.

– Przyjechałem zobaczyć, co u was słyhać – powiedział Żalczyk, wyraźnie zadowolony z tego serdecznego przywitania.

No tak – pomyślał Łącki. – Następny chętny, żeby się pożywić cudzym nieszczęściem.

Żalczyk uśmiechnął się.

– Widziałem, że kolejny kandydat z podwiniętym ogonem odjechał ze dworu – powiedział. Satysfakcja była wyraźnie widoczna na jego twarzy.

Łącki podszedł ostrożnie do gościa. Rozstali się ostatnio w gniewie i nie wiedział, czego ma się spodziewać.

– Ja tam nie żywię żalu – uprzedził jego pytania Żalczyk. – I powiem szczerze, moja propozycja ciągle jest aktualna.

– Ale przecież Julianna wyraźnie powiedziała... – zaprotestował Łącki.

– Panienska lubi zmieniać zdanie – przerwał mu Jakub – to widać. Płocha jeszcze dziewczyna. Ale ja jestem mężczyzną. Moje słowo nie jest jak wiatr, bardziej jak drzewo o mocnych korzeniach. – Rozejrzał się wokół bardzo zadowolony ze swojego porównania i ciekaw, czy jeszcze ktoś inny też je docenił.

Ignacy Łącki usiadł naprzeciwko. Zrobiło mu się słabo.

– Powiem, jak jest – zaczął. – Bo i tak zaraz wszyscy się dowiedzą. – Spojrzał na żonę, ale trzymała się nieźle. Wszystko już wiedziała. Liczył na to, że rozmowa pomoże rozładować napięcie i nie zaszkodzi ciąży. – Julianna postanowiła przeprowadzić się do prababki. – Te słowa z trudem przechodziły mu przez gardło, choć wiedział, że już jutro rano będzie je słyszał wszędzie. – Na stałe – dodał na koniec.

Pani Łącka pobladła.

– Ach tak? – Żalczyk przyjął to ze spokojem.



Wiedział – pomyślał Łącki.

– Trzeba ją w takim razie ściągnąć do domu – zaproponował.

– Odmówiła! – Anna rozplakała się na dobre. – Wysłaliśmy po nią bonę i dwóch parobków. Na nic! Boję się, że nawet jeśli pójdziemy sami, też nas odprawi! – Próbowwała wycierać łzy, ale wciąż płynęły nowe. Czowała się taka bezradna.

Żalczyk stanął przed nimi i wyprostował się.

– Wszyscy zapomnieli, że panienka Julianka to tylko zwykła dziewczyna – powiedział stanowczo. – Pomaga ludziom, jest bardzo ładna, wychowała się we dworze i tak urosła w niezwykłość, że ludzie boją się potraktować ją normalnie. A przecież to jedynie wasza córka.

– Co pan ma na myśli? – Nie zrozumiała pani Łącka.

– Można brać zdanie podlotka pod uwagę, jeśli ktoś jest taki miły, jak wy – pouczył ją Żalczyk. – Ale nie trzeba. Gdyby w każdej rodzinie chciano się słuchać dorastających pańienek, tobyśmy wszyscy zwariowali. To przecież płochy i nic nie wie o życiu – dodał lekceważącym tonem. – Ściągnijcie ją tutaj i wydajcie za mnie za męża.

Łącki tylko machnął ręką. Nawet się zasłuchał, bo myślał, że sąsiad coś poradzi, ale zwątpił, widząc jego naiwność.

– Ona nie przyjdzie, przecież mówię – zaprotestował.

Jakub Żalczyk spojrział na niego z wyższością.

– Założymy się o dziesięć butelek twojej najlepszej nalewki, że za pół godziny tu będzie? – zapytał prowokacyjnie. – Przybiegnie do mnie.

– Jasne – odparł kpiąco Ignacy. Miał dość. Był zmęczony. Sytuacja finansowa dworu zdążyła się w krótkim czasie znowu pogorszyć. Na syna wciąż czekał, córka sprawiała kłopoty, a na horyzoncie nie rysowała się żadna iskierka nadziei. A jeszcze ten tu mu plótł takie bzdury.

– No to patrzcie i ucicie się. Niech pani idzie do sypialni – poprosił Łącką – i położy się do łóżka, a potem zacznie jęczeć. Niech służba zrobi harmider...

Mama Julianny już wiedziała, co on ma na myśli. Stała na miękkich nogach, pełna wątpliwości, czy dobrze czyni. Które działanie służy córce, a które jest przeciw niej. To wcale nie było takie łatwe do stwierdzenia.

Ale przypomniały jej się słowa matki, która mówiła jej zawsze, jak ciężko jest kobiecie żyć poza systemem i że najgorsze, co może ją spotkać, to kiedy nie ma własnego gniazda, swojej przynależności.



Poszła więc po schodach, zgodnie z tym, co uradzili mężczyźni, bo mąż od razu zaczął się zapalać do tego planu. Jeśli mogli w ten sposób uratować Juliankę, to warto było zaryzykować. Położyła się do łóżka i zaczęła jęczeć. Wyszło całkiem przekonująco, bo faktycznie nie czuła się najlepiej. Wkrótce przybiegła do niej Stasia, potem gospodyni i zaczęło się zamieszanie.

Żalczyk odczekał piętnaście minut.

– Teraz zawołajcie mi tę waszą bonę. Już!

Łacki wrzasnął:

– Staszka, chodź no tutaj szybko!

Dziewczyna przybiegła blada i od razu zapłakana. Wystraszona jak wszyscy, że ta wymarzona ciąża pani może źle się skończyć.

– Biegnij po panienkę! – zawołał. – Z panią bardzo źle. A dobrze wiesz, że lekarz sobie nie poradzi. Leć migiem. Niech przyjdzie sama, bez prababki, żeby się pani nie denerwowała – zadysponował.

Dziewczyna szybko otarła oczy wierzchem dłoni i pobiegła, lekko się potykając o dół sukni. Bardzo się przejęła.

– Widzisz? – Jakub spojrział na niego z wyższością.

– No i co? – Ignacy wcale nie był przekonany. – Przyjdzie, zobaczy, że to podstęp, i co nam z tego będzie? Jutro znowu wróci do prababki.

– Ja to się w ogóle dziwię, że panienka w dobrym zdrowiu i nienaruszonej cnocie dożyła do tych osiemnastu lat w takich warunkach – odparł Żalczyk. – Przecież wy jej w ogóle nie umiecie pilnować! Zamkniesz ją w pokoju i tyle. I nie wypuścisz, dopóki nie zmięknie – zakończył stanowczo.

– Chyba oszalałeś! – Łacki czuł, że jednak ma swoje granice i właśnie do nich dotarł.

– A co? Wolisz, żeby się najadła wstydu? Całe życie była sama? Byłeś kiedyś w tej chatce? Ile lat temu?

– A ty byłeś?!

Żalczyk odwrócił wzrok. Nie miał zamiaru się zwierzać. Ale owszem, miał kiedyś pewien problem i Antonina mu pomogła. Kilka razy musiał ją odwiedzić po zmroku.

– Ledwo się ta chałupa trzyma kupy – odparł wymijająco. – W zimie to może jakaś starucha przyzwyczajona do takich warunków tam przeżyje, ale nie młoda, delikatna dziewczyna. Ludzie jej tego nie zapomną. Wiesz o tym. – Spojrział na Łackiego. – Nawet zwykły dzierżawca jej nie weźmie, choćby ją nie wiem jak lubili i szanowali. Teraz jest we wsi spokój, ale wystarczy iskra i wszystko znowu zapłonie. Dziewczyna sama mieszkająca w lesie – rozkręcał się, a Ignacy robił się coraz bledszy. – A ludzie tam chodzą dniami i nocami – dodał znacząco. – Mężczyźni to zwłaszcza nocami. Starej babie to nie szkodzi, wiadomo, że do niej to każdy po leki, ale teraz pomyśl. Jak będzie tam mieszkała młoda panienka, to co ludzie zaczną natychmiast gadać? No, głupi nie jesteś, tak?

Łacki nie był.

– Dobrze. – Kiwnął głową, całkiem już przestraszony. – Przetrzymam ją chwilę. Jak długo będzie trzeba. No, ale ty jakoś musisz się z nią dogadać. Przecież nie będziemy jej wlekli siłą do ołtarza.

– Może sama zmadrzeje i pójdzie? – Żalczyk nie tracił pewności siebie. – Ludzie i tak już gadają, że coś między nami było.

– Bójcie się Boga! Ja tego nie słyszałem. – Łacki czuł, że jeszcze jedna zaskakująca wiadomość i naprawdę oszaleje. – Czemu to wszystko jest takie skomplikowane? Dlaczego nie mogę po prostu normalnie wydać córki za męża? Czemu Bóg nie obdarował mnie synem?! – żalił się. – Byłoby prościej. No właśnie! – zawołał, bo mu się przypomniało. – A ty nadal ją chcesz? Wiesz przecież, że nie dostanie takiego posagu, na jaki zasługuje. Spodziewam się dziedzica.

– Tak, tak. – Żalczyk przyjął to ze spokojem. Jakby nie była to najważniejsza sprawa na świecie, lecz jakaś błahostka.

To było naprawdę dziwne.

Tak łatwo zmienił zdanie? – zdumiał się Łacki. Nie wiedział, że Jakub Żalczyk poradził się swojej starej gospodyni wprawionej w przewidywaniu, czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka. I ona wyłuszczyła mu, że na podstawie kształtu brzucha dziedzicowej można stwierdzić, że rodzina Łackich powita niedługo na świecie kolejną dziewczynkę. A ta nie stanowi zagrożenia, choćby i nawet trzeba się było z nią kiedyś podzielić majątkiem. To przecież dopiero za wiele lat. Wszystko się może do tego czasu zdarzyć, a póki co będzie tylko młodszą siostrą. Nikim więc jej.

Żalczyk zatarł dłonie.

– Są w życiu rzeczy ważniejsze niż pieniądze – pouczył Łackiego. – A my się przecież dogadamy.

– Nie no, oczywiście. – Ignacy naprawdę był pod wrażeniem. Nawet się wyprostował. Może nie było tak źle i miał jeszcze szansę na to, by problemy się rozwiązały.

## ROZDZIAŁ 6



Gdzie byłeś? – Dominik usiadł na prostym łóżku, które od wielu tygodni służyło mu do spania, po czym z wyrzutem spojrział na swojego najlepszego przyjaciela. – To już trzeci wieczór z rzędu! – zawołał.

Józek lekko chwiał się na nogach i był w wyraźnie dobrym humorze.

– Trzeba żyć! Nie to, co ty.

– Żyję – warknął Dominik. – Ale przy okazji nie szwendam się byle gdzie.

– Ja też nie – odparł spokojnie Józek. – W samym dworze byłem. Mają tam tyle pokoi, że nawet nie wiedzą, co się w którym dzieje. Żeby nie afera z panią, toby mnie tam jeszcze więcej miłych rzeczy spotkało. Ale Stasię wezwali pilnie.

– Jaka afera z panią? – zapytał Dominik.

– Pogorszyło się jej i Stasia musiała lecieć po panienkę.

– Ach tak – domyślił się od razu Podhorski. – Taki znaleźli na nią sposób.

– Myślisz, że to podstęp? – Józek usiadł po drugiej stronie.

Mieszkali najlepiej ze wszystkich parobków. Dominik przystosował dla nich starą szopę, wyrzucił wszystkie zalegające tam od dziesięcioleci graty, resztę posprzątał, poukładał, pozawieszał równo na ścianie, wbijając w nią gwoździe, zamiótł podłogę, uzupełnił brakujące deski, zbił dwa łóżka, można powiedzieć właściwie prycze. Zrobił sienniki, a koce przyniosła im gospodyni.

Już lubiła Dominika. W każdym gospodarstwie obrotny mężczyzna jest na wagę złota, a on udowodnił, że potrafi spełnić wiele prośb. Szybko, bez gadania i na dodatek jak należy. Reszta przyjęła to z milczącą zgodą. Niektórzy z pracujących przy dworze chłopów wracali na noc do domu, inni spali byle gdzie. W stodole, w stajni, zabudowaniach folwarcznych. Różnie bywało i obowiązywała dość ścisła hierarchia. Kto dłużej pracował, miał nieco lepiej.

Ale ci dwaj nowi nie wpisywali się w żaden schemat. Nikt nie umiał ich zakwalifikować. Ani pan, ani gospodyni, ani najprostszy stajenny chłopiec. Uznano więc, że skoro tak sobie wysprzątały w tej szopie, to należy do nich.

– Ciekawe, czy dadzą jej radę. – Józek rzucił się na poduszki, założył nogę na nogę i rozmierzonym wzrokiem wpatrywał się w sufit, jakby widział tam jakieś fascynujące obrazy.

– Panience Juliannie? – Dominik spojrział na niego.

– Tak.

– Nie wiem, ale obstawiam, że tak. – Podhorski nie miał złudzeń. – W końcu co taka dziewczyna może? Sama przeciwko rodzicom.

– Zbuntowała się przecież – powiedział Józek.

– A pamiętasz, jak moja kuzynka Jadzia wychodziła za męża? – zapytał Dominik. – Ile tam było płaczów, krzyków. Dwa tygodnie nie chciała nic jeść, aż wreszcie ustąpiła. Taki los panieński – zakończył z westchnieniem, wiele spraw na tym świecie wcale mu się nie podobało.

– Ano taki – zgodził się bez oporu Józef. – Nasz los lepszy. Możemy wybierać.

– Twój lepszy – uściślił Dominik.

– Nie gadaj. Na moje oko to ty się podobasz tej Juliannie.

– To jakaś bzdura – zaprotestował Dominik. – Wiesz, jak jest. Nie zostanę tu na zawsze.

Odczekam jeszcze trochę i wracam do swoich.

Józek westchnął.

– Widzę, że pomalutko faktycznie trzeba będzie tam wrócić – powiedział. – Jeszcze tylko nie wiem jak, żeby cię na pewno nikt nie poznał. Ty się nie uspokoisz, dopóki nie staniesz nad mogiłą rodziców. Dopóki do ciebie nie dotrze, że naprawdę nie masz dokąd wracać. Wczoraj tak myślałem. – Usiadł energicznie z powrotem na łóżku. – W kółko gędzisz o tym wracaniu. Gadasz i gadasz. To i w końcu pomyślałem, że nie ma na to rady. Nie widziałeś na własne oczy, jak zginęli, a dwór płonął i to cię będzie prześladować.

Dominik uznał, że przyjaciel ma rację, ale nie przyznał mu się, że w sumie nie wierzy w tamtą wersję wydarzeń. Każdej nocy umacnia słabą nadzieję, która pojawiła się już na samym początku. Że cała ta opowieść o tym, że rodziców zastrzelono, zginął także brat i jego młodziotka

narzeczona, jest nieprawdziwa. Nie odebrano im dworu. Po prostu zaborcy przyszli w czasie wesela, rozgonili gości, narobili hałasu, strachu, ale nie posunęli się aż tak daleko.

Dominik niepotrzebnie uciekał. Teraz wystarczy tylko wrócić, podejść szeroką dróżką wśród lip pięknie utrzymanych, przyciętych, nie to, co tutaj, po wylewionym żwirku i zobaczyć wybielone ściany dworu, bez żadnych zacieków od wilgoci, błyszczące okna, a także kwiaty matki otaczające dom ze wszystkich stron. Jej ukochane piwonie, róże... Usłyszeć głos ojca kręcącego się po obejściu, poczuć zapach chleba. Nic się tam nie zmieniło.

Miał ochotę powiedzieć to na głos, ale się powstrzymał. Wiedział, jak Józek by zareagował.

– Muszę wrócić – powiedział do niego stanowczo. – Masz rację.

– Wiem, wiem. Tylko bardzo cię proszę. Pozwól mi obmyślić jakiś sposób.

– Co tu dużo myśleć? – Dominik miał ochotę biec natychmiast. – Po prostu wyjdziemy tak, jak przyszliśmy. Nikt nas przecież nie będzie szukał. Nie wiedzą, kim jesteśmy.

– Idzie zima – twardo odparł Józek. – Nie możemy się plątać po świecie jak bezdomni. Bez koni, pieniędzy, nazwiska, przyjaciół, rodziny. Drugi raz nam się takie miejsce jak tutaj nie trafi. We dworach coraz ciężej. Liczą każdą gębę, którą mają do wyżywienia. Musimy to tak zrobić, żebyś mógł tu wrócić.

Dominik zacisnął usta. Co to za gadanie? Po co miałby tu wracać? Ale tego też nie odważył się powiedzieć głośno. Nie był głupi. Ta opcja, że jednak straszna historia, jaką mu opowiedziano, jest prawdziwa, była bardzo realna. Starał się ją trzymać z dala od siebie, żeby nie zwariować, ale ona wciąż zbliżała się do niego i mówiła: „Popatrz w moją stronę, tu jestem. Nie masz już rodziców, domu, nie masz dokąd wracać”. I choć nie miał żadnych wątpliwości, że powinien tam pojechać i upewnić się, choć nadzieja nie umierała bez względu na to, jak racjonalne argumenty przytaczał Józek, to jednak wiedział, że przyjaciel ma swoje racje. Tylko jak to wytrzymać? Jak udźwignąć taki ciężar?

Zawsze już będę parobkiem – pomyślał.

– Ciekawe, co pani Łacka urodzi? – wyrwał go z zamyślenia Józek. – Chłopaczka czy dziewczuszkę? Oni tacy pewni, że już za chwilę będą tu mieć dziedzica, a przecież różnie to bywa.

Dominika zupełnie ta sprawa nie zajmowała.

– Ty jesteś mądry – powiedział Józef do niego z serdecznością głosie. – Tobie by wystarczyło dać kawałek ziemi i poradziłbyś sobie. Umiesz gospodarzyć.

– Parobek nigdy nie oszczędzi tylu pieniędzy, żeby kupić sobie kawałek ziemi. – Dominik machnął dłonią. Potem położył się na łóżku.

– Może się ożenić? – odpowiedział mu cicho Józek, a Podhorski aż się zerwał. Tak gwałtownie, że coś mu strzeliło w karku.

– Zwariowałaś? To się nigdy nie stanie. Nie wytrzymuję ślubu, nawet kiedy muszę patrzeć na niego z daleka. Poza tym co ty myślisz, że jestem jak Łacki? Sprzedam się za pieniądze? Oszukam jakąś biedną dziewczynę?

– Biedną to nie – zaprotestował Józek. – Bardziej miałem na myśli bogatą.

Dominik opadł na łóżko. Tym razem w poczuciu beznadziejności.

– Nie będę ci tłumaczył. Spijmy. Jutro trzeba wstać skoro świt i znowu nas czeka robota. Jeszcze buraki zostały na polu, a przymrozek może nadejść lada moment. Kapustę trzeba zakisnąć, pola pograć, wysprzątać, narzędzia pochować, wozy na zimę zabezpieczyć. Huk roboty, a w sadzie sześć ostatnich późnych jabłoni wciąż aż się ugina od owoców. Czemu oni tego nie zbierają? Czas już pochować to do skrzyń, żeby nie spadały i nie obijały się. Nikt tu niczego nie planuje, służba robi, jak chce, co komu do głowy przyjdzie.

– Mają myśli zaprzątnięte czym innym.

– Ale gospodarstwo się samo nie poprowadzi – jęknął Dominik.

Józek milczał. Już się zdażył odnaleźć w nowej sytuacji. Też myślał często o swojej rodzinie. Ciekawy był, co też w chałupie słychać, ale patrzył w przyszłość. Tyle tu było ładnych dziewczyn. Niektóre bardzo biedne, inne miały kiedyś dostać chałupę po ojcach. Niektóre ładne, inne mniej, chude i dorodne. Można było wybierać.

Tak też zamierzał zrobić. Bawił się, śmiał, ale ani na chwilę nie tracił kontaktu ze swoim zdrowym rozsądkiem. Wiedział, że lada moment wyląduje w jakiejś niezłej przystani i zacznie sobie budować nowe życie. Nigdy jednak nie będzie szczęśliwy ani spokojny, dopóki jego pan też so-

bie nowego życia nie ułoży. I dla niego były tu perspektywy. Młody pracowity mężczyzna zawsze sobie poradzi, pod warunkiem że nie jest tak strasznie uparty, zgryźliwy, ponury, zły. Że nie ucieka przed każdą kobietą.



Dominik już zasypiał, gdy Józek znów się odezwał.

– Byłem dziś w dworskiej spiżarni – powiedział. – Stasia jakoś zdobyła klucze. To bardzo obrotna dziewczyna.

– Nie wiem, czy mogliście wybrać gorsze miejsce na schadzkę – westchnął Dominik. – Ktoś mnie tu poucza o zachowaniu zdrowego rozsądku, a sam ryzykuje jak diabli.

– To była tylko chwila. Chciała mi pokazać nowy zapas konfitur, żebym spróbował – pochwalił się Józek i aż oblizwał na samo wspomnienie.

– To przecież kradzież – oburzył się Dominik.

– Nie – zaprotestował przyjaciel. – Dobrze wiesz, że tu się na niczym nie znają. Bez przerwy latają o wszystko cię pytać. No to ja skorzystałem i porobiłem chwilę za fachowca. Ocenilem konfitury. Bardzo dobre.

– Chciałbym spać. – Dominik był zły. – Dla mnie wieczory są zawsze najgorsze.

– Tak – przyznał Józek. – Mnie też wtedy nachodzą myśli o rodzinie, co tam u nich słychać... – Zamilkł nagle, bo zdał sobie sprawę, że to nie zabrzmiało dobrze.

Ale Dominik nie skomentował, że on nie ma nawet tej pociechy, żeby mógł sobie wyobrazić, że jego bliscy coś robią. Może nie jest u nich tak źle, że może kiedyś znowu się spotkają. Westchnął tylko, a potem zacisnął zęby.

– Ja o tym chciałem powiedzieć – tłumaczył się szybko Józek – że przez szparę w drzwiach widziałem Żalczyka, jak siedział w jadalni, rozparty na krześle.

– A ten czego tu szuka? Mało mu jednego kosza? – zdenerwował się Dominik. Nie lubił tego człowieka.

– Ano chyba tak, bo powiem ci, że wyglądał na człowieka, który coś wymyślił. Nic dobrego dla naszej panienki.

– Naszej? – zdziwił się Dominik. – Widzę, że zapuszczasz korzenie.

– Trza se radzić, a to dobra dziewczyna – odparł przyjaciel. – Ona by to miejsce na nogi postawiła.

– Ale nie dostanie szansy. – Dominik nie miał złudzeń. – Urodzi się jej brat i zabierze wszystko. Ja to dobrze znam. Nieważne, kim jesteś i jakie masz zdolności, liczy się tylko, który jesteś w drodze do dziedziczenia. Jak to ty powiadasz, takie życie.

– O, ale panienka to ma jeszcze gorzej – dodał szybko Józek. – Może skończyć w łapach tego obrzydliwca.

– Mówię ci przecież, że dali mu kosza. Zresztą ona uciekła. – Dominik się zniecierpliwiał. Nie chciał już o tym mówić.

– Ale i tak zaraz tu będzie. Mają plan trzymać ją w pokoju, aż zmięknie.

– Co ty gadasz? – Dominik nie mógł pojąć tej intrygi. – Na co Żalczykowi dziewczyna bez posagu? Przecież Łacki nie podzieli dworu na pół. Może jej rzuci jaką łakę na pociechę, ale co to jest?

– Ja nie wiem. – Józek podrapał się po głowie. – Przez chwilę nawet próbowałem to rozgryźć, konfitury mi zawsze dobrze działają na myślenie, ale nie dało rady. Jedno ci tylko powiem, bo widziałem na własne oczy przez szparę. Żalczyk był zadowolony. Na pewno nie z tego, że dostanie pannę bez posagu. Coś ma, jakiegoś haka w zanadrzu.

Dominik położył się. Właściwie to przecież nie była jego sprawa, ale Józek umiejętnie poruszył czułą strunę. Kolejna nieszczęśliwa dziewczyna idąca do ślubu to było coś, co łapało go za serce. Pracował tu ciężko nie tylko z szacunku wobec dobrze wykonanej roboty, którą wpoili mu rodzice, lecz także po to, by się dobrze zmęczyć, zmachać. Żeby wieczorami nie myśleć. Zamknąć tylko oczy i odpłynąć.

Tego mu jednak los żałował, ciągle pozostawiając zbyt wiele czasu na rozważania.

Bez przerwy wracał wspomnieniami do tamtego momentu, gdy jego brat pięknie ubrany stał z ojcem przed dworem rodzinnym i witali weselnych gości.

Nie dane mu było zobaczyć Emilki w sukni ślubnej, nie wiedział więc, czy przyjechała uśmiechnięta, smutna, zawstydzona czy przejęta. Pole dla wyobraźni pozostawało otwarte. Ciągle więc się zastanawiał, czy na pewno tego chciała, a może namówili ją podstępem. Coraz bardziej skłaniał się ku teorii, że więcej tam było rozsądkowych ustaleń niż porywów serca.

To wspomnienie budziło w nim niechęć wobec wszystkich, którzy zmuszają kobiety do związku wbrew ich woli.

Jakie to okropne – myślał. – Kiedy człowiek nie może być z tym, kogo naprawdę kocha.

I choć jego serce było w tym momencie suchą ziemią, gdzie nikt nie miał szans posadzić żadnego żywego uczucia, które miałyby szansę, żeby rosnąć, to jednak zasnął z obrazem Julianny pod powiekami i dziwnym postanowieniem, żeby jednak jej pomóc.

Niech choć ona będzie szczęśliwa, skoro inni nie mogą.

## ROZDZIAŁ 7



Ignacy Łacki stał przy wejściu i podziwiał spryt Żalczyka.

Jakież to proste kierować kobietami – pomyślał zły sam na siebie, że nie wpadł na tak oczywiste rozwiązanie.

Julianna mogła pogardzić wszystkim: ludzką opinią, posagiem, który oddała ojcu, pozycją towarzyską, ale wiadomo było, że nie zostawi matki w potrzebie. Zwłaszcza w takiej sytuacji, kiedy w grę wchodziły dwa życia.

Patrzył właśnie, jak córka pędzi po schodach do sypialni rodzicielki przestraszona i przejęta.

Łacki czuł się zagubiony w tych wszystkich zawirowaniach i chciał wreszcie mieć spokój. Teraz, kiedy długi zostały spłacone, czuł się panem stworzenia i naprawdę denerwowało go, że ciągle musi sobie zawracać głowę skandalami i komplikacjami związanymi ze ślubem córki. Kochał Juliannę, ale jeszcze bardziej kochał spokój i swoją wygodę.



– Jak się czujesz, mamoo? – Dziewczyna wpadła do pokoju i podbiegła do łóżka. Była bardzo zdenerwowana. Prababcia nie zgodziła się jej towarzyszyć. Za to wyrzuty sumienia przyczepiły się do Julianny od razu i nie chciały odejść ani na chwilę.

– Nie wiem. – Pani Łacka na jej widok poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nie chciała oszukiwać swojej córki, życzyła jej jak najlepiej. Ale w jej małej głowie nie zmieścił się żaden pomysł na to, jak można byłoby lepiej rozwiązać tę sytuację. – Nie wiem – powtórzyła słabo. – Ale coś się dzieje.

Czuła to teraz wyraźnie. Czy to ten stres spowodowany wydarzeniami, czy nagle ulga na widok córki, ale rzeczywiście brzuch jej się spiął i stał twardy jak kamień. Znała życie. Zdawała sobie sprawę, że to nie oznacza niczego dobrego i przerażenie ścisnęło ją za gardło. Straciła już dzieci. Znała doskonale tę rozpacz.

– Ja tego kolejny raz nie przeżyję – powiedziała zupełnie szczerze, ściskając dłoń Julianny. – Proszę cię, zrób coś, żeby to dziecko urodziło się zdrowe.

– Spokojnie. – Julianna po raz pierwszy była naprawdę zła na swoją prababcie.

Jak mogła zostawić mamę w takiej sytuacji? Od dziecka słyszała, że każdemu choremu należy się ratunek, a zwłaszcza dziecku czy kobiecie w ciąży. A tu nagle Antonina zaparła się i powiedziała, że nie będzie w tym uczestniczyć.

W czym, do licha? – zastanawiała się Julianna, oglądając starannie brzuch mamy.

– Mam zioła – powiedziała. – Uspokoją cię i spowodują, że zaśniesz. Odpoczniesz. Jutro rano poczujesz się lepiej. Musisz na siebie uważać. Dziecko potrzebuje jeszcze trochę czasu, żeby mogło przetrwać bezpiecznie na świecie.

Anna dobrze to wiedziała.

– Pójdę teraz do kuchni i wszystko przygotuję – powiedziała Julianna. – Leż, proszę, i spokojnie oddychaj. Mów do tego dziecka, pocieszaj go i otocz opieką.

Anna przykneła oczy. Była wdzięczna za zioła, ale te głupoty, których zapewne wyuczyła Juliannę Antonina, nie mieściły jej się w głowie. Jak można mówić do dziecka, które jest w brzuchu? Przecież ono nic nie słyszy! Tak się to kończy, kiedy ludzie mieszkają sami w lesie. Po prostu wariują.

Położyła dłonie na pościeli i czekała.



– Dzień dobry, panienko. – Żalczyk zastąpił jej drogę niespodziewanie. Wystraszyła się, ale szybko chciała go wyminąć. Miała bowiem pilną sprawę do załatwienia.

– Jestem zajęta – powiedziała.

– A tak, tak. To wiem. Najpierw się powoduje kłopoty, a potem się je rozwiązuje.

Jakby ją w twarz uderzył albo prosto w brzuch. W to miejsce, gdzie najbardziej boli. Wyrzuty sumienia gryzły ją i bez tego, a on sprawił, że to się spotęgowało.



– Byłem tutaj, kiedy jej się pogorszyło – ciągnął Żalczyk bez litości, choć widział, jak bardzo jest przestraszona. – Mam dzieci, więc wiem, jak to wygląda. Drugi raz tego nie przeżyje, jeśli jutro się obudzi, a ciebie tu nie będzie. Przyjdzie ci żyć z poczuciem winy, którego nie da się nijak zmazać.

Julianna poczuła, jak robi jej się słabo. Oparła się o ścianę. Chciała poprosić, żeby przestał, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło.

– Pewnie mnie teraz nie lubisz. – Patrzył na nią przez cały czas. Stał bardzo blisko, czuła zapach jego tabaki i jakichś perfum, którymi spryskał się trochę za mocno. Kręciło jej się w głowie. – Ja ci tylko mówię, póki czas, bo jak będzie za późno, to takie słowa nie będą nic warte. Tylko ostrzegam...

Teraz było już jej naprawdę niedobrze. Ani przez chwilę nie wierzyła, że Żalczyk ma dobre chęci. Całe jej ciało krzyczało, że jest w tym jakiś podstęp. Powinna uciekać, i to natychmiast. Jednocześnie nic nie mogło zmienić faktu, że ten mężczyzna miał rację. Mama była w szczególnie trudnej sytuacji choćby ze względu na jej wiek. A Julianna dobrze wiedziała, że silne przeżycie nerwowe może sprawić, że dziecko urodzi się za wcześnie.

– Niech się pan odsunie – powiedziała do niego – Nigdzie nie pójde. Dobrze wiem, gdzie jest moje miejsce.

Wymięła go i pobiegła do kuchni.

Patrzył za nią zadowolony. Podobała mu się i to bardzo.

Kucharka przyzwyczajona do procedur nagotowała już wrzątku. Udało się więc w miarę szybko zaparzyć zioła. Kiedy tylko trochę przestygły, Anna wypła je, a w tym czasie córka smarowała jej brzuch jakąś maścią przygotowaną przez Antoninę. Gładziła każdy centymetr jej ciała z miłością i troską, czule coś szepcząc. Anna przymknęła oczy. Szybko poczuła się zrelaksowana. Wszystkie zmartwienia odpłynęły, a w ich miejsce pojawiły się spokój i przeczucie, że będzie dobrze. To były prawdziwe czary. Trochę się ich bała, ale jednocześnie chciała jeszcze więcej tego błęgiego uczucia. Wiedziała, że czymkolwiek jest, działa dla dobra jej dziecka. Chwilę później zasnęła, a Julianna siedziała na jej łóżku. Słyszała, jak na dole ojciec rozmawia o czymś z Żalczykiem. Nie rozróżniała słów i nie chciała wiedzieć, czego dotyczy dyskusja.

## ROZDZIAŁ 8



Jakże to zamknąć własną córkę pod kluczem? – Ignacy spanikował. Przecież to była jego dziewczynka, Julianka. Chciał dla niej dobrze. Denerwował się wprawdzie i złościł na te wszystkie komplikacje, ale na to jednak nie był gotów.

– Myślę, że nie będzie trzeba – powiedział Żalczyk z dumą, zadowolony, że jak zawsze okazał się sprytniejszy niż Łącki. – Przywiązałem ją czymś mocniejszym niż wszystkie drzwi i bramy – pochwalił się. – Poczuciem obowiązku – dodał, bo ojciec Julianny wpatrywał się w niego intensywnie, bezskutecznie próbując odgadnąć, co też może mieć na myśli.

– Myślisz, że to wystarczy? – zapytał.

– Oczywiście. To na kobiety bardzo dobrze działa – wymądrzał się Żalczyk z miną specjalisty. – Nie ucieknie przynajmniej do rozwiązania i tyle mamy czasu, żeby zakończyć naszą sprawę. Dziś już jest późno, ale przyjdę jutro i pogadam z tobą. Spiszemy jakieś dokumenty, jaki posag Julianna dostanie, jeśli urodzi się jej brat, a jaki, gdy siostra.

Łącki drgnął, jakby taka opcja nawet nie przyszła mu na myśl. Jaka siostra?! Tak się przyzwyczyił do myśli, że będzie miał syna, iż nie brał już w ogóle pod uwagę żadnej innej opcji. Wciąż nie rozumiał, o co temu mężczyźnie chodzi, ale oswoił się z myślą, że małżeństwo z nim będzie dla Julianny czymś dobrym.

Zgodził się więc, a potem odprowadził gościa do drzwi. Był zmęczony. Znowu rozboleła go głowa i żal mu było dnia, który przeciekł przez palce. Tyle roboty czekało we dworze, a on ciągle zajmował się czymś innym. Znowu mu będzie ten nowy parobek łąził, wzruszał ramionami i wzdychał, że nie wszystko działa, jak trzeba.

A jak miało działać, skoro wciąż musiał gasić jakieś pożary? Kobiece humory pojmować? Nie znał się na tym. Ruszył do kuchni po żurek z obiadu. Potrzebował lekarstwa.

Dobrze, że przynajmniej córka siedziała bezpiecznie w rodzinnym domu i nie trzeba się było choć przez chwilę martwić, gdzie za chwilę zniknie.

## ROZDZIAŁ 9



Julianna wymknęła się z dworu późną nocą, kiedy już miała pewność, że wszyscy śpią. Strudzona codziennymi obowiązkami służba, ukołysana łagodnym masażem mama, a także ojciec, który położył na poduszce ciężką od myśli głowę i też już chrapał niezdolny do zauważenia tego, co dzieje się wokół.

Jego córka ubrała się ostrożnie, a potem cichuteńko wymknęła przez okno jak wiele razy wcześniej. Było bardzo ciemno. Cieniutki księżyc ledwo świecił, drzewa szumiały nieprzyjemnie zimnym jesiennym wiatrem, las wyglądał teraz zupełnie inaczej niż za dnia. Mokre liście pachniały przemijaniem i lepiły się do butów. Mgła oblepiała policzki i włosy. Było zimno.

Julianna pomyślała o ciepłym dworze, a także o tym, co powiedziała jej babcia.

Czy jest gotowa na życie w biedzie, niewygody, chłód, oszczędzanie. Nie zastanawiała się nad tym głównie z tego powodu, że cały czas wydawało jej się, iż jej to nie dotyczy. Miała przecież niezwykłą prababcie. Kobieta obdarzoną mocami, które pozwalały przewidywać przyszłość, chronić rodzinę przed nieszczęściem.

Jakież to powinno być proste. Zadać jej pytanie i dostać odpowiedź. Przecież musiał być jakiś sposób, a Julianna czuła się złapana w potrzask. Jakby się obijała w zamkniętej klatce o metalowe ściany i nie umiała znaleźć tej ścieżki prowadzącej do wyjścia.

Jakub Żalczyk trzymał ją w garści. Dlaczego tak się na nią uparł, tego nie rozumiała, ale przypuszczała, że pewnie liczy, iż mama nie urodzi syna. Pięćdziesiąt procent szans. Obstawia taką opcję niczym hazardzista.

Ona ma być jego wygraną. Ale bez względu na to, jak los się rozstrzygnie, jej przyszłość i tak pozostanie marna. Nawet jeśli dostanie posag w postaci dworu i mąż będzie ją bardziej szanował, to i tak jakże nędzne to będzie życie.

Z Żalczykiem!

A co dopiero, jeśli mama powije chłopca i Julianna nie dość, że zostanie żoną człowieka, którego nie kocha, to jeszcze nie będzie przez niego szanowana. Jako osoba, która nic do wspólnego życia nie wniosła.

Prababcia musi znaleźć rozwiązanie.

Dopadła do drzwi starej chatki prawie bez tchu, tak długo biegła pod górę. Zastukała i długo czekała, aż staruszka otworzy.

– Kogo tam niesie? – usłyszała niezbyt uprzejme zaproszenie.

– To ja, Julianna! – zawołała dziewczyna. – Wpuść mnie, proszę.

– Myślałam, że cię ojciec zamknął na klucz. – Prababcia szybko otworzyła drzwi, wpuściła ją czym prędzej do środka, zabrała jej wilgotną chustę z ramion i zarzuciła swoją własną. – Przemokniesz i będę cię musiała kurować.

– Wiesz, że ja się nie przeziębiam. – Julianna opadła na krzesło.

– Zdejmuj w tej chwili te mokre buty i daj bliżej pieca – zarządziła Antonina, a potem, wdychając ciężko, podeszła bliżej. Otworzyła ciężkie żeliwne drzwiczki i dorzuciła drewna. Nie planowała grzać tak mocno na noc, ale taki gość wymagał szczególnej troski. Dziewczyna była zgrzana, ale jednocześnie drżała. Przemokły jej pończochy i tył sukienki. Miała też wilgotne włosy.

Jesienią wilgoć dawała się rzeczywiście we znaki. Na biednych ludzi sprowadzała choroby, na niektórych nawet śmierć. Kiedy człowiek jest słaby, ma mało zasobów i nic go nie chroni, jest bezradny wobec najmniejszych nawet trudności.

– Powiedz mi, prababciu, co się urodzi. Chłopiec czy dziewczynka?

Antonina odwróciła się, a jej twarz spoważniała. Milczała.

– No powiedz, proszę – naciskała Julianna. – Przecież to dla ciebie takie proste. Tyle razy zgadywałaś na poważnie, czy nawet na żarty. Pamiętasz, jak się bawiłyśmy? Zakładałaś się ze mną o karmelki od Żyda, kto zgadnie, czy Sowiński będzie miał syna, czy córkę. A najmłodsze dziecko Żalczyka? Też wiedziałaś. I tyle innych. Powiedz mi więc teraz, to ważne.

Prababcia Antonina jeszcze mocniej zacisnęła usta.

– Nie wiem – odparła w końcu.

– Jak to nie wiesz?! – oburzyła się Julianna. – Przecież to niemożliwe. Zgadujesz dla żartu,

a w takiej poważnej sprawie nie wiesz? Tyle od tego zależy...

– Naprawdę nie wiem. Robię, co mogę – odparła Antonina, zaplatając nerwowo dłonie. – Wysilałam się, ale jestem w tej sprawie jak każdy. Raz mi się wydaje, że na pewno dziewczynka, to znowu, że chłopiec. Nie odróżniam swoich pobożnych życzeń od przekazu płynącego z zewnątrz. Męczę się z tym od samego początku, kiedy zobaczyłam twoją mamę. Nie wiem. Albo inaczej: wiem, ale co chwilę coś innego.

– Nie no, proszę cię, nie rób mi tego – załamała się Julianna. – Nie teraz. Możesz się pomylić, jak jakiś ciekawski mąż przychodzi po radę albo kobieta już nie może wytrzymać z ciekawości, ale przecież nie w sytuacji, kiedy tak wiele od tego zależy.

– Intuicja to coś bardzo delikatnego. Batem do pracy nie zmusisz – westchnęła Antonina.

– I co? – Julianna teraz naprawdę poczuła przerażenie. – Nie wiesz, co ze mną będzie?! Jak mi się życie ułoży? Nie wiesz, za kogo wyjdę za mąż? Czy sobie tutaj poradzę? Czy mnie ktoś uratuje?

Prababcia zaczęła grzebać pogrzebaczem w piecu, a iskry z płonących polan uderzały o grubą żeliwną płytę. W chatce zrobiło się ciepłej, ale Julianna drżała. Zaczynało do niej docierać, że to, o co opierała całe swoje poczucie bezpieczeństwa, zaczyna się rozpyływać.

– Nie wiesz? – powtórzyła z niedowierzaniem. Taka opcja nie przyszła jej wcześniej do głowy.

– Nie. – Antonina wreszcie się odwróciła. Wiedziała, że ten moment nastąpi. I tak dziwiła się, że dopiero teraz. – To się ciągle zmienia – powiedziała niepewnie. – Jakby zależało od czegoś, co nie jest stałe. Jakby było wiele możliwości. Może właśnie od ciebie, jakie podejmiesz decyzje. Nie jesteś bezmyślna jak większość ludzi – mówiła szybko. – Nie idziesz za życiem jak koń jedną tylko ścieżką. Dokonujesz własnych wyborów, a to sprawia, że twoja przyszłość od tego momentu teraz rozgałęzia się jak drzewo. Możesz pójść w każdą stronę, a ja nie wiem, co ty zrobisz.

– No to pięknie. – Julianna zerwała się z krzesła, a potem z powrotem usiadła. Straciła cały impet. – Ja też nie wiem. A ktoś powinien. Nie masz żadnego przeczucia? – spróbowała raz jeszcze. – Ja bym ci podpowiedziała takie zakończenie. Ucieknę z domu – powiedziała z mocą. – Zostawię wszystko. Będę wierna sobie i zostanę za to wynagrodzona. Któregoś dnia wyjdę o poranku, najlepiej wiosną, tutaj na łąkę, i zobaczę jadącego na koniu mężczyznę. On mnie uratuje. Zbuduje tu wielki, piękny dwór. Będziemy razem pracować, urodzę mnóstwo dzieci, a one pójdą w świat i wszędzie gdziekolwiek się pojawią, przeniosą kawałek tej miłości i tego dobra, które zaznały w domu rodzinnym. A także dobrobytu, bo tu będzie kraina mlekiem i miodem płynąca.

– Oby ci się tak stało – powiedziała prababcia. – Daj Boże.

Nie miała odwagi jej przerwać.

– Powiedz mi, że tak będzie na pewno – oburzyła się Julianna. – Przecież wiesz. Potrafisz zaglądać tam, gdzie inni nie mogą.

– Tyle razy ci tłumaczyłam, że nie jestem jakimś cudotwórcą. – Babcia usiadła naprzeciw niej, położyła dłonie na kolanach i spojrzała w oczy. – Po prostu znam się na ziołach i na ludziach. Czasem coś mi faktycznie serce podpowie, ale to nie takie proste.

– Dlaczego akurat nie działa w moim przypadku?

– Może jesteś za blisko? – odparła Antonina z wahaniem. – Może kocham cię za bardzo i zależy mi tak mocno, że nie potrafię złapać dystansu. W moim małżeństwie też się pomyliłam. Nie wiedziałam, chociaż już wtedy potrafiłam poradzić innym ludziom.

– To mi się nie podoba. – Julianna objęła się ramionami. Trzęsła się coraz mocniej. Z zimna i ze strachu. Nawet sobie nie zdawała sprawy, jak bardzo zawsze czuła się bezpieczna. Otoczona opieką babci. Teraz jednak oczy jej się otworzyły i zobaczyła, że tamta nie uchroni jej przed wszystkimi niebezpieczeństwami.

Nawet sobie nie umiała wyobrazić świata bez tej opieki i po raz pierwszy przyszło jej na myśl, co by się wydarzyło, gdyby ona zrezygnowała z bezpiecznego dworu, przeprowadziła tutaj, a prababci by zabrakło.

Czy potrafiłaby przeżyć sama chociaż tydzień? Czy przetrwałaby zimę, czy też pożarłyby ją wilki, obrabowali źli ludzie, ktoś napadł, skrzywdził? Antonina miała rację. Samotna młoda dziewczyna to zupełnie nie to samo, co starsza szanowana kobieta.

– Co robić?! – zawołała rozpaczliwie. – Jak z tego wyjść?

– Na razie nie wiem – odparła Antonina, po czym okryła ją jeszcze jedną chustą. – Na razie wróć do domu. Zadbaj o to dziecko. Jest najbardziej bezbronne, a tych trzeba chronić najmocniej. Potem zobaczysz. Wierzę, że twoja dobroć zostanie nagrodzona.

Julianna wcale nie była tego taka pewna. Zdążyła już wielokrotnie zauważyć, że świat potrafi być czasem bardzo niesprawiedliwy. Ale wielkiego wyboru nie miała. Musiała wrócić do domu, zanim ktokolwiek się zorientuje, że uciekła. Przemyśleć to wszystko i póki co zająć się mamą, a dopiero potem planować następne kroki.

Westchnęła, pożegnała się i pobiegła w dół. Ciężko jej było na sercu.

## ROZDZIAŁ 10



Następnego dnia rano Dominik mył się przy studni. Poranki stawały się coraz zimniejsze, ale on nie potrafił przyzwyczać się tak całkowicie do trybu życia parobków. Oni ani nie myśleli zrywać się o świcie, opuszczać posłań wcześniej po to, by się obmywać lodowatą wodą. Wieczorami rzucali się na wiązki słomy albo sienniki, tak jak stali, i rano zrywali się gotowi do roboty. Przeczesywali tylko włosy palcami, nakładali czapki, podciągali związane sznurkiem portki i szli dalej.

On pracował dokładnie tak samo. Bywało, że nawet ciężiej, ale spodnie zawsze składał na drewnianym zydłu, koszulę też. A teraz doszedł do tego wełniany kubrak, które jemu i Józkowi podarowała gospodyni. Przybyli tutaj w jednym ubraniu i póki było lato, mocno nie dawało się to we znaki. Jednak z nadejściem chłodniejszych temperatur zaczęło mieć znaczenie.

Józek bardzo się cieszył z prezentu, ale Dominik czuł się dziwnie. Pamiętał, jak matka dbała o chłopów mieszkających w wioskach należących do dworu Podhorskich. Tłumaczyła mu, że ci ludzie są zależni od ich dobrej woli i nigdy nie można o tym zapomnieć. On sam pojął, co to znaczy, dopiero teraz, kiedy znalazł się po drugiej stronie.

Gdyby nie dobroć gospodyni, marzyłby wieczorami, a pan Łacki nie zwróciłby na to uwagi. Może gdyby Dominik całkiem się rozchorował i położył do łóżka, toby się zdenerwował, że mu para rąk do roboty odpadła, ale żeby się zainteresować, czy ktoś nie chodzi głodny, czy mu nie zimno – na to nie było szans. Jego myśli krążyły zupełnie innych rejonach. Prozy życia nie dotyczyły. Zwłaszcza tej, w której żyła służba, nie on sam.

Dominik oplukał się, wytarł, włożył swoją koszulę, a potem kubrak. Dbał o nią, była pamiątką z domu. Weselne ubranie wciąż się wyróżniało na tle grubych chłopskich szmat, ale w niczym już nie przypominało tamtego bielusińskiego płótna, które starannie wybrała mama. Dominik chętnie kupiłby sobie inną koszulę, żeby tej nie szargać do najgorszych robót, ale w dworze Łackich parobek nie zarabiał prawie wcale. Dawano mu jeść, pozwalano spać w szopie i tyle. Nawet nie wiedział, czy wolno mu się myć przy tej studni. Specjalnie wstawał, gdy inni jeszcze spali.

Tym razem jednak drgnął, bo poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Na ganku siedziała Julianna. Nie wiedział, jak długo. Zawinięta w wełnianą chustę, z nogami podwiniętymi pod brodę, patrzyła na sad, ale też trochę na niego. Wyglądała na bardzo smutną. Parę powodów pewnie miała. Rozumiał to.

Mógł do niej podejść i porozmawiać, nawet odruchowo go do tego ciągnęło. Ale przypomniało mu się, że nie są przecież równi. Nie wolno mu teraz gawędzić z wyżej urodzonymi, bo dla obojga może to mieć złe konsekwencje. A nie chciał dodawać Juliannie kłopotów.

Zacisnął więc szczelniej kubrak, skinął tylko głową, odwrócił się i poszedł szybko w stronę szopy.

– Czemu żeś się nic nie odezwał? – przywitał go Józek tuż za progiem. Dopiero wstał i obyczajem pozostałych parobków właśnie dokonywał porannej toalety poprzez przeczesanie zmierzwionych włosów rozcapierzoną dłonią. Stał w drzwiach i wszystko widział.

– Nie jestem od tego – odparł niechętnie Dominik.

– Nie żal ci jej?

– A jakie to ma znaczenie?

– Dziedzicowa Podhorska pewnie by coś poradziła na jej problemy – westchnął Józek.

– Możesz przestać tak mówić? – Dominik starał się nie podnosić głosu. – Dobrze wiesz, że ściany wszędzie mają uszy. Potrzebujesz kłopotów?! Nie po to zostawiłem rodzinne strony i uciekam jak ostatni tchórz, żeby teraz ktoś się wszystkiego dowiedział.

– Jak człowiek rozsądny – poprawił go przyjaciel. – Jak jedyna nadzieja rodu, spadkobierca, który nie może pozwolić dać się złapać i rozstrzelać. Ale masz rację, nie będę już gadał. – To akurat Józek powiedział zgodnie z tym, co naprawdę czuł. Doszedł do wniosku, że rozmowa z upartym synem dziedzica niczego już nie zmieni. Nie wiedział, dlaczego los wybrał właśnie jego, prostego parobka, na powiernika takiego skomplikowanego człowieka. Nie czuł się na siłach. A jeszcze ojciec wymógł na nim obietnicę, że się Dominikiem zaopiekuje. Teraz musiał zrobić wszystko, żeby

słowa dotrzymać. Obietnica rzecz święta, zwłaszcza dana ojcu i to jeszcze w tak dramatycznych okolicznościach.

Tu trzeba było jednak wymyślić coś innego, jakiś podstęp.

Józek przysiadł jeszcze na chwilę, wychodząc z założenia, że robota to jest coś, co nigdy się nie kończy i co zawsze może poczekać. Podrapał się po głowie, nałożył czapkę, jednak mu to nie pomogło. Patrzył przez szparę na panienkę Juliannę, jak siedzi na tym ganku. Tak dobrze ją rozumiał. Wyglądała, jakby też potrzebowała pilnie wpaść na jakiś pomysł i nie mogła.

Wstał wreszcie, po czym poszli razem z Dominikiem oporządzić krowy. Starał się podbierać przyjacielowi te najgorsze zajęcia. On wyrzucał gnój, a Dominik rozkładał świeżą słomę. Podziwiał młodego Podhorskiego za ten hart ducha. Wychowany w zamożnym dworze, przyzwyczajony do tego, że gospodyni podaje śniadanie, służąca ściera podłogi, a on zajmuje się innymi sprawami, teraz radził sobie jak równy. Sporo w tym było zasługi jego ojca, który trzymał synów blisko ziemi i nieraz gonił też do zwykłej pracy. Pewnie w najgorszych snach się nie spodziewał jednak, jak bardzo to się przyda.

Potem poszli do dworskiej kuchni na śniadanie. Siadali zawsze tuż przy wejściu pod ścianą na ławie, przy zbitym z kilku desek prostym stole. Dostawali po kromce chleba, a czasem miskę kaszy, mleko albo herbatę lipową. Zawsze za mało. Józek zastanawiał się kiedyś, czy jest taka porcja jedzenia, która mogłaby sprawić, że jego żołądek wreszcie poczułby się zadowolony.

Pani Łacka nie pozwalała, by ktoś głodował, ale też jedzenia dla służby nigdy nie było pod dostatkiem. Pomyślał znowu ciepło o Stasi i zaczął się za nią rozglądać. Zwykle starała się przychodzić na posiłek o tej samej porze, w której oni tu wpadali. Zauważył to. Panięńskie sztuczki były mu doskonale znane. Ale dzisiaj jej nie było.

Kucharka szybko podała im posiłek, a potem zaczęła się krzątać, przygotowując śniadanie dla państwa. Nic nie mówiła. Milczała też podkuchenna żarliwie szorująca wielki gar.

Coś się musiało w domu wydarzyć, bo zazwyczaj panowała tutaj lepsza atmosfera. Można było posłyszeć jakieś plotki, poprzekomarzać się. Zresztą dziewczka kuchenna też robiła do Józka maślane oczy i często próbowała zagadywać, ale nie teraz. Pochyliła głowę i wpatrywała się wyłączenie we wnętrze gara.

– Źle z panią? – Józek podniósł głowę i odważył się zapytać. Różnie to bywało. Czasem kucharka chętnie gaworzyła z nimi, jakby byli sobie równi, ale bywały momenty, kiedy dawała im do zrozumienia, że dzieli ich przepaść. Dziś trafił się właśnie taki.

– Nie mitręż czasu na gadanie, robota czeka – pouczyła go. – Jesień za pasem, a na polach jeszcze buraki, łąka niezaorana. Zaraz przyjdzie gospodarz i będzie się na was darł. Dobrze wiecie, co macie robić.

Nie bardzo mieli pojęcie. Najważniejszy wśród nich Walenty zwykle sam się domyślał, jak poukładać pracę, bo pan Łacki wpadał do nich nieregularnie, od przypadku do przypadku, i sprawiał wrażenie jeszcze mniej zorientowanego. Głównie wrzeszczał, ale z tego też nic konkretnego nie wynikało.

Starszy mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na Dominika.

– Czterech do buraków, trzech z nami kończyć ziemniaki, a chłopów do orki – podpowiedział cicho Podhorski.

Nikt tego nie skomentował. Walenty wyglądał na zadowolonego, że nie musi sam tego wymyślać. Wstali, podzielili się na grupy i ruszyli w określonych kierunkach. Tego właśnie potrzebowali.

Kiedy Józek wychodził, zobaczył, że od frontu zatrzymuje się powóz z koniem i Żalczyk wyskakuje na żwirkową dróżkę.

Wcześniej na wizytę – pomyślał. – Poczyna sobie śmiało, jak narzeczony albo prawie mąż.

Posłał mu nieżyczliwe spojrzenie i wtedy przyszedł mu do głowy pomysł.

To właśnie można było wykorzystać. Niechęć Dominika, słuszną zresztą, do tego niesympatycznego faceta.

Podbiegł szybko do Żalczyka.

– Może jaśnie panu odprowadzę konie? – zaproponował usłudze. Specjalnie użył tego tytułu. To był sposób, którego nauczył się od swojego ojca. Moźni ludzie lubią, kiedy im się dodaje powodów do chwały.

Żalczyk nie był wielkim szlachcicem. Po prostu miał spore gospodarstwo, jakieś dawno minionie powody do rodzinnej chwały. Ale dumy mu nie brakowało.

– Piękne konie – dodał Józek. Liczył na to, że uda mu się namówić tego mężczyznę do rozmowy. Zamożni lubią się zwierzać. Uważają, że służba z racji tego, że wykonuje swoje obowiązki, powinna też wysłuchiwać wszelkich ich żalów, zwierzeń i opowieści. Zmagaly się z tym wszystkie pokojówki, krawcowe, stajenni, lokaje, a czasem nawet trafiło zwykłemu parobkowi. – Prawdziwego mężczyznę to od razu poznać po jego zaprzęgu – dodał. To była ostatnia szansa. Udało się.

Żalczyk kiwnął głową.

– Tak – powiedział stanowczo. – Masz rację. I jeszcze po tym, jaki ma posłuch w rodzinie. – Coś go wyraźnie bolało. – U mnie ten posłuch będzie wzorowy – dodał szybko. – A ciebie sobie zapamiętam, że tak przyleciałeś przez całe podwórko. Wiesz, skąd wiatr wieje. Jeszcze chwila i będziesz mi służył. Lubię bystrych ludzi.

Oho! – pomyślał Józek. – Obudził się król wieśniaków.

To też mu nieraz ojciec mówił. Całe życie służył we dworze, z niejednym możliwym człowiekiem musiał się użerać, ale zawsze opowiadał, że najtrudniejsi to ci, którzy nagle awansowali, dostali niespodziewany spadek, ożenili się z majątkiem i potem wychodziło z nich wszystko, co najgorsze. Żalczyk podobno wcześniej nie był taki zły, choć zawsze trochę głupi, ale odkąd panienska Julianna dała mu kosza, coś w niego wstąpiło.

Józek przywiązał konia i patrzył za odchodzącym mężczyzną. Zaczynał się domyślać, jak będzie wyglądało życie panienci, gdyby zmienił się tutaj właściciel. Żle.

Mimo to nacisnął czapkę na głowę i zagwizdał z zadowoleniem. Dostał to, czego potrzebował. Pomyśl.



Chwilę później ruszył szukać Dominika. Domyślił się, że poszedł on do najcięższej pracy, czyli tych nieszczęsnych buraków, zbyt długo przechowywanych na polu. Nie było go trudno znaleźć. Wystarczyło trochę wytężyć słuch i kierować się tam, skąd dochodziły pomrukiwania.

– Wszystko zeschnięte, takie małe, ziemia zaniedbana, żadnych porządnych nawozów, tyle kamieni niewywiezione...

Józek już wiedział, że za wielką kępą krzaków znajduje się jego przyjaciel.

– Chodź na chwilę – powiedział, pociągając go lekko za ramię. – Dziedzic Łącki cię wzywa.

Pozostali przyjęli te słowa ze zrozumieniem. To się zdarzało. Dominik rzucił więc kopaczką o ziemię, kopnął większą grudę zbitej gliny, a potem jeszcze jakiś kamień, po czym wreszcie ruszył.

– Czego Łącki znowu chce? Przyszedłby do roboty, na coś się przydał.

– Nie zrzedź jak stara baba. Jesteś na to za młody. Naprawdę się martwię – dodał Józek. – Nigdy taki nie byłeś.

– Trochę byłem – oburzył się Dominik, chociaż to nie działało przeciw na jego korzyść.

– Mam ci coś do powiedzenia i potem będziesz się wyżywał na burakach, ile tylko zechcesz. – Zatrzymali się kawałek dalej, tam, gdzie nikt nie mógł ich już słyszeć. – Niedługo się tu zmieni właściciel. Taki jest plan.

– Co mnie to obchodzi? Ja tylko tu mieszkam i też nie wiem, jak długo.

Miał dziś słaby dzień. Tęsknił za rodziną.

– No zasadniczo tak – zgodził się Józek. – Jakby ten gruby czy chudy kandydat tu nastali, to pewnie by nawet było dla dworu lepiej, bobyś sobie ich okręcił wokół palca. Ale zbliża się gorsza opcja. Żalczyk będzie ci wydawał polecenia – powiedział to powoli, ostrożnie, cedząc każde słowo i patrząc uważnie na twarz Dominika Podhorskiego. Jeszcze nie tak dawno dworskiego syna, a teraz zwykłego parobka. Widział emocje malujące się na niego twarzy, przede wszystkim wściekłość. – On ci nie popuści.

Dominik zacisnął pięści.

Józek ucieszył się, że udało mu się wywołać reakcję, ale chwilę później Dominik odwrócił się.

– To nie nasza sprawa – powiedział. – Najwyżej ruszymy dalej w drogę. W końcu nic nas tutaj nie trzyma.



– No szlag by to trafił! – zaklął Józek, patrząc, jak Podhorski odchodzi. – Jak to nic nas tu nie trzyma? Całkiem nam tu dobrze, a za chwilę będzie jeszcze lepiej. Żal tracić takie miejsce! – zawołał za nim, ale nie miał pewności, czy przyjaciel usłyszał. A to było ważne.

Józek nie miał złudzeń. Wiedział, jak ciężko pracuje się we dworach i jak trudno, by ktoś przygarnął przybłądę. Nie mogli stąd teraz odejść.

Co jednak mógł jeszcze zrobić?

Na razie pobiegł na pole pomagać przy burakach. Musiał pilnować Podhorskiego na każdym kroku i modlić się o kolejny pomysł. Tym razem lepszy.

## ROZDZIAŁ 11



Parobkowie wrócili dziś z pola bardzo zmęczeni. Twarda ziemia z trudem oddawała swoje plony.

Kucharka wyniosła niedaleko zabudowań mały stolik i rozdawała po pajdzie chleba. Pili też wodę. Potem jeszcze każdy dostał pół cebuli i kawałek słoniny. To podobno dziedzicowa zarządziła, bo poczuła się lepiej. Wszyscy szybko brali jedzenie i znikali w zabudowaniach, chcąc się położyć czy usiąść, odpocząć i spokojnie posilić. Wielu burczało w żołądkach.

Tylko ten jeden Dominik odłożył jedzenie na bok na jakąś szmatkę, którą trzymał w kieszeni, a potem zaczął się myć przy studni. Utyłłane ziemią ręce, kark, szyję, twarz.

Julianna czekała na konia i przyglądała się temu mężczyźnie. Wybłągała na rodzicach zgodę, by mogła pojechać do wioski. Zachorowało dziecko i jego ojciec przybiegł tutaj, bo ludzie już wiedzieli, że prababcia nie zawsze ma siłę do każdego pojechać.

Zgodzili się.

Łącki wyszedł na ganek i stanął obok córki.

– Pamiętaj, co mi obiecałaś – powiedział z naciskiem. W domu było nerwowo. Wprawdzie ojciec Julianny uważał, że gorzej już być nie może, ale nie chciał być zaskoczony przez los.

– Tak, tato. – Dziewczyna kiwnęła głową. – Wrócę.

– Nawet nie zjadłaś kolacji. Ciągłe ci tylko w głowie te głupoty – narzekał.

– Zjadłam, tato – odpowiedziała spokojnie. Postanowiła nie dać się sprowokować. – A leczenie jest ważne – dodała bez większej nadziei, że on zrozumie.

Nagle Łącki objął ją za ramiona.

– Ja nie chcę dla ciebie źle – powiedział z serdecznością, jakiej dawno od niego nie doświadczyła. – Pamiętaj o tym. Naprawdę.

Czuła, że mówi szczerze. Tyle że czasem dobre chęci nie są wiele warte, jeśli ktoś nie rozumie, czym jest prawdziwe dobro drugiego człowieka. Ojciec szukał go dla Julianny w zupełnie nieprawidłowych miejscach.

– A ten czego tak wodą chlapie? – Pan Łącki odwrócił się w stronę Dominika. – Ubieraj się! – krzyknął, bo zobaczył, że ten rozpina koszulę. Niby parobek, ale przecież to nie wypadało przy młodej dziewczynie. – Jedź z panienką Julianną do wioski i za dwie godziny masz być z powrotem. Ręczysz głową, że się nie spóźnicie – zakończył z satysfakcją.

Uznał, że wpadł na fenomenalny pomysł. Ten parobek, może i prostak, ale zdecydowanie miał głowę na karku. Jeśli chodzi o Juliannę, to nic nie dawało gwarancji, ale i tak ten mężczyzna miał największe szanse. Nie raz już wykazał się sprytem.

Córka trochę się zawahała, jakby wyczuła, że nie będzie miała z nim tak łatwo, ale potem poszła w stronę dwukółki, którą właśnie podstawiono.

Dominik jak zwykle miał minę, jakby był obrażony, że w ogóle ktoś mu wydał polecenie. Powoli się do tego przyzwyczaili. Wiadomo było, że w końcu zawsze zrobi, o co się go prosi, i na dodatek dobrze. Ignacy Łącki patrzył, jak parobek szybko wyciera ręce, wkłada kubrak i szybkim krokiem zmierza w stronę powozu. Wskoczył, wziął pewnie lejce w dłonie i odjechali.

Łącki stał ciągle na ganku. Z daleka Julianna wyglądała na taką wspaniałą dziewczynę. Miłą, zgrabną.

Może jej po prostu twardszej ręki trzeba? – zastanawiał się. – Byliśmy dla niej za łagodni – uznał.

A potem odwrócił się i poszedł do żony. Czekają na niego drugie dziecko. Przyzwyczajał się powoli do tej myśli. Była fajna. Druga szansa to coś, co nie każdy dostaje.



Jechali. Dominik oczywiście milczał. Wpatrywał się w drogę i popędzał konia. Było zimno. Julianna otuliła się ciasniej chustą, poprawiła warkocz. Naprawdę Dominik mógłby na niego popaprać. To był najładniejszy warkocz w całej okolicy. Nikt takiego nie miał, choć pięknymi włosami

szczyliło się wiele panien. Ale to, co nosiła na głowie Julianna, lśniło jak czyste złoto. Przyzwyczała się, że mężczyźni zerkają w tę stronę. No ale oczywiście nie ten.

Pomyślała, że mógłby ją objąć i trochę ogrzać, a potem, że chciałaby mu opowiedzieć o wszystkich swoich troskach. Może by coś poradził? Właściwie to chyba był jedynym człowiekiem, który mógłby naprawdę coś sensownego wymyślić.

Był obcym mężczyzną, ale fascynował ją coraz bardziej. A co najgorsze z biegiem czasu także pociągał.

– To siódme dziecko, do którego jedziemy – powiedziała, żeby zagaić rozmowę.

Kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział.

– Następne już jest w drodze. Takie mnie zawsze najbardziej łapią za serce – dodała, mimo iż on wciąż się nie odzywał. – Pewnie dla rodziny, może prócz tej biednej matki, to już bez różnicy. Jedno w tę czy w tamtą stronę. Zawsze mi tak bardzo żal tych dzieci, które nie miały szansy urodzić się chciane i kochane...

Odwrócił się wreszcie w jej stronę.

– Panienki to na szczęście nie dotyczy – powiedział cicho.

– ...i zrozumiane – dodała na koniec.

Wzruszył ramionami, a jej zrobiło się przykro.

– Całkiem dobrze to znam – odezwał się jednak po chwili, a ona aż się wyprostowała. – Czasem ciężko dogadać się z rodzicami, nawet jeśli szczerze cię kochają. Nie za dobrze to wszystko jest pomyślane.

– Kiedy ja będę mieć dzieci – odezwała się Julianna i poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki, choć naprawdę nie była taką panienką, która się wstydziła mówić o pewnych sprawach – to wszystkie będę traktować równo. I każde będzie kochane. Siódme też.

Dominik wyraźnie był poruszony jej słowami. Spojrzał na nią i jak na niego trwało to bardzo długo. Czowała, że za chwilę powie coś ważnego. Zwierzy się z jakiejś istotnej sprawy. Ogromnie była ciekawa.

– We dworach nie tak często rodzi się tyle dzieci – powiedział tylko, mocno ją rozczarowując. – W chłopskich chatach ich więcej.

– Może dlatego, że tam częściej ludzie pobierają się z miłości, a nie dlatego, że im łąki ze sobą graniczą albo że ojciec ma długi – zdenerwowała się Julianna.

– Albo jesteś najstarszym synem – dodał Dominik – i musisz koniecznie ożenić się z najbardziej posażną panną, bo inaczej nie wypada.

– Tak. I nikogo nie obchodzi, co ci ludzie naprawdę czują i czy potem mieszkają w osobnych pokojach.

Dominik po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jak było z jego rodzicami. Na pewno tworzyli bardzo dobrą rodzinę. Zawsze się szanowali i wspierali, ale faktycznie, odkąd sięgał pamięcią, mieszkali w osobnych pokojach. Jak w wielu dworach. Czy się kiedykolwiek odwiedzali, nie miał pojęcia, nie myślał o takich sprawach. Nie patrzył na rodziców w kategoriach ludzi, którzy mogliby się kochać, lecz raczej dwóch posągów stojących jak filary na straży rodzinnego ogniska.

A potem znowu w wyobraźni zobaczył Emilię w sukni ślubnej, tak jak ją sobie wyobrażał. I znowu skulił się w sobie, Nic już więcej nie powiedział. Żałował, że w ogóle się odzywał. Zawsze i tak kończyło się tak samo. Wracaly złe wspomnienia.

Julianna trzęsła się z zimna, ale już wiedziała, że od tego mężczyzny nie dostanie pomocy. Nie tylko dlatego, że to kompletnie nie wypada. Po prostu on nie chciał.

– Zimno mi – nie wytrzymała jednak. Nauczyła się już rozpoznawać ten moment, kiedy Dominik zapadał się w siebie i stawał sztywny niczym pień. Okropnie ją to drażniło. Chciała to koniecznie przerwać.

– O rany! – Obudził się ze swojego zamyślenia, ale nie zareagował tak, jak chciała. Nawet się w jej stronę nie odwrócił. Porwał tylko leżącą z boku derkę dla konia i okrył Juliannę. Przez krótkie momenty czuła jego ręce. Zaraz potem się wyprostował i ruszył dalej. Jeszcze bardziej ją to zezłościło.

– To jest brudne – powiedziała i odrzuciła koc, a on spojrzał na nią bezradnie, wyraźnie nie wiedząc, co robić. Chciał pomóc, ale taka opcja, żeby po prostu ją przytulić, wziąć w ramiona, może nawet pocałować, chyba mu nawet w głowie nie postała.

A jej właśnie takie śmiałe myśli chodziły po głowie. Po raz pierwszy w życiu z taką intensywnością. I to się pogłębiało.

Co to za facet? – zastanawiała się zdenerwowana. – Każdy, ale to każdy z kandydatów do jej ręki wykorzystalby jak nic samotną przejażdżkę leśną ścieżką, już nie mówiąc o tym, że ze strony Julianny miała tu miejsce wyraźna prowokacja. Ten niby był parobkiem, to trochę zmieniało sytuację, ale przecież było jasne, że on sobie nic nie robi z takich różnic społecznych. Wydawał polecenia i strofował ojca, jakby się urodził dziedzicem, a nie sługą. A ona czuła z jego strony całkowitą obojętność. Jeśli tata chciał, by była dobrze pilnowana, to wybrał odpowiedniego kandydata.

I wtedy to do niej dotarło.

Kocha inną – uświadomiła sobie.

Tak, to było jedyne wytłumaczenie. Zabolalo bardzo jak zdrada, choć o niczym takim nie mogło być tu mowy. Objęła się mocno ramionami.

Co się ze mną dzieje? – zastanawiała się rozpaczliwie. – Czy to miłość? Zakochanie? To właśnie sprawia, że traci człowiek rozum, panowanie nad sobą?

– Ładna chociaż ta dziewczyna, którą tak mocno nosisz w sercu? – zapytała nagle, działając bardziej z impulsu niż zastanowienia.

Drgnął, jakby go ktoś dźgnął ostrym szpikulcem.

– Tak – odpowiedział, choć myślała, że zbędzie jej pytanie. – Bardzo.

Poczuła się jeszcze gorzej. Żałowała, że w ogóle podjęła ten temat. Miała intuicję jak prababcia, ale przecież nie nadprzyrodzone moce. Też się myliła. Tym razem jednak tak nie było i potwierdzenie sprawiło, że ramiona jeszcze bardziej jej opadły, a zimno stało się dotkliwsze.

Uspokój się – próbowała sobie tłumaczyć. – To obcy człowiek.

Tak, wszystko się zgadzało. Jeszcze kilka miesięcy temu nie wiedziała o jego istnieniu. A jednocześnie był jedynym, przy którym mocniej biło jej serce. Mogła się przekonać, o czym mówiła jej prababcia. Że to nie wszystko jedno, za kogo się wyjdzie za męża, nie każdy jest jednakowo obojętny. Niektórzy mogą być pociągający. Wszystko jedno, kim był, że nie mieli szans na wspólną przyszłość. To uczucie ją pochłaniało.

– Zostawiłeś ją tam, skąd przybyłeś? – zapytała. Nie mogła się powstrzymać, choć to nie było przyjemne. Dla niego chyba też nie.

Kiwnął głową i zacisnął zęby.

Julianna miała jeszcze wiele pytań. Dlaczego ją zostawił? Czy to ona go nie chciała? Jest żoną kogoś innego? A może na niego czeka?

To była najgorsza opcja. Teraz poczuła, jak bardzo innym miejscem stałby się rodzinny dwór bez Dominika. Kiedy to się stało?

– Chciałbyś wrócić w swoje rodzinne strony? – zapytała, a on spojrzał na nią. Uważnie, miała wrażenie, że naprawdę ją widzi. To rzadko mu się zdarzało.

– Tak – powiedział. – Bardzo. – Słyszała w głosie taki żar, że całkiem już straciła odwagę do dalszych pytań. To nie miało sensu.

Polubiła go i wydawało jej się, że największym problemem jest fakt, iż Dominik służy jako parobek. Tymczasem okazało się to tylko nieznaczną komplikacją wobec faktu, że mocno kochał kogoś innego. Co więcej, chciał odejść. Wiedziała, że jest człowiekiem, który doprowadza swoje plany do końca. Silnym. Przyjdzie taki dzień, kiedy ona się obudzi, a jego nie będzie. Ruszy w swoje strony.

– Możesz mi coś obiecać? – zapytała, a on znowu odwrócił się w jej stronę. – Kiedy postanowisz, że tam wrócisz, powiesz mi o tym, dobrze? – Zadrżała z przejęcia.

Nie rozmawiali teraz jak panienka z dworu i parobek, lecz jak dwoje ludzi równych sobie. Nie miała żadnego prawa, by wymóc na nim taką obietnicę. Nic ich przecież nie łączyło, on nie wiedział o jej rodzących się uczuciach.

Widać było, że się namyśla i nie zamierza rzucać słów na wiatr. Zadrżała jeszcze bardziej i przysunęła się trochę do niego. Poczuła ramię i odrobinę ciepła płynącego z tamtej strony, nienależącego do niej.

– Dobrze – powiedział.

To musiało być dla niego trudne. Może się bał, że poleci z tym do ojca i jego zamiary zostaną udaremnione, ale zgodził się. Jakakolwiek była przyczyna jego decyzji, Julianna poczuła się

nico bezpieczniej. Wiedziała, że przynajmniej ta jedna kwestia została jej oszczędzona. Będzie mogła spać spokojnie, nie obawiając się, że ledwo tylko zamknie oczy, on zniknie.

Dojechali pod chałupę.

– Przypilnuję koni – powiedział Dominik, po czym zeskoczył na ziemię. Koło obejścia rozszczękały się psy. Jeden z nich dopadł do nich i Dominik osłonił Juliannę.

– A może mógłbyś mi pomóc? – zaproponowała. Miała ze sobą dwa koszyki i koc. – Trzeba to będzie rozdzielić między dzieciarnię i dorosłych, a zobaczysz, że to nie takie proste. Ja muszę się zająć małym. Jest chory, pewnie głodny. Wiele problemów by zniknęło, gdyby te dzieci karmić należycie. Czy ja dożyję kiedyś takich czasów, że w tych wioskach będzie pod dostatkiem chleba?

Też nieraz o tym myślał. Ale nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Zgodził się.

– Dobrze – powiedział. – Chodźmy. Tylko pamiętaj, że jestem parobkiem, a ludzie patrzą.

Kiwnęła głową. Kiedy byli sami, łatwo im się odnajdowało porozumienie, ale dla ojca Dominik był do tego stopnia nic nieznaczącym człowiekiem, że nie bał się puścić córki sam na sam z nim w drogę. Woźnica, wyposażenie wozu, nie człowiek. Ona była zupełnie innego zdania. Cieszyła się, że pójdą razem. Lubiła wspólnie z nim coś robić. Choćby i odwiedzać chłopskie chaty.

Weszli do środka niewielkiej chałupy. Była tam tylko wąska zagracona sień i dwie izby całkowicie wypełnione ludźmi. Starsza babcia śpiąca na piecu na wiązce siana okrutnie kaszłała. Julianna wiedziała, że zostało jej niewiele czasu i niestety nie ma już sposobu, by jej pomóc, może tylko przynieść trochę ulgi. Miała dla niej buteleczkę ze środkiem przeciwbólowym i nasennym, które przygotowywała prababcia. Staruszka porwała ją z ulgą i długo z wdzięcznością ścisnęła dłoń Julianny swoimi sękatymi dłońmi.

– Dziękuję – powtarzała. Jej dźwięki były już całkowicie bezzębne, usta się zapadły, oczy wyblakły, ale radość pozostawała szczerą. – Dziękuję. Niech ci Bóg błogosławi, panienko.

Tyle razy Julianna to słyszała. Czy to się kiedykolwiek przełoży na coś dobrego w jej życiu? Odruchowo spojrzała na Dominika, ale był zajęty czymś innym. Rozdawał dzieciom zawartość koszyka, a one tłoczyły się wokół niego.

Uściskała staruszkę, a potem poszła dalej. W kuchni na łóżku leżał dziadek równie wiekowy, prawie już nie wstawał. Jego mięśnie były słabe. Miał szczęście, dobrze go tu traktowano i jeżeli tylko było jakieś jedzenie, to dziadka karmiono starannie. Różnie to bywało w innych chatach.

Na drugim łóżku pod oknem sypiała zwykle czwórka dzieci. Teraz siedziały. Wszystko było zasłane, bo czekano na panienkę z dworu, ale normalnie było tu inaczej. W ciasnocie, wśród wielu walających się po podłodze gratów niełatwo utrzymać porządek.

W drugim pokoju spali młodzi rodzice i troje najmłodszych dzieci, w tym jeden ośmiomiesięczny kaszlący maluch. To nieprawdopodobne, że ta kobieta zaszła w ciążę tak szybko po ostatnim porodzie i nawet karmienie jej nie ochroniło.

Julianna podeszła najpierw do niej i przytuliła ją. Tego również nauczyła ją prababcia. Jeśli chcesz pomóc dzieciom, chroń i wspieraj matki. One najlepiej zajmą się potem rodziną. Jeśli matka będzie silna, dziecko nie będzie potrzebowało pomocy.

– Podaj mi to – zwróciła się do Dominika, który, choć teoretycznie nawykły do takich realiów, stracił trochę rezon. Podsunął jej drugi koszyk, a ona wyciągnęła gliniany garnek z zupą. Jeszcze była ciepła, owinięta szmatkami, pachniała tak, że woń rozniosła się po całej izbie. Natychmiast zbiegły się wszystkie dzieci, nawet dziadek odwrócił głowę w tamtą stronę. Tylko ojciec próbował udawać, że jeżeli o niego chodzi, to wcale nie jest głodny, choć przecież musiał być i to bardzo. – Podziel to – powiedziała do Dominika, wskazując także zawartość kosza, a ona sama podała zupę kobiecie i pomogła jej zjeść.

Dominik rozdał starannie poporcjowane kromki chleba i po jednym jabłku dla każdego. Dzieci rzuciły się łapczywie na pożywienie.

– Jedzcie powoli. Proszę was, tłumaczyłam, powoli... – powtarzała Julianna.

Ale to nie było takie proste. Głód to straszny przeciwnik.

Mała trzyletnia dziewczynka omal się nie zadławiła wielkim kęsem, który wpakowała sobie do buzi, rozglądając się wokół, czy ktoś jej tego nie zabierze.

Julianna podeszła do gospodarza i podała mu największą pajdę chleba oraz jabłko.

– Proszę przyjąć – powiedziała. Starala się nie urazić jego honoru. Był biedny, ale to nie znaczyło, że można go było lekceważyć.

Podziękował skinieniem głowy, a potem ona podeszła do dziecka. Miało czerwone policzki, ale nie tylko z powodu gorączki. Pokrywała je szorstka malinowa skorupa.

Julianna wiedziała, co to znaczy.

– Nie może dostawać krowiego mleka – powiedziała do matki.

– Jakże to? – oburzyła się bezzębna babcia z sąsiedniej izby. Wdzięczność nie przeszkadzała jej kwestionować diagnozy Julianny. – Dzieci zawsze na mleku chowane, jak świat światem.

– Ale ten nie może. Macie może kozę?

– Nie, ale jest u sąsiadów. Krowa przecież lepsza – dziwiła się. – Najgorsze biedaki kozie mleko piją. U nas tak źle nie jest.

Juliana zauważyła, że Dominik mimowolnie rozejrzał się wokół, chyba próbował sobie wyobrazić, że może być jeszcze gorzej.

– Niektóre dzieci nie mogą pić krowiego mleka – tłumaczyła spokojnie, ale widziała, że nie rozumieją. – Prababcia tak mówi – zakończyła ostatecznym argumentem.

– A skoro tak, to pewnie coś w tym jest – zaakceptowała diagnozę staruszka, a zaraz potem młoda matka.

– Może byście się zamienili, garniec krowiego mleka za kozi – zaproponowała Julianna, zastanawiając się, czy ona kiedykolwiek będzie się cieszyć takim autorytetem jak Antonina. – Trzeba tego maluszka karmić inaczej, kozie mleko rozcieńczyć troszkę wodą i podawać mu. Inaczej będzie mu ciężko.

– Tu każdemu ciężko – odezwała się kobieta. Miała rację, a jej było szczególnie trudno. To nie ulegało wątpliwości.

Julianna opróżniła kosz do końca. Jej zasoby też były ograniczone. Sama jadła mało, żeby z dworskiej kuchni coś wyskrobać dla biednych. Ale wiedziała, że nie bardzo ma się czym dzielić. Ojciec wpadał w kolejne długi i nie można było pogarszać sytuacji.

Spojrzała na Dominika. Marzył jej się dom, który będzie dość silny, by dawać schronienie potrzebującym. Miała wrażenie, że ten mężczyzna ją rozumie. Jego też bolała ta powszechna bieda.

– Niech Bóg błogosławi panience – znów usłyszała to samo zdanie. – Oby los panienkę chronił.

– Nic się nie martwcie – powiedziała. – Dam sobie radę.

Napoiła dziecko herbatką rumiankową z cukrem, mając nadzieję, że choć na chwilę je to wzmocni, potem dała matce lipowy susz, sok malinowy i kropelki zrobione przez babcie. Wytłumaczyła, jak to wszystko podać.

– Pojadę teraz do domu – powiedziała. – Muszę się spieszyć.

Wyszła odprowadzana kolejnymi podziękowaniami, ale z ciężkim sercem. Nie wiedziała, jakie podjąć decyzje. Marzyła, żeby stało się coś, co jej pomoże.

Dziewczyna była tak zgnębiona, że Dominik poczuł, jak bardzo jej współczuje.

– Całego świata nie nakarmisz – szepnął, patrząc na nią, kiedy już wsiedli na dwukólkę. – To tak jakbyś chciała łyżką posłodzić rzekę. Tyle ludzi to za dużo na ciebie jedną.

– To może chociaż trochę? – westchnęła. Czasem też czuła beznadziejność tej pracy i to, jak niewiele znaczą dwie zaledwie ręce wobec ogromu potrzeb. Nie zmieniało to jednak faktu, że czuła ogromną satysfakcję, kiedy udało się pomóc. – Przydałaby mi się własna koza na takie przypadki. Tylko skąd ją wziąć? – zaczęła się zastanawiać. – Może po prostu powiem, że wyjdę za mąż za tego, kto mi ją podaruje. I tak przecież na żaden sensowny wybór nie ma szans, to niech przynajmniej będzie z tego pożytek. Dwie kozy – podniosła błyskawicznie stawkę, a Dominik się uśmiechnął.

Gorzki to był humor, ale trochę pomógł.

Chciała z nim porozmawiać jeszcze o tyłu sprawach. Ale jechali teraz szybciej, bo Dominik zaczął popędzać konia. Nie wiedziała, do czego się tak spieszy. Złapała się za jego ramię, bo chybotali niebezpiecznie na kamienistej drodze.



Wjechali w gęsty las. Julianna zbierała się w sobie, żeby znów go o coś zapytać, gdy koło uderzyło o jakiś większy kamień, coś zaskrzypiało, gwałtownie trzasnęło i nagle poleciała w bok. Spadła w krzaki, tłukąc sobie boleśnie biodro i ramię.

– Krucafuks! – zawołał Dominik. Zatrzymał konie, zeskoczył z drugiej strony i podbiegł do niej. Koło bardzo się wykrzywiło. A Julianna leżała w jakichś krzakach. Przeraził się. Miał jej przecież pilnować, dbać o bezpieczeństwo.

Przypadł do niej, ale nie pozwoliła sobie pomóc.

– O nie! – Postanowiła, że nie wykorzysta sytuacji, nie będzie go brać na byle jakie sztuczki. – Dam radę – powiedziała, po czym samodzielnie wstała. – Nie jestem taka delikatna jak większość pańienek z dworu.

– W ogóle jesteś inna – odpowiedział, niespodziewanie zwracając się do niej tak bezpośrednio. To było miłe. Stał nad nią i oddychał ciężko. Był zdenerwowany. – Przepraszam – powiedział. – To moja wina. Powiniennem być jechać wolniej.

Nie przyznał się, że to na samą myśl o Żalczyku w roli męża pańienki tak gwałtownie przyspieszył. Faktycznie Józek miał rację. Nie panował nad swoimi nerwami i trzeba było z tym skończyć. Zaczynali przez to cierpieć niewinni ludzie, którzy z jego rodzinną historią nie mieli przecież nic wspólnego.

Julianna stała w chaszczech. Obejmowała się ramionami. Musiało jej być zimno i na pewno się przestraszyła. Od drogi dzielił ich głęboki rów.

– Ależ daleko poleciałam – zdumiała się. – Co to było?

– Wielki głaz, ja nie wiem, co on robił na tej drodze – odparł przejęty Dominik.

– Może spadł podczas burzy? Ciągłe tu się dzieją takie rzeczy. – Wysoka skała wznosiła się po drugiej stronie, często spadały z niej kamienie – Trzeba tu uważać – powiedziała.

– To już wiem. Jeszcze raz przepraszam. – Pochylił się w jej stronę. Widać umiał być empatyczny i czuły. – Proszę, pozwól mi, wyniosę cię stąd. W tym rowie jest woda, a tobie i bez tego było zimno. Ja mam długie nogi, grube buty.

– Nic mi nie będzie – broniła się, ale słabo. Było jej tu dobrze. Tak blisko niego. Rozmawiali, jakby się dobrze znali i takie też miała wrażenie, choć doprawdy nie wiedziała, skąd się ono bierze.

Kiwnęła jednak głową, a on po prostu porwał ją na ręce i właśnie chciał zrobić zamaszysty wielki krok przez rów, gdy usłyszeli głosy.

– Co też tu się stało? – Ktoś biegł od strony wioski.

– Wypadek! Pańienka Julianna z dworu! – zaczęli krzyczeć i wtedy to zobaczyli. Dziedziczkę Łąckich w ramionach parobka, w krzakach, z potarganymi włosami i rozpiętym guzikiem od bluzki, który zerwał się nie wiedzieć kiedy, z podwiniętym rękawem i spódnicą uwalaną błotem.

Zapadła krępująca cisza.

To wyglądało źle. Bardzo źle.

Mieszkańcy najbliższej chałupy, która stała tuż pod lasem, zatrzymali się teraz, ale kiedy jeszcze biegli, sprawdzić, co się stało, ich krzyki usłyszeli sąsiedzi. Ludzie bardzo lubią sensacje, wypadki. Jakiś dzieciak pobiegł z powrotem. Dominik domyślił się więc, że kazano mu dać znać innym, żeby czym prędzej się tu zjawili. Czuł, jak nogi zsuwają mu się w stronę błota, zrobił więc jeszcze jedną próbę. Dopadł drugiego brzegu i szybko postawił pańienkę obok dwukółki.

– Najechaliśmy na kamień – zaczął się szybko tłumaczyć, a sytuacja z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Czuł wręcz namacalnie, jak rośnie poziom sensacyjności tematu. A miało być jeszcze gorzej. Z drugiej strony bowiem nadjechał na koniu młynarz, człowiek w wiosce wiele znaczący. Wracał do domu i ten widok, który zobaczył, bardzo mu się nie spodobał.

– Co pańienka robi tu sama o tej porze?! – zawołał. – W takim stanie?!

Próbowała odgarnąć włosy z czoła i okazało się, że jej ręka była brudna. Usmarowała sobie tylko twarz. Młynarz zeskoczył z konia, po czym nakazał jednemu z młodych chłopaków, by jechał do dworu dać znać, że pańienka potrzebuje pomocy.

– Niech tu kogoś natychmiast przyślą! – krzyknął. Chłopak ruszył z kopyta. – Rozejdźcie się! – zawołał młynarz do coraz liczniej gromadzącej się ciżby, ale ludzie nie myśleli go słuchać. Czuli, że ta sytuacja będzie się rozwijała i dostarczy tematów do rozmów na długie wieczory. Może nawet lata.

Julianna objęła się ramionami. Drżała. Próbowała wsunąć bluzkę za spódnicę, żeby wyglądać nieco porządniej, ale to tylko pogorszyło sytuację. Pańienka dziedziczka wyglądała jak kochanka w pośpiechu wychodząca z zakazanego miejsca, wygładzająca ubranie i włosy.

Dominik był wściekły. Na siebie i ludzi. Ogromnie zdenerwowany. Policzki mu poczerwieniały. Jednak dla człowieka, który go nie znał, sprawiał wrażenie, jakby się wstydził, miał coś na sumieniu. Tak go właśnie teraz oceniano.



Między ludźmi poniósł się szmer. Żeby aż tak źle? Żeby z parobkiem? Każdy rozumiał, że Julianna była niezwykła. Wielu też wiedziało, że ojciec próbuje ją wydać za mąż dla pieniędzy.

Ludzka rzecz, z tym się wielokrotnie spotkali. Nawet jej współczuli.

Ale żeby z tego powodu włączyć się po lesie ze służbą?! To nie uchodziło. Taka śliczna dziewczyna, z takiej dobrej rodziny. Na co jej teraz przyjdzie? – załamywały ręce kobiety.

Dominik bezskutecznie biedził się z kołem od wozu, ale było uszkodzone do tego stopnia, że szybko stało się jasne, że nie będą mogli teraz ruszyć w dalszą drogę. Gromadziło się coraz więcej ludzi. Nikt jednak nie pomagał. Stali obok, drapali się po głowach, zaplatali palce, coś tam do siebie szeptali, ale nikt nie wiedział, jak w takiej sytuacji zareagować. Szok był za duży.

Żaden z prostych chłopów nie palił się do tego, by być tym pierwszym, który przywita tutaj dziedzica. Tym, który udzieli pomocy tej grzesznej parze, żeby potem nie było na niego.

Długo mnie musieli czekać na dalszy rozwój sytuacji. Kwadrans później usłyszeli tętent końskich kopyt. Z prawej strony szeroką drogą nadjeżdżał dziedzic we własnej osobie, a zaraz za nim Żalczyk.

Krucafuks! – pomyślał Dominik. – Musiał znowu przyjechać w odwiedzinę do dworu. Zaraz jedna. Zawsze tam, gdzie go nie trzeba.

Czuł się okropnie winny. Józek wiele razy o tym mówił, że ta złość, gniew, które cały czas odczuwał, w końcu sprowadzą na nich nieszczęście. I tak się też stało. Tyle że przy okazji ucierpiała niewinna osoba.

Popatrzył na Juliannę. Była przerażona.

– Rozejść się natychmiast! – zawołał dziedzic władcym tonem i to dopiero poskutkowało. Ludzie z wioski z ociąganiem formowali się w grupki, powoli odchodzili w różne strony. O tyle nie miało to znaczenia, że i tak nieśli ze sobą wszystkie wieści. Niektórzy nawet w pewnym momencie przyspieszyli kroku, jakby nie mogli się już doczekać tego momentu, gdy podzielią się plotkami z innymi. Ale byli też tacy, którzy wyraźnie się ociągali, chcąc uławić jeszcze choć słowo. Nie rozczarowali się.

– Mogę ją wziąć, tak jak stoi, tu i teraz – powiedział głośno Żalczyk, a pogarda w jego głosie zdawała się mrozić powietrze wokół. Była tak wielka, że nawet siła ducha Julianny ugięła się pod nią. Dziewczyna opuściła ramiona i pochyliła głowę.

Dominik przyglądał się temu coraz bardziej wzburzony. Nic się przecież nie stało. Ta dziewczyna niczego złego nie zrobiła. Wręcz przeciwnie, pomogła biednym ludziom i miała za to ponieść taką karę?! Jakże będzie ją traktował przyszły mąż, jeśli w ten sposób zaczyna się związek?!

Czuł, że to wszystko jego wina. Na dodatek musiał to być ten cholerny Żalczyk!

Wyraźnie roztrzęsiony Łącki wyglądał, jakby bardzo poważnie rozważał tę propozycję. Dominik reagował odruchowo. Krew przodków, wychowanie, duma i godność osobista, a także przekonanie, jak należy się zachować w trudnej sytuacji, za niego wykonywały kolejne kroki.

– Nie mogę do tego dopuścić – powiedział stanowczo, z godnością, na jaką tamtych nie było stać. – To moja wina, mój błąd. Nic tu się nie stało – próbował tłumaczyć, a ludzie z wioski zaczęli zawracać, ciekawość okazała się silniejsza niż strach przed gniewem dziedzica. – Tylko wywrócił się wózek – mówił dalej. – Koło jest nadłamane, przecież widać. – Wskazał je dłonią, a chłopci zaczęli się tłoczyć w tym miejscu. – Pomagałem panience Juliannie wyjść z krzaków, do których wpadła. Tyle. To wspinała dziewczyna bez żadnej plamy na honorze – zakończył z mocą.

Przemawiał do nich dumnie, tak że w pierwszej chwili zaskoczeni nie oburzyli się aż tak bardzo, jakby to zrobili normalnie, reagując na fakt, że parobek odważa się mówić niepytany.

Julianna stała obok niego. Cały czas się trzęsła. Miał ochotę ją objąć i pocieszyć, ale na to nie mógł sobie pozwolić. Patrzył na dziedzica, licząc, że ten mężczyzna zrozumie, jaka jest prawda. Stanie po stronie córki.

Ale kiedy tylko wybrzmiały jego słowa, Dominik pojął, że nic się nie da zrobić. Głupi świat z jego zasadami, w których kobietom jest szczególnie trudno, właśnie obrócił całe swoje oblicze przeciwko tej niewinnej dziewczynie. Nie miała szans, nie uwierzą jej ani jemu. Prozaiczna prawda nie jest nawet po części tak atrakcyjna jak soczysta plotka. Ta zasada właśnie pokazała swoją moc.

Julianna odruchowo schowała się za jego plecami. Żalczyk wyglądał obrzydliwie. Obłeśny facet wpatrujący się już bez żadnych oporów w jej figurę, jakby oceniał konia na targu. Wyraźnie

w trybie pilnym chciała na niej położyć swoje łapy.

Dominik nie był stanie tego znieść.

– Ja się z nią ożenię – powiedział, jakby całkiem zapomniał o swojej aktualnej sytuacji. Stał przed nimi wyprostowany jak syn szlacheckiej rodziny, ludzi o prawych zasadach i poczuciem honoru. – Skoro przeze mnie popadła w takie tarapaty – dodał.

– Jak żyję, nie słyszałem głupszego pomysłu! – Ignacy Łącki nie wytrzymał. Wziął do ręki bat i smagnął z całej siły, zostawiając Dominikowi purpurową szramę na policzku. – Dawno trzeba było z tym skończyć. Za dużo sobie pozwalasz!

Julianna krzyknęła. Wskoczyła przed Podhorskiego i zasłoniła go własnym ciałem.

– Tato, co ty robisz?! Zwariowałeś?! Wszyscy poszaleliście! Nic się tutaj naprawdę nie wydarzyło! Czy ten parobek zawsze już będzie jedynym rozsądnym człowiekiem w moim otoczeniu?!

Nie polepszyła sytuacji. Łącki znowu podniósł bat, ale musiał się powstrzymać, bo córka stała jak wmurowana i nawet Dominik, który próbował ją odsunąć, nic nie wskórał.

Z okolicznych domów nadbiegało coraz więcej ludzi. Nikt teraz nie byłby w stanie zmusić ich do odwrotu.

– Skoro on się chce ze mną ożenić – powiedziała drżącym głosem Julianna – to może twój problem się rozwiąże? – Spojrzała na ojca. – Nie będzie chciał posagu i wszystko mu jedno, czy to chłopiec, czy dziewczynka urodzi się niebawem. A ja na szczęście w małżeństwie i tak nie mam szans. Wołę takie. – Spojrzała na Żalczyka, a jemu grymas wściekłości wykrzywił twarz.

Wyglądał, jakby też miał ochotę wziąć bat i wychłostać tego wstrętnego parobka, który robił takie okropne rzeczy. Nie zdziwiłby się, gdyby to Julianna rzuciła na kogoś czar. Ludzie w okolicy opowiadali różne rzeczy o kobietach z rodu Łąckich, ale żeby parobek zrobił takie wrażenie na pannie z dworu? I to czym? Tylko dlatego, że był dobrze zbudowany? To się nie godzi w szlacheckich rodach.

Łącki zeskoczył z konia, pociągnął silnie córkę za rękę i kazał jej wskakiwać na siodło. Należało z tym natychmiast skończyć. Cały czas wydawało mu się, że gorzej już być nie może, tymczasem wciąż okazywało się, że nie warto prowokować losu.

– Jedziemy! – Podciągnął Juliannę do góry, po czym sam wskoczył tuż za nią i popędził konia. – A z tobą jeszcze się policzę! – rzucił na koniec, oglądając się w stronę Dominika. Naprawdę już nie wiedział, co przyniesie kolejny dzień. Ledwo przeżył jeden skandal, już pojawiał się drugi, jeszcze większy. Co jeszcze mogło go spotkać? Niechże wreszcie ta Julianna kogoś poślubi, bo wszystkie nieszczęścia zaczęły się od tego momentu, gdy nadeszła pora, by ułożyła sobie życie.

Pędził przez pola na skróty, cudem unikając złamania karku, a koń ledwo dawał radę na zatoranych polach, przeskakując przez rowy i omijając chaszczce. Ojciec nic nie mówił. Julianna też się nie odzywała.

Szalały w niej emocje, w których próbowała się jakoś rozeznąć.

Czy w tak dramatycznych okolicznościach ta cholerna intuicja, którą odziedziczyła po przodkiniach, nie powinna była jakoś jej pomóc? Dać na przykład jasny sygnał: „Dziewczyno, to jest twój ratunek! Świetny pomysł, by wyjść za mąż za Dominika”.

Dlaczego przecucie nic jej nie mówiło? Czemu jej serce ścisnęło się strachem, że to największa głupota wiązać się nie dość, że z prostym człowiekiem, to jeszcze takim, który jej nie chce, którego serce jest zajęte i być może jutro, może za tydzień albo za miesiąc ruszy do swojej ukochanej?

Ależ to było trudne.

W tym wszystkim jedno tylko wiedziała na pewno. Cholernego Żalczyka nie chce widzieć już nigdy w życiu!

## ROZDZIAŁ 12



Co tu się wydarzyło? Dlaczego nikt mi nie daje znać? – Anna Łacka stała na ganku dworu, trzymając się obiema dłońmi za brzuch. Jej mąż, pędząc konno jak furia, powściągnął zwierzę z całej siły, aż podniosło przednie kopyta do góry. To samo zrobił ze swoimi emocjami. Zeskoczył, po czym ściągnął Juliannę.

– Proszę cię, duszko, uspokój się – powiedział, jakby po prostu wracał z przejażdżki. Oddychał ciężko, ale trzymał emocje na wodzy. Sporo go to kosztowało.

Minutę później na podjeździe zahamował równie gwałtownie koń Żalczyka. Mężczyzna zeskoczył, zachrzęściły kawałeczki żwiru. Podbiegł do nich.

– Same dobre wieści, pani Anno! – zawołał. – Wreszcie będzie ten ślub.

Przyjrzał się dziedzicowej jeszcze raz, bardzo uważnie. Wszystko było tak, jak mówiła jego gospodyni. Brzuch wysoko tuż pod biustem, łagodnie zaokrąglony, stanowczo sugeruje dziewczynkę, niski natomiast i okrągły chłopca. Nie ryzykował dużo, był zdecydowany brać tę panienkę, choćby i nawet miała nie dostać piędzi ziemi.

To rozwijało się jak jakieś szaleństwo. Bywał czasem nerwowy, ale nigdy nikt do tego stopnia nie wyprowadzał go z równowagi, jak ta nieopierzona dziewczyna. Stała teraz obok ojca wyprostowana i dumna, jakby co najmniej miała ku temu powody. Patrzyła na niego z pogardą. A przecież to nie on właśnie stracił dobre imię w tak fatalny sposób.

Powinna go błagać o litość, najlepiej na kolanach. O tak, wyobraził sobie, jakby to mogło być pięknie, ale nie zanosilo się.

Łacki wziął córkę za rękę, ściskając ją dość mocno, po czym poprowadził w stronę domu. Potem objął Annę.

– Tylko się nie denerwuj – zaczął. – Usiądź, oddychaj, dbaj o dziecko, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Nic złego się nie stało – skłamał gładko. – Wiesz, że czas wydać Juliannę za mąż. Miejmy to już za sobą.

Anna doskonale wiedziała, że coś tu się bardzo nie zgadza. Ale to w sumie nie było dla niej nic nowego. Od lat żyła jakby w dwóch światach: tym fikcyjnym na pokaz dla ludzi, w którym starała się udawać, żeby budować rodzinę, uniknąć kłótni, zachować swoje małżeństwo, i tym prawdziwym, kiedy docierało do niej, że mąż nigdy się nie zmieni. Że za dużo zaciąga długów, podejmuje złe decyzje i nie da sobie powiedzieć ani słowa. Usiadła więc i udała, że mu wierzy. I tak w końcu prawda do niej dotrze. W sumie to wcale jej nie zależało, by poznać ją jak najszybciej.

– Chciałbym oficjalnie, po raz kolejny i mam nadzieję ostatni, prosić was o rękę waszej córki Julianny – powiedział Żalczyk niecierpliwie.

Wyglądał źle. Gniewnie. Anna pomyślała, że nigdy nie słyszała takich nieprzyjemnych oświadczeń. Ale coś tu się musiało wydarzyć poważnego, bo Julianna zdawała się wszystko mieć dobrze przemyślane.

– Nie ma mowy – powiedziała cicho i spokojnie. – Cokolwiek ma się wydarzyć, nigdy za niego nie wyjdę i proszę cię, mamó, nie denerwuj się. To nie jest zła wiadomość, tylko dobra.

– Jakubie, to chyba nie jest odpowiedni moment. – Ignacy Łacki uwolnił z uścisku córkę, teraz dla odmiany objął sąsiada i zaczął go prowadzić w stronę drzwi. – Proszę, daj nam chwilę czasu na rozmowę. Jutro rano spotkamy się i ustalimy, co dalej.

– To głupie – denerwował się Żalczyk i co chwilę oglądał przez ramię. – Nie macie już czasu! Ani trochę. Powinniście mnie błagać, żebym zaraz posłał po księdza. Rano ona powinna być już żoną, inaczej skutki mogą być nie do naprawienia.

Pani Łacka pobladła, ale Julianna spojrzała jej w oczy i pokręciła głową.

– Nie ma mowy – szeptała. – Nic się nie stało.

Kobieta zaczerpnęła powietrze. A potem odetchnęła. Tak miło było mieć na świecie chociaż jedną osobę, która mówi prawdę, której można ufać. Położyła dłonie na brzuchu i objęła go. Postanowiła za wszelką cenę być spokojna.

Ojciec z dość sporym trudem wyprowadził wreszcie sąsiada za drzwi, namówił go, by wsiadł na konia i odjechał. Potem wrócił do domu. Mocno zamknął drzwi i przekręcił klucz, choć nigdy tego nie robiono, nawet na noc.

– Nie powinniśmy jej wypuszczać – powiedział. – Nawet nie chcę myśleć, co będzie, jeśli ona znowu wyjdzie. Jakie jeszcze rzeczy mogą się wydarzyć. Co ja mam według ciebie teraz zrobić? – Spojrzał na Juliannę. – Mnie się Żalczyk też coraz mniej podoba. Naprawdę ci współczuję, ale nie wszystko mogę. – Rozłożył ręce w geście bezradności.

Julianna zdawała sobie sprawę, że ojciec w gruncie rzeczy bardzo mało może. Już od dłuższej chwili wiedziała, że musi wziąć sprawy w swoje ręce.

– Masz kandydata na męża, oświadczył się – powiedziała spokojnie. Było jej zimno i słabo. Chciała już skończyć tę rozmowę. – I ja też chcę wyjść za niego za mąż – dodała.

– Chyba oszalałaś! – Łącki zrozumiał dopiero po dłuższej chwili, że to nie jest to, co jako pierwsze przyszło mu na myśl. Julianna nie chce ustąpić i związać się z Żalczykiem. – To parobek – wyszczał przez zaciśnięte zęby. – Tak nisko nie upadliśmy.

– Nie wiesz, kim jest – powiedziała. – Nigdy się nie zastanowiłeś, skąd on tyle wie? Dlaczego jest taki inny? Myślę, że nie pochodzi z chłopskiej chałupy, że się przed czymś ukrywa. Powodów nie brakuje. Może jest powstańcem?

– Za młody. – Łącki się odwrócił. – Ale to fakt. Już się wcześniej nad tym zastanawiałem – dodał pospiesznie, choć widać było, że dopiero teraz przyszło mu to na myśl. – Trzeba go wy badać. Jednak to i tak nie ma znaczenia. Kimkolwiek jest, przyszedł tu na własnych nogach i nic nie ma. Jedną koszulę na grzbiecie. Jakże ja to ludziom wyjaśnię?

– Nie wiem – odpowiedziała Julianna. – Myślę, że nie znajdziemy dobrego sposobu. Mogę powiedzieć tyle, że przestaną w końcu gadać. Znajdzie się nowa historia.

– Nigdy nam tego nie zapomną. Wiesz, jak stara jest twoja prababka? Nawet nie potrafię policzyć. – Pani Łącka momentalnie wyciągnęła palce, by przyjść mu z pomocą. Ale przecież nie o to chodziło. Machnął dłonią. – Nieważne, ile dokładnie ma lat. Chodzi o to, że bardzo dużo i nigdy, przenigdy ludzie nie zapomnieli.

– Ona leczy.

– Nie przeczę, robi dobre rzeczy, ale jej matka była podobno prawdziwą wiedźmą.

– Była po prostu mądrzejsza niż ogół – wyjaśniła mu szybko Julianna. Chciała już pójść do siebie, ale nie zanosilo się, że ojciec szybko coś zrozumie, a tak tego zostawić nie mogła. – Mądrzejsza niż księża, lekarze i właściciele dworów, a w tamtych czasach to wystarczyło, żeby wydać na kobietę wyrok.

– Na ciebie, dziecko, też wydadzą – powiedział ojciec cicho. – Widziałas, co się dzisiaj działo? Tak cię kochają, całują po rękach, kiedy leczysz im dzieci i wynosisz z dworu rzeczy. Myślisz, że ja nie wiem? – Julianna poczuła, że drży. Rzeczywiście nie przypuszczała. – Myślisz, że ja serca nie mam?! – zawołał ojciec, a broda mu zadrżała. – Chcę dla ciebie dobrze, ale ten świat nie jest dobry i czasem trzeba grać z nim twardo.

Miał rację. To były takie chwile, kiedy go rozumiała. Widziała nieszczęśliwego człowieka, który słabo sobie radzi, ale czy to jego wina, że nie jest mądrzejszy, silniejszy. Czyja?

Nie miało to znaczenia, bo i tak tylko on i jego rodzina ponosili konsekwencja każdej złej decyzji.

Ona musiała zacząć podejmować lepsze.

– Jestem gotowa, tato. I zdania nie zmienię – powiedziała stanowczo. – Uwierz, mnie też jest ciężko.

To była prawda.

Julianna zaczęła się kierować w stronę schodów.

– Muszę się przebrać – powiedziała, a z sieni natychmiast wyszła Stasia; zapewne cały czas podsłuchiwała. – I ogromnie cię proszę – zatrzymała się na schodach, a Łącki wyraźnie się przestraszył, to nie wróżyło niczego dobrego – pozwól mi na chwilę wyjść do prababci – zakończyła. – Muszę z nią porozmawiać. Inaczej nie dam sobie z tym wszystkim rady. Obiecuję, że szybko wrócę. A wiesz, że moje słowo ma wartość.

Pani Łącka kiwnęła głową na zgodę, a ojciec opadł bez sił na krzesło.

– Idź – powiedział, machając dłonią. – Już nie mam pomysłu, jak cię uratować.

– Czasem kobieta może się uratować wyłącznie sama – odparła Julianna, a potem poszła do swojego pokoju. Nawet tam jednak nie mogła dać upustu emocjom. Towarzyszyła jej Stasia, pilnie wpatrująca się w jej twarz.

## ROZDZIAŁ 13



Godzinę później biegła przez łąkę i las co sił. Było już ciemno, nikogo po drodze nie spotkała. Tak bardzo chciała teraz wpaść w miękkie ramiona babci i poczuć się bezpiecznie. Szybko otworzyła drzwi chatki. Zajrzała w każdy kąt.

Antoniny nigdzie nie było. Julianna na dobre się wystraszyła. Tak mocno, że nawet wszystkie osobiste problemy wyleciały jej z głowy.

– Babciu, babciu! – wołała. – Gdzie jesteś? – Niewielka izba nie dawała zbyt wielu możliwości, by ktoś się tam ukrył.

Wybiegła na zewnątrz. Ciemność była bardzo gęsta, wręcz namacalna. Chudy księżyc nie dawał żadnego wsparcia.

– Babciu Antosiu! – krzyczała.

Wystraszyła się, że staruszka może zemdlała w lesie albo złamała nogę. Chciała już biec na oślep między drzewa, gdy usłyszała jej głos.

– Czemu ty, dziecko, tak krzyczysz?

– Jeszcze pytasz?! – zdenerwowała się Julianna. – Nie wiedziałam, co się stało, czy nie potrzebujesz pomocy. Chyba potrzebujesz. – Julianna przyjrzała się bliżej. Babcia miała cały skrwa-wiony fartuch i czerwone ręce. – Boże, co się stało? Pomagałaś rannemu?

– Nie – uśmiechnęła się prababcia. – Robiłam konfiturę z głogu. Przecieranie to jest ciężka robota, już nie na moje siły. Przewróciła mi się miska – dodała z niechęcią, jakby fakt, że jej siły są ograniczone, stanowił powód do wstydu.

– Ale gdzie ty to robiłaś? Byłam w chatce, nie widziałam cię.

– Wszystkiego o mnie nie wiesz. Ani o tym miejscu – powiedziała prababcia. – Wyjdiesz za mąż za Szewczyka, zaczniesz nowe życie, nie będziesz tego potrzebować.

– Wiesz przecież, że tak się nie stanie.

– Przyszłość można zmienić, wystarczy podjąć inną decyzję. – Antonina z jakiegoś powodu mocno upierała się przy tej wersji.

– On na to nie zasługuje! – zawołała Julianna.

– On będzie zadowolony – odparowała szybko Antonina. Stały w ciemności naprzeciwko siebie jak dwoje przeciwników. Pierwszy raz nie w rzędzie, ramię w ramię. – Jemu wystarczy to, co jesteś w stanie mu dać, więc się nim nie zaślaniaj! – powiedziała stanowczo. – Nawet jeśli go nie kochasz, tak jak twierdzisz, że wszystkich innych opcji jest najlepszym wyjściem. Wystarczy mu twoja dobroć, łagodność, uroda, gospodarność. Lepszej żony i tak nie znajdzie. – Julianna gwałtownie obróciła głowę w bok. – No, chyba że coś ukrywasz i jednak serce masz zajęte. Wtedy to jest różnica.

– Nikt ci jeszcze nie doniósł, co się wydarzyło? – zapytała Julianna. – Ponoć masz najlepszych wywiadowców.

– Nic nie wiem – wystraszyła się babcia. – Byłam zajęta. Zbieranie głogu wymaga czasu.

Zapadło między nimi milczenie. Julianna stała w ciemnościach. Była bardzo przejęta. Oddychała szybko.

– Wyjdę za mąż za Dominika – wyznała wreszcie. – Przyszłam ci to opowiedzieć, poradzić się. Może zniknie ta twoja blokada i wreszcie coś zobaczysz – dodała z nadzieją. Bardzo potrzebowała tego wsparcia.

– Chodźmy do środka – westchnęła ciężko prababcia. – Co to za niezwykle nowiny? – dziwiła się. Taki zwrot akcji naprawdę nie przyszedł jej do głowy. – Dlaczego podjęłaś taką decyzję? – zapytała.

– Trochę los mi pomógł, ale prawda jest taka... – Julianna usiadła na krześle i zrobiła pauzę, bo te słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – Prawda jest, babciu, taka, że się chyba zakochałam – powiedziała wreszcie. – Ale bez wzajemności... – dodała szybko.

– W tym parobku?

– Przestańcie w końcu tak o nim mówić – zdenerwowała się Julianna. – Zaczynam tracić wiarę w twoją przenikliwość. Nie widzisz, że on jest niezwykle? Nosi jakąś tajemnicę.

Antonina przypomniała sobie to głębokie przecucie sprzed wielu tygodni, że do dworu

zbliża się rozwiązanie. Sądziła, że się go jeszcze nie doczekała, że wciąż jest w drodze. Ale rzeczywistość to było tuż przed tym, jak do dworu przybyło dwóch włóczęgów.

Nie rozpoznała w nich ratunku. Nawet kiedy tu do niej obaj przyjechali, nic się nie wydarzyło, serce nie zabiło jej mocniej. Dlaczego?

Z jakiego powodu w tak ważnej sprawie instynkt zawodził?

Intensywnie myślała o tym chłopaku. Przywoływała w myślach jego twarz. Zwykle potrafiła z ludzkich twarzy odczytać bardzo wiele: ich charaktery, przyszłość, skrywane tajemnice, o chorobach już nie wspominając. A Dominik nie mówił jej nic. Przecież musiał mieć jakąś historię, skądś tutaj przywędrował.

– Nic – powiedziała. Zapaliła drugą lampę, usiadła naprzeciwko Julianny, po czym westchnęła. – Na pewno pasuje do tego dziwnego schematu – powiedziała. – Jestem wobec niego bezradna, dokładnie tak samo, jak wobec twojej przyszłości.

– No to pięknie – zdenerwowała się Julianna. – Miałam nadzieję, że mi pomożesz.

– Ale dlaczego akurat on? – zapytała Antonina. Ten pomysł jej się nie spodobał. Sama lubiła ryzyko, żyła wbrew szablonom i konwenansom, dobrze się z tym czuła. Ale kiedy chodziło o ukochaną prawnuczkę, marzyło jej się wyłącznie bezpieczeństwo, stałość i zero ryzyka.

Ot, paradoks.

– To jedyny człowiek, który naprawdę mnie rozumie – powiedziała powoli Julianna. – Z którym mogę porozmawiać. Nawet jeśli on tego nie chce, nawet jeśli jest na mnie wściekły i tak mam z nim najlepszy kontakt. Oprócz ciebie, oczywiście – dodała szybko. – Podoba mi się też – zwierzyła się. – Ale wiem, że jego serce jest zajęte. Sam mi to powiedział. Może właśnie z tego powodu jest taki ponury? Kogoś zostawił i wiem, że będzie chciał wrócić do tej kobiety.

– To bardzo niedobrze. – Antonina spojrzała na wnuczkę ze współczuciem. – To okropnie niesprawiedliwe, że spotyka akurat ciebie! – zawołała; było jej bardzo przykro. – Jesteś taka śliczna, zawsze myślałam, że będziesz przebierać w kandydatach, zakochasz się i zobaczę, jak idziesz do ślubu szczęśliwa. Coś takiego nawet mnie nie przyszło na myśl. Parobek, na dodatek zakochany w innej! Mój Boże! To będzie koniec wszystkiego.

– Albo początek. – Julianna nie zamierzała pozwolić, by resztki nadziei, które gdzieś tam jeszcze kołatały w jej sercu, zostały zniszczone. – Ty masz jakieś zioła na miłość. Dajmy mu coś!

Babcia tylko westchnęła.

– To legenda – powiedziała. – Choć niektóre zielarki zarabiają na tym dużo pieniędzy – przyznała. – Mogę dać mu coś, co sprawi, że się z tobą prześpi, że będzie tego ciągle chciał, nie opanuje się. Mogę dać nawet podwójną dawkę w noc poślubną. Będzie skamlał u twoich stóp. Ale nie mogę sprawić, żeby jego serce cię pokochało – dodała uczciwie.

Julianna ukryła twarz w dłoniach.

– Nie chcę takiej pomocy! – zawołała.

Antonina cierpiała jak jeszcze nigdy w życiu. Cierpieniem dziewczyny.

Zrozumiała, że to dlatego nie widzi przyszłości swojej prawnuczki. Kocha ją za mocno. Nie odróżnia swoich marzeń od przeblysków intuicji, nie potrafi się skupić, zachować dystansu. Zrobiłaby wszystko, oddała swoje życie, byle ta dziewczyna była szczęśliwa.

A tymczasem siedziała naprzeciwko i czuła się tak okropnie bezradna.

– Jestem tylko człowiekiem – powiedziała. – Przepraszam. Ludzie pokładają w czarach zbyt wiele nadziei, a za mało wierzą w swoje siły.

– No właśnie! – zerwała się Julianna. – To ty też uwierz w moje siły. Jakoś to rozwiążemy. To i tak najlepsza opcja. Jedyna moja szansa! Przynajmniej mi zależy. Wiem, że jest się o co starać.

– A co on na to? – zapytała Antonina. – Zgodził się z tobą ożenić? Mimo że gdzieś czeka na niego ta dziewczyna i że chce do niej wrócić?! To trochę oburzające!

– Nie wiem, dlaczego to zrobił, ale tak się stało – odparła Julianna. Też ją to bolało. – Porozmawiam z nim. Zaraz tam pójde. Chciałam tylko najpierw przybiec do ciebie, żebyś wiedziała, zanim dotrą tu plotki, bo z pewnością się to stanie. Ludzie zobaczyli nas w lesie i od razu sobie powyciągali mnóstwo fałszywych wniosków. Chciałam, żebyś wiedziała, że nic się nie wydarzyło, w sensie nic złego.

– Nie mam co do tego wątpliwości. – Antonina podeszła i uścisnęła ją. – Jeśli faktycznie podejmiecie taką decyzję, wszystko, co moje, będzie wasze. To wprawdzie tylko ta wielka łąka, sporo

lasu... Wystarczy, żeby się wyżywić. Dominik to pracowity mężczyzna, a i ty coś potrafisz. Nie mam już pieniędzy, ale za to bogatą aptekę. Trochę umiesz, a czego jeszcze nie wiesz, wszystko ci przekażę. Ale nie tak sobie to wyobrażałam, nie tak.

Julianna nic nie odpowiedziała. Też nie marzyła o tym, że weźmie ślub z mężczyzną, który zgodził się na to tylko pod wpływem emocji, może wyłącznie z litości albo współczucia, ale lepszego wyboru nie widziała. Do podjęcia ostatecznej decyzji brakowało jej jeszcze rozmowy z nim. Musiała wyjaśnić sprawę tej dziewczyny. Bez tego się nie dało.

## ROZDZIAŁ 14



A ten znowu zły. – Józek zniżył głos do szeptu. – Ja bym się wcale nie dziwił, jakby nas tutaj podsłuchiwali, bo u ciebie bez przerwy coś się dzieje. Mieliśmy nie szukać kłopotów i nie rzucać się w oczy. Byłem głupi, jak myślałem, że to możliwe, żeby się Dominik Podhorski, dziedzic na Podhorowie nie wyróżniał.

– Cicho bądź! – upomniał go przyjaciel. – Naprawdę coś się stanie. Ktoś się dowie i będą kłopoty.

– Już się stało – odparł Józek. – Ale na moje oko samo dobre. Możesz się ożenić z córką dworskiego pana, równą sobie. Poza tym to taka miła dziewczyna. Ja bym nie marudził, tylko brał.

– Przestań gadać takie głupoty! – oburzył się Dominik. – Dla niej to zła opcja. Po pierwsze, wiesz, jaką ma trudną sytuację, po drugie, ja się nie nadaję na niczyjego męża. Nie mam serca.

– Masz, tylko trochę poturbowane, ale się zagoi.

– Lekarz się znalazł! – zdenerwował się Dominik.

– Myślisz, że się na tym nie znam? – obraził się Józek. – Widziałem w życiu więcej panien niż ty. I jak ci trzeba będzie coś poradzić, to przychodź śmiało, bo u ciebie strasznie słabo z doświadczeniem.

Dominik tylko zacisnął usta. Nie zamierzał odpowiadać.

– A ja ci powiem tak – odezwał się niepytany Józek. – Że właśnie czuję moc, żeby być wiedźmą, zielarką i wróżką w jednym, jak ta prababcia Julianny. I mam takie przeczucie, że wszystko się dobrze skończy. Łackim urodzi się dziewczynka, będzie tak samo miła jak Julianna, dogadacie się, podzielicie majątkiem. Postawisz na nogi ten piękny dwór i za parę lat będziesz tu prawdziwym panem, jakiego jeszcze nie było.

– Nie opowiadaj głupot – zaprotestował Dominik. – Gadałem przed chwilą z tą twoją Stasią. Dużo wie dziewczyna.

– Ja zawsze dobrze wybieram – pochwalił się Józek.

– Podobno gospodyni Żalczyka powiedziała mu, żeby się nie obawiał, bo na pewno urodzi się dziewczynka i on dostanie swój posąg... – zawiesił głos.

– No dobra – przyznał się Józek. – Wcale nie mam żadnych tajemnych mocy. Żadna ze mnie wróżka. Rzeczywiście Stasia mi to powiedziała. Ale i tak myślę, że to dla ciebie wielka szansa i dobry pomysł.

– Biedna Julianna – powiedział Dominik. – Może jest jeszcze możliwość, żeby ją jakoś uratować? – Spojrzał na Józka z nadzieją. – Ty masz nieraz takie dobre pomysły.

– Ale żeby zmieniać twój los na lepsze, a nie na gorsze – odparł szybko przyjaciel.

Dominik nie odważył się powiedzieć, że przecież jej nie kocha. Z takich rzeczy nie chciał się nikomu zwierzać. Zresztą Józek pewnie i tak sam to rozumiał.

– Długo dziś rozmawiali we dworze, ciągle świeci się światło – dodał Dominik. – Może już wymyślili jakiś lepszy sposób? Ja tu, głupi, w głowę zachodzę, a tam się pewnie śmieją, że jakiś durny parobek złożył panience honorową propozycję. Bo sobie wyobraża, że dla kogoś mogłoby to mieć znaczenie.

Mimo wszystko było mu bardzo przykro. Odczuł teraz wyraźnie, jak niewiele znaczy w świecie, kim się stał i co stracił. Do tej pory jego cierpienie brało się głównie z powodu tęsknoty za bliskimi, za ludźmi. Teraz dotarło do niego z całą mocą, że odebrano mu coś więcej, można powiedzieć, że prawie wszystko.

Kiedyś jego propozycję przyjęto by tutaj z radością. Witano by go domową nalewką, przyjechałby piękną bryczką, razem z ojcem, a Łacki skakałby koło nich, starając się przypodobać.

Dziedzic Podhorski byłby dla ojca Julianny wybawieniem. Zawsze miał pieniądze. Gotowiżnę, oszczędności, zapchane spichlerze i spiżarnie. Może to właśnie go zgubiło? Może gdyby dwór w Podhorowie nie był tak dobrze zarządzany, ten drań Bracki nie pomyślałby o nich? Może by się wtedy uratowali?

Spróbował odpędzić od siebie gorzkie myśli. Co za pułapka z tego życia? Radzisz sobie dobrze – może się to dla ciebie źle skończyć. Radzisz sobie źle – na pewno się to dla ciebie źle skończy.



– Poczekajmy spokojnie – powiedział Józek. Chciał odpędzić myśli przyjaciela od tego jednego tematu, który wciąż go dręczył. Już rozpoznawał tę minę. Wiedział, że Dominik jest teraz w Podhorowie. – Jeśli panna przyjęła twoje oświadczenia, to wiedz, że musiało to być dla niej trudne i nie możesz odmówić. – Powstrzymał się od tego, żeby zatrzeć ręce w geście zadowolenia. Całym sercem był za tą opcją. Wiedział, że Dominik nie kocha Julianny, ale wcale nie uważał, żeby to było takie istotne. Dadzą sobie radę, to najważniejsze. A czas może przynieść wiele niespodzianek, także dobrych. – Nie możesz się wycofać.

Dominik spojrzał na niego ponuro. Zrozumiał to.

– Jak można tak szybko wpaść w taką pułapkę? – zdumiał się. – Jeszcze wczoraj siedziałem tutaj, byłem parobkiem, robiłem swoje, a dziś taka zmiana.

– To kobiety. – Józek machnął dłonią. – Nawet nie wiesz, jak potrafią zamotać życiem człowieka. Trzeba być dobrym w tej grze. – Pokiwał głową, przyznając sobie chyba z uznaniem laur wybitnego fachowca. – Inaczej, człowieku, ani się nie obejrzysz i już jesteś ożeniony. Tylu to spotkało przed nami, twoje szczęście, żeś tak dobrze skończył, bo doświadczenia nie masz żadnego.

– Jeszcze mi może powiesz, że to twoja zasługa?

Józek chyba na to nie wpadł, ale kiedy usłyszał taką propozycję, uznał, że warto jej się przyjrzeć.

– W sumie... – powiedział z namysłem. – Zawsze mi się ten pomysł podobał. Nawet gdy nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, że to w ogóle jest możliwe.

To akurat był fakt. Dominik spojrzał na niego zaskoczony, bo rzeczywiście przyjaciel już dawno wspominał o tej nierealnej opcji. A życie to jemu właśnie powiedziało „tak”, i jego propozycji, choć była najdziwaczniejsza ze wszystkich.

– No nic. – Dominik położył się, przykrył, bo dziś w szczególnie sposób było mu zimno. – Poczekajmy. Może ta sprawa sama się rozwiąże. Może ona już więcej się do mnie nie odezwie?

W tym samym momencie drzwi szopy uchyliły się i weszła panienka Julianna.

Trzymała w rękach lampę naftową. Jej światło otulało miękkim ciepłym kolorem miłą twarz, smutne oczy i piękny warkocz.

Dominik zerwał się na równe nogi. Serce zaczęło mu łomotać ze strachu.

Co teraz będzie? Jak on sobie poradzi z rolą, do której czuł się kompletnie nieprzygotowany. A jednocześnie wiedział, że skrzywdzić tę dziewczynę, jest dla niego sprawą niemożliwą i nigdy by sobie tego nie darował.

– To ja idę do stajni spać. – Józek szybko zwinął szarą derkę i kłaniając się nisko, wyszedł z szopy. Julianna usiadła na jego łóżku.

Znowu dużo zaryzykowała – pomyślał Dominik. – Przyjść wieczorem do mężczyzny bez opiekunki, bez przyzwoitki? Czy jednak mogło w ogóle być jeszcze gorzej?

Mogło.

To zrozumiał w momencie, kiedy podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Zrozumiał, że oczekiwała czegoś więcej niż rozwiązania sprawy, że jest szczerą i prawdziwą, i zasługuje na wszystko, co najlepsze.

Milczał.

Józek miał rację, Podhorski nie miał pojęcia, jak rozmawiać z panienkami. Jego myśli jak dotąd zajmowała tylko jedna dziewczyna. Emilia, narzeczona jego brata. Nigdy nie spędzili ani chwili sam na sam. Zawsze w czyimś towarzystwie. Odezwał się do niej zaledwie kilka razy, zawsze w jakiejś konkretnej sprawie.

Oczywiście wiele razy wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby mogli być razem, ale zawsze to ograniczało się do scen porwania, wspólnego pędzenia rumakami przez noc, może do jakiegoś pocałunku i tyle. Nic więcej.

Czuł się okropnie. Jakby był jakimś młokosem, chłystkiem kompletnie nieprzygotowanym do życia. A przecież był mężczyzną. Jego ciało reagowało na bliskość pięknej kobiety, która znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Był na siebie zły z tego powodu.

– Jak się czujesz, panienko? – zapytał wreszcie i chyba to był niezły początek, bo Julianna spojrzała na niego życzliwie. W sumie może to i racja, że mężczyźni rzadko interesują się tym, co kobiety czują i jak się mają.

– Nie najgorzej – odparła. Miała tyle pytań w głowie. Czekwała jednak, co on zrobi.

– Naprawdę chcesz za mnie wyjść za mąż? – zapytał.

– Tego jeszcze nie wiem – odparła. Światło lampy sprawiało, że wydawała się taka miękka, wiedział jednak, że to złudzenie. – Musisz mi jedną rzecz powiedzieć – zaczęła, a on poczuł, jak się spina. – Kim jest ta dziewczyna, którą kochasz? I czy zamierzasz do niej jechać? Wrócić – uściśliła i głos jej zadrżał.

Dominik opuścił głowę i objął się ramionami.

No tak – pomyślał. – Wszystkiego jej przecież nie opowiedziałem. Nie sądził, by miało to znaczenie.

– Czy to twoja jedyna obawa? – zapytał.

– Tak. Resztę zrozumiem – odpowiedziała. Wpatrywała się w niego w napięciu.

Dominik nie pierwszy raz był zaskoczony jej bezpośredniością. Widział, jak ludzie ze sobą rozmawiają, mężczyźni z kobietami, kawalerowie starający się o rękę panien ze swoimi wybranymi kandydatkami. Zawsze używano gładkich słów, ogólnych tematów. Nikt tak nie mówił wprost, jak ona. Było wiele aranżowanych małżeństw, lecz pewnie rzadko ludzie mówili sobie: „Wiem, że mnie nie kochasz, ale i tak jestem gotowy”. To się wiedziało, jednak taka otwartość stanowiła rzadką sprawę.

Postanowił być równie szczery we wszelkich kwestiach. To mogło być pomocne. Ale wcale nie łatwe.

– Ona nie żyje – powiedział wreszcie. Po raz pierwszy do kogoś, kto nie był jego najbliższym przyjacielem, nie pochodził z tamtego świata. I w tym momencie uświadomił sobie, że to prawda. Poczul ją całym sobą. Tak się stało i nie musi wcale wracać, stanąć nad jej grobem, by nabyć pewność. Tak było. Ojciec Józka mówił prawdę.

Julianna była zaskoczona. Kiedy tu szła, próbowała się przygotować do rozmowy. Wymyślić odpowiedzi na różne opcje, które przychodziły jej do głowy. Tej jednak nie przewidziała.

Pod pewnymi względami była to nie najgorsza wiadomość, wiele rzeczy upraszczała. Jednak rywalizować z osobą zmarłą to trudna rzecz. Nie ma się szans, bo taki człowiek nie popełnia już żadnych błędów. Z czasem jego wizerunek idealizuje się i staje się pośagiem.

Ale nie zamierzała mu o tym mówić. Nie chciała, by wiedział, jak bardzo jej zależy. I tak cała sytuacja bez tego była dostatecznie trudna.

– Była twoją narzeczoną? Kimś bardzo bliskim? – zapytała jeszcze.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Ale ją kochałeś.

– Tak.

Cisnęło jej się na usta pytanie: „I nadal kochasz?”, ale nie zamierzała sama zadawać sobie dodatkowego ciosu.

– Jeśli weźmiemy ślub, to w domu. Będzie to mała uroczystość – gwałtownie zmieniła temat, aż spojrzał na nią zaskoczony. Zaczęła mówić rzeczowym tonem, żeby nie wyszło na jaw, jak bardzo jest jej przykro. – Właściwie nawet słowo „uroczystość” jest tu chyba trochę nie na miejscu – wyjaśniała. – Będą moi rodzice, prababcia, służba i ksiądz. Nie sądzę, by ojciec planował kogoś więcej zapraszać. Tobie zapewne będzie świadkował Józek – dodała i aż samą nią wstrząsnął dreszcz, że tak to wszystko się odbywa. – Ale nie zamieszkamy we dworze. To by było bardzo niezręczne ze względu na rodziców, służbę, sąsiadów i ciebie.

Podniósł głowę, o tym nawet nie pomyślał. Sytuacja była dla niego tak zaskakująca, że nie sięgał wyobraźnią nawet do tego dziwnego ślubu, a co dopiero dalej. Chciał tylko postąpić jak mężczyzna. Nie splamić honoru, nawet jeśli wszystko to było bardzo dziwne.

– Gdzie w takim razie zamieszkamy? – zapytał.

– U mojej prababci. Wszystko, co ma, kawałek ziemi i lasu, nam zapisze.

Dominik poczuł dreszcz na plecach. Widział tamtą chatkę, małą, za ciasną nawet dla jednej osoby, a co dopiero dla trzech. A potem przypomniały mu się słowa Józka o tym, że wybuduje dwór. Brzmiały szaleńczo, ale czy ten świat nie jest jednym wielkim szaleństwem?!

Wyprostował się. Nie znał się na kobietach, ale wiedział, co jest powinnością głowy rodziny.

– Ślub weźmiemy, kiedy będzie trzeba – zaczął. – Jeśli się uda, może nie tak od razu. – Zobaczył, że Julianna zaciska dłonie, ale nic nie powiedziała. – Trzeba nam wybudować dom. Nie

wprowadzę cię byle gdzie.

Julianna wyobraziła sobie te dziesięciolecia, jakie miną, zanim on przeprowadzi ją przez próg. Wybudować dom to nie taka prosta sprawa, zwłaszcza kiedy nie ma się żadnych środków. Może to wymówka? Może tak mu wygodnie i w ten sposób ucieknie od niechcianego związku?

– Nie martw się – usłyszała jego głos. – Nie brakuje mi sił do pracy, znam się też na robocie. Za mojego życia...

Tu się zatrzymał. Chciał powiedzieć, że jego ojciec dobudował skrzydło we dworze, nowe stajnie, a w parafii powstał kościół. Dominik sporo się napatrzył, jak to było zrobione, a w wielu przypadkach pomagał. To zadanie mu się nawet spodobało. Jest coś pięknego w stworzeniu od podstaw miejsca, gdzie będzie mogła zamieszkać rodzina. Dla niego to była wielka wartość bez względu na okoliczności. Jeśli Julianna miała zostać jego żoną, musiała dostać szacunek, jaki jej się należał.

– Pomyślimy nad tym – odparła Julianna. – Może się znajdzie jakieś wyjście.

Kiwnął głową.

– To mam jeszcze jedno pytanie – odezwała się. – Mam nadzieję, że teraz już na nie odpowiesz bez wymówek, zważywszy na okoliczności. Jak ja się będę nazywać po ślubie?

No tak – pomyślał. – Nazwisko wiele mówiło. Był jej wdzięczny, że nie draży historii rodzinnej, pozwala mu wybrać moment, a ten niechybnie nastąpi, kiedy będzie jej mógł o wszystkim opowiedzieć. Ale ta informacja jej się należała. Inaczej się nie dało.

– Nazywam się Podhorski – powiedział te słowa z dumą i poczuł nagle taki przyływ siły, jakby wszystko, co dobre, co kiedykolwiek dali mu rodzice, zgromadziło się w tym jednym słowie. – Dominik Podhorski. – Aż mu łzy stanęły w oczach. Tak dawno nie wypowiedział tego słowa.

Nie dodał, że syn dziedzica w Podhorowie. Ale ona już wiedziała. To nie było chłopskie nazwisko. Pokiwała tylko głową.

– To dlatego tak dużo potrafisz. Jaka jest przyczyna? – zapytała tylko. – Zaborcy?

Kiwnął głową.

– I jeszcze podłość ludzka – dodał. – Niezmierzona, niewyczerpana, niewyobrażalna.

Teraz rozumiała go zdecydowanie lepiej, lecz to wcale jej nie pomogło.

Czuła, że coraz mocniej kocha tego człowieka. Chciałaby go przytulić, ukoić, ale też sama być jak najbliżej niego. Siedział jednak po drugiej stronie na swoim łóżku i ani myślał wykorzystać sytuacji, że jest z panią sam na sam.

Tyle lat ją straszono, jacy to mężczyźni są niebezpieczni. Szczególnie Stasia opowiadała jej różne dramatyczne historie o wykorzystanych pannach, którym to potem złamało życie.

Może tacy prostacy jak Żalczyk owszem, byli niebezpieczni, ale prawdziwi mężczyźni, ci warci uwagi – wręcz przeciwnie. Dawali poczucie bezpieczeństwa. Prawdziwą miłością można pokochać tylko takich. Szkoda jednak, że nie zawsze jest to prosta historia.

– Pójdę już – powiedziała i podniosła się, a Dominik znów poczuł ten dziwny dreszcz w ciele, kiedy patrzył, jak stawia kroki, jak trzyma głowę i odrzuca warkocz na plecy.

Podniósł się szybko z łóżka, po czym podszedł za nią. Otworzył jej drzwi, a potem wciąż patrzył, jak bezpiecznie dociera do dworu. To, co się wydarzyło, nadal nie mieściło mu się w głowie.

## ROZDZIAŁ 15



Była druga w nocy. Jakub Żalczyk przewracał się w łóżku z boku na bok. Nie mógł zasnąć. Czuł się chory, obolały, atakowały go grzeszne myśli, wyobrażenia, sceny. Obawiał się, że jest na wieki potępiony, wiedział bowiem, że nigdy nie zdoła się z tego wypowiedzieć przed księdzem proboszczem. Dobrodziej by chyba zemdłał. Zostanie więc ta noc jak ciężar na jego duszy aż po wieczność. To było straszne.

Żalczyk nigdy czegoś takiego nie przeżył. Jego stateczna małżonka dobrodziejka była poczciwą kobietą. Wiedziała, co to małżeński obowiązek i wywiązywała się z niego bez słowa sprzeciwu. Chętnie czy niechętnie – nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Ale nawet gdy prowadził ją do ślubu, albo kiedy byli młodzi i nie mieli jeszcze dzieci, nigdy nie zajmowała tak intensywnie jego myśli. Zdarzało mu się poczuć nagłą potrzebę, by do niej pójść, ale ani razu jej sobie w ten sposób nie wyobrażał. A kiedy była w połogu czy z niemowlęciem przy piersi, nie miał problemu, by nie sypiać z nią przez wiele tygodni. Chodził swoimi drogami i spokojnie załatwiał własne obowiązki. Teraz z każdym tygodniem było coraz gorzej.

Początkowo wydawało się, że to małżeństwo z panią Łacją jest dowodem jego rozsądku. Teraz jednak zaczynał myśleć, że wręcz przeciwnie, całkiem zwariował.

Po co mu było w to wchodzić?

Przyglądać jej się bliżej, poznawać, rozmawiać z nią, dostawać kosza za koszem? A po każdym wszystkim się jeszcze pogarszało. Im bardziej była odległa, im więcej przeszkód piętrzyło się na ich drodze, tym mocniej jej pragnął. Ponad wszystko.

Kilkakrotnie już dotarł do punktu, w którym uznał, że weźmie ją nawet bez posagu, a pieniądze to było dla niego słowo święte i najbardziej ceniona rzecz. Przez pokolenia nigdy żaden Żalczyk nie splamił się poślubieniem biednej panny.

Dobrze, że jego ojciec już nie żył, bo by tego nie wytrzymał, a przecież dla syna nie ma nic gorszego niż świadomość, że zawiódł swoich rodziców. On też nie zamierzał tego zrobić. Po prostu nie mógł już wytrzymać.

Czuł, że zaraz oszaleje. To było bez sensu. Wił się po łóżku i naprawdę cierpiał. A jego wyobraźnia rozpędzała się coraz bardziej.

Łąccy mogli załatwić tę sprawę na wiele innych sposobów, ale czuł całym sobą, że ta dziewczyna postawi na swoim i wyjdzie za tego wstrętnego, obrzydliwie przystojnego, bezczelnego młodego parobka, zamiast wybrać lepszy los, godny panny z jej rodu. Na myśl o tym, co oni będą robić, poczuł, jak jego brzuch przeszywa dotkliwy cios. Jakby się nadział na rozżarzony drut.

Zerwał się z łóżka, potknął o nocny stolik i narobił łomotu. Zastygł bez ruchu. Miał nadzieję, że dzieci się nie pobudziły. Ale nikt się nie odezwał. Ostatnio Żalczyk chodził podenerwowany i rodzina starała się go unikać.

To nie było dobre. Musiał się wziąć w garść. Jego dzieci zasługiwały na matkę. Kobietę, która się nimi zajmie. Jak by na to nie patrzeć, chłop nie był od tego. Ale jemu też pilnie brakowało kobiety.

Ubrał się w ciemnościach na oślep, pakując ręce w ciepły kaftan, a potem poszedł budzić gospodynię. Była jedyną osobą na świecie, której mógł powiedzieć prawie wszystko. A czego nie umiał, to ona się domyśliła.

Wiekowa staruszka wychowała go od maleńkości i знаła bardzo dobrze. Może znajdzie jakiś sposób na tę okropną dolegliwość, jaka go dopadła? Snuł się po ciemnym dworze jak duch i tak też się czuł. Jak potępieniec, który nigdzie nie może odnaleźć spokoju.



– Co się stało? – Gospodyni zerwała się na równe nogi. – Pożar czy co?

W pewnym sensie to był pożar, ale Żalczyk nie odważył się kiwnąć głową, bo bał się, że narobi paniki.

– Muszę z nią być! – powiedział zachrypłym głosem, a ona usiadła na łóżku. Widziała go tylko w słabym świetle lampy, którą ze sobą przyniósł, ale od razu się domyśliła, o kogo chodzi, i wystarczył jej tylko jeden rzut oka na twarz pana tego domu, by zrozumieć, jakie dopadło go opę-

tanie. Najgorsze z możliwych.

– Jakże to się stało? – zapytała.

– Ja sam nie wiem – odparł bezradnie. – Poradź, co robić. To miłość.

– Antonina by ci co innego powiedziała... – Gospodyni próbowała jeszcze zawalczyć o jakąś rozsądną decyzję dla swojego pana. – W miłości jest spokój, szczęście, a pan się strasznie miota i chce ją skrzywdzić.

Rzucił lampę o podłogę, a kobieta aż krzyknęła z przerażenia, po czym wyskoczyła z łóżka i szybko nakryła kocem resztki szkła i ogień, który w drewnianym w domu mógł się błyskawicznie rozprzestrzenić.

– Całkiem zwariowałaś?! – krzyknęła. W chwilach wielkiego przejęcia mówiła do niego jak wtedy, gdy był mały. – Dzieci chcesz spalić?

– Muszę z nią być – powtórzył. – Rozumiesz? Muszę.

Rzeczywiście wyglądał teraz jak szaleniec i wiedziała, że jest wobec tego bezradna. Jeśli pozwoli mu samodzielnie działać, zrobi coś bardzo złego.

– Jak można zdobyć pannę, która cię nie chce? – zapytał.

– To dość proste – odparła po chwili. – Wystarczy skandal.

Zaczęła sprzątać, ale zaraz się wyprostowała.

– Nieprawda. – Teraz powiedział to już nieco ciszej. Nie chciał, żeby dzieci go usłyszały. Było mu wstyd. Ale nie potrafił się powstrzymać. – Nic to nie pomogło – dodał z naciskiem. – Mieliśmy skandal, całkiem spory i nie pierwszy w tej historii, ale ta głupia dziewczucha woli iść za parobka niż za mnie.

Gospodyni zrozumiała. To była zniewaga, jakiej ten mężczyzna nie był w stanie przełknąć. Pierwsze odrzucenie przyjął w miarę z godnością, choć już wtedy go zabolalo, ale teraz sprawa dotyczyła się o coś o wiele poważniejszego. To uderzyło w samo centrum jego dumy, trochę za bardzo napompowanej, trochę fałszywej, ale dla niego najcenniejszej. Wiedziała, że nie odpuści.

– Ja nie taki skandal mam na myśli – powiedziała powoli. – Ponoć oni tylko się przewrócili w lesie. Nic tam się nie wydarzyło. Julianna wciąż jest panienką.

Właściwie to zdawał sobie z tego sprawę, ale te słowa sprawiły, że poczuł większą ulgę.

– Trzeba ją porwać – odgadł jej pomysł. Zrobiło mu się gorąco. Wszystko zrozumiał. I choć doskonale wiedział, jak zły jest to pomysł, nie mógł opanować tej dzikiej chęci, żeby to zrobić.

Tak, gospodyni miała rację. Czasem tak się zdarzało i potem panna nie miała już wyjścia. To znaczy miała dokładnie jedno. Za męża.

Zaczął intensywnie myśleć.

– Tak. – Kiwnął głową. – Ale jak wywabić ją z dworu? – zastanawiał się, takie podstępny nie były jego mocną stroną. – Pilnują jej tam. Nie będziemy przecież na nich napadać. Trzeba by ludzi, broni. A mnie się spieszy.

Gospodyni, która intensywnie wpatrywała się w jego twarz, straciła właśnie ostatnią nadzieję na jego powrót do rozsądku. Westchnęła ciężko.

– Kto wie, lada moment może tam przyjechać proboszcz. – Żalczyk miotał się po niewielkiej izbie. – Ja bym na miejscu Łackich skoro świt załatwił sprawę. Wkrótce Julianna powinna się pojawić w kościele jako mężatka. Moja żona – dodał, żeby nie było wątpliwości. – Szlag by mnie trafił, jakbym ją tak zobaczył z tym prostakiem, z tym głupkiem, przybłądą – wymieniał, rozpędzając się coraz bardziej.

– Spokojnie, spokojnie. Tu akurat jest proste rozwiązanie – powiedziała gospodyni, a on zatrzymał się gwałtownie w pół kroku.

– Jak to? – zdumiał się. Myślał dziś w nocy tyle czasu, przewracając się z boku na bok, i żadnego nie znalazł, a co dopiero prostego.

– Paniennę Juliannę bardzo łatwo z domu wywabić – odparła gospodyni. – Każdy to wie, tylko nie Łąccy. Wystarczy podesłać kogoś z prośbą, że jest choroba. Najlepiej żeby to była kobieta. Jakiś trudny poród albo coś. Zaraz, niech chwilę pomyślę... Może córka kościelnego?

– A, ta – pogardliwie powiedział Żalczyk.

– No właśnie, wszyscy się od niej odwrócili – potwierdziła gospodyni. – Rodzony ojciec nie chce jej znać, a ona teraz w dziewiątym miesiącu. Panienna na pewno się przejmie. Trzeba powiedzieć, że nikt nie chce dziewczynie pomóc, a poród się zaczyna.

– Ale kogo ja poślę?! – zawołał. – Mnie przecież nie posłuchają.

– Weźmiemy naszą bonę do dzieci. To rezolutna dziewczyna. Radzi sobie z naszymi dziećmi bardzo dobrze. Sama, bo w tym domu wciąż nie ma pani. – Szybko się zreflektowała, że tymi słowami może niepotrzebnie podkreca atmosferę, która i tak była zdecydowanie za gorąca.

Ale Żalczyk był całkowicie skupiony tylko na tej jednej szalonej myśli, żeby porwać panią Juliannę.

Westchnęła jeszcze raz, z wyraźną przyganą, ale on kompletnie nie zwrócił na to uwagi.

– Zejdzie od tyłu, tam, gdzie służba śpi – powiedziała – żeby rodzice nie słyszeli. Nieraz tam ludzie podchodzą, każdy zna drogę. Panią wychodzi przez okno, a potem biegnie i zanim dotrze do ogrodzenia, musisz ją dopaść. – Zadrżała. Było jej wstyd i żal tej młodej dziewczyny, ale czuła się złapana w potrzask. Albo uratuje swoją rodzinę, albo jej. A ta w tym domu była jej najbliższa. – Później musi pan zrobić swoje – dodała cicho. – To ja już nie będę tego tłumaczyć. Pięcioro dzieci na świecie, to pan wie. No i po temacie. Rano do Łąckich, księdza zawołać i sprawę załatwić. Może płakać, ile chce. Wtedy już na wszystko będzie za późno.

Kiedy to mówiła, wyobraźnia Żalczyka pracowała na wysokich obrotach. Wszystko to dokładnie widział i po ostatniej scenie poczuł przeogromną satysfakcję. Jakby już dopiął swego.

– Może się jednak zdarzyć – powiedziała powoli gospodyni – że Julianna i tak nie będzie chciała za ciebie wyjść. To uparta dziewczyna. Pójdzie do prababki, zamieszka w chacie i tak postawi na swoim, a ty będziesz miał wtedy potężnego wroga.

– Ja się tam starych wiedzim nie boję! – zawołał Żalczyk zapalczywie, choć taki całkiem pewien tego nie był. – A w sumie jak nie będzie chciała za mnie wyjść, to też jakoś przeżyję – dodał, a gospodyni spojrzała na niego z przestachem. Nie sądziła, że jest do tego zdolny. – Byleby tylko pokazać, że nie wolno bezkarnie obrażać mężczyzny – złościł się – przywoływać go, a potem odpędzić... Niech Julianna wie, jak to się może skończyć. Niech ma za swoje...

– W porządku. – Gospodyni była mocno rozczarowana. Myślała, że jednak za tym całym szaleństwem kryje się choć odrobina prawdziwej miłości. Najwyraźniej nie było tam nawet jej śladu.

– To idź – zwrócił się do niej Żalczyk. – Załatw to. Ja jestem gotowy.

Kobieta otuliła się szczelnie chustą, rozpałała mocniej swoją lampę, a potem poszła. Ciężko jej się stawiało każdy krok. Nie wiedziała jednak, co mogłaby zrobić, żeby uratować wszystkich.

Obudziła śpiącą przy dzieciach opiekunkę i przekazała jej instrukcje.

Kiedy bona pobiegła do dworu, aby wykonać zadanie, ona jednak zrobiła kilka kroków w stronę tajni znajdujących się niedaleko budynków, gdzie mieszkało dwóch parobków. Obudziła jednego z nich i poleciła mu pójść do Łąckich, powiedzieć, żeby tamta służba była czujna, bo być może przyjdzie w nocy jakaś pilna wiadomość.

Więcej nie mogła zrobić.

Uznała, że pojedynek pomiędzy tymi mężczyznami powinien być uczciwy, choć prawdopodobnie Dominik wcale nie dostanie tej informacji. Ponoć spał gdzie indziej, ale to już nie do niej należało boskie wyroki zmieniać. Jeśli panią miała się uratować, to niech tak się stanie.

Westchnęła ciężko, wróciła do domu, posprzątała do końca swoją sypialnię, a potem poszła do dzieci. Czekala ich niespokojna noc. Być może dziś w najgorszych możliwych okolicznościach przybędzie im braciszek albo siostrzyczka. Żadnemu dziecku nie życzyła, by musiało pojawić się na świecie w taki sposób.

## ROZDZIAŁ 16



Pół godziny później Antonina obudziła się gwałtownie, po czym zerwała z łóżka i zaczęła wkładać buty. Zanim jeszcze zdążyła pomyśleć i określić to bardzo złe przecucie, jakie do niej nagle przyszło.

Coś złego stało się Juliannie! – Wrażenie było jak cios nożem w brzuch. – Coś okropnego!

Nie miała czasu nawet w ciemnościach szukać okrycia, zarzuciła więc koc na plecy, a potem szybko wyszła. Wyprowadziła konia ze stajni i przypięła do niego wóz.

To niestety zajmowało tak bardzo dużo czasu. Stare ręce nie były już do końca sprawne i choć koń stał cierpliwie, to nie mógł się przecież pochylić, by jej pomóc. Nie była już też w stanie wskoczyć na niego i pędzić co siłą, jak kiedyś. A tak bardzo tego teraz potrzebowała.

Jakże żałowała, że nie posłuchała kiedyś swojej prawnuczki i nie wzięła młodej dziewczyny do pomocy. Niechby i była mało zdolna, niechby i nic prawie nie rozumiała. Wystarczyłaby, żeby ją pchnąć z wiadomością choćby i do tego Dominika. Niech sprawdzi, co się dzieje. Czy wszystko z panienką jest w porządku.

Co tam się wydarzyło? – próbowała przebić wzrokiem zasłonę mroku. Tę dosłowną, która ją otaczała, i tę głębszą. Ale nic się nie działo. Chciałaby teraz mieć choć część tej mocy, o którą podejrzewali ją ludzie.

Wsiadła na wóz i nawet to przyszło jej z pewnym trudem. Wzięła lejce do ręki, po czym popędziła konia. Musiała jednak uważać. Ciemność nie ułatwiała powożenia. Zjechała stromą dróżką obok łąki, koła ślizgały się na mokrej trawie, potem przedostała się na kamienistą drogę i klucząc wśród drzew, wyjechała na otwarty teren. Do dworu został jeszcze kawałek.

Antonina ocierała co rusz zroszone potem czoło. Było zimno, ale ją oblewało gorąco. Czegoś nie dopilnowała, gdzieś pokpiła sprawę i to w najważniejszym momencie. Teraz wiedziała to z pewnością, że nie powinna była pozwolić Julianie zostać we dworze. Dziewczyna nie była tam bezpieczna. Mimo że domostwo zamieszkiwała służba, rodzice, to być może nie znajdzie się tam nikt, kto zdoła ją ochronić.

Próbowała ze wszystkich sił przywołać w myślach tego Dominika. Mężczyznę, z którym nie miała żadnego połączenia, nie potrafiła odgadnąć, kim jest, ani określić jego charakteru. Czuła, jak ogarnia ją dojmująca bezradność. Czas płynął.



Tego papierosa Dominik dostał od Walentego dwa tygodnie temu za to, że oporządził za niego stajnię i wywalił kilka tacek gnoju, a potem jeszcze równo rozrzucił na stercie. Okropna robota, wstrętna, śmierdząca. Raz na jakiś czas robiono tu większe porządki i choć teraz, odkąd Dominik i Józek pilnowali, by prace były wykonywane regularnie, było to łatwiejsze, to jednak i tak robota okropna.

Ale Dominik pastwił się nad sobą. Potrzebował znaleźć ujście dla swojej wściekłości i cierpienia. Im bardziej śmierdziało, tym dotkliwiej czuł, w jakim punkcie życia się znalazł. Chciał, żeby to do niego dotarło. Pracował z taką zaciekłością, że aż Walenty gwizdnął, pokiwał głową i uznał po raz pierwszy w życiu, że służbie należy się jakaś nagroda. Podzielił się z przybłądą papierosem.

Dominik schował go do kieszeni, długo nie korzystał. Ale tej nocy usiadł na progu szopy, uchyliwszy lekko drzwi. Wsłuchując się w chrapanie Józka, myślał o swoim nieprawdopodobnym życiu, o tym, jak się zmieniło. Los spełnił jego marzenie. Wyruszył w świat daleko od domu, znalazł miejsce, gdzie nikt nie słyszał o rodzie Podhorskich i nawet miał się ożenić z panną z dworu, która o dziwo naprawdę go chciała.

Znów poczuł napięcie w ciele. Wiedział, że to nie miłość. Pamiętał, jak to było, gdy kochał Emilkę. Wtedy jego ciało wcale nie reagowało. To było coś wyższego, bardzo romantycznego a tu takie dziwne zjawisko. Ciągnęło go w stronę Julianny. A nie miał do tego prawa. Jak on sobie z tym wszystkim poradzi? Co zrobić, żeby zachować się z honorem?

Dopalił papierosa, a potem wtarł resztkę butem w ziemię, nacisnął czapkę na czoło i ruszył na obchód dworu. Wmawiał sam sobie, że chodzi mu po prostu o porządek. Przecież ojciec zawsze

tak zamykał dzień. Sprawdzał każdy zakątek.

Ale przecież nie włączył się po nocy. W gruncie rzeczy Dominika ciągnęło do tej przechadzki coś innego. Stał pod jej oknem i patrzył na światło. Jasne, migotliwe. Wciąż miała zapaloną lampkę. Widać nie spała.

Stał tak dłuższą chwilę, próbując sobie wyobrazić ich wspólne życie. To jednak było bardzo trudne. W końcu westchnął, włożył ręce do kieszeni i wrócił do siebie. Zamknął starannie drzwi szopy, po czym położył się na łóżku. Józek właśnie przewracał się na drugi bok i chrapanie weszło na wyższy ton.



– Nie mogę teraz wyjść – szeptała Julianna. – I bez tego mam ciężką sytuację. Mama się zdenerwuje. Znowu jej zaszkodzi.

– Ale to ważna sprawa – mówiła szybko pokojówka, do której przybiegła opiekunka dzieci Żalczyka. – Córnka kościelnego. Wie panienka, ona właśnie zaczęła rodzić. Nikt nie chce jej pomóc, a są jakieś komplikacje.

– Boże, co za ludzie! – Julianna od razu uwierzyła. Świat potrafi być okrutny i przewrotny. Przecież ta młodziutka niewinna dziewczyna, popadła w kłopoty właśnie dlatego, że starała się żyć tak, jak jej nakazywały zasady i surowy ojciec. Była bardzo naiwna. Dała się oszukać i wykorzystać. A kiedy wyszło to na jaw, wszyscy się od niej odwrócili.

Było wielce prawdopodobne, że leży gdzieś teraz sama, rodząc niechciane dziecko, a wobec tych Julianna nigdy nie umiała przejść obojętnie.

– Dobrze – zgodziła się. – I tak nie spałam, nie mogłam zmrużyć oka.

Pokojówka była naprawdę przejęta. Ona też współczuła biednej Rozalce. Sama spotykała się ze swoim narzeczonym, kusząc los i choć im się jak na razie udawało bez konsekwencji wyrażać swoje uczucia, to jednak potrafiła sobie wyobrazić, co by było, gdyby i ją spotkało coś takiego.

Ciąża.

Wszyscy by się dowiedzieli, brzuch szybko staje się widoczny i nie można go ukryć. Straciłaby pracę, ojciec by się wściekł, matka płakała. A rodzina narzeczonego przestałaby ją poważać. Aż zadrżała na samą myśl.

– Niech panienka biegnie! – zawołała. – Ja tu popilnuję, żeby nikt nie zauważył, że panienki nie ma.

Zdmuchnęły lampę, a potem Julianna swoją stałą drogą przez okno wydostała się na zewnątrz. Sprawnie zeskoczyła na wilgotną trawę, lekko się poślizgnęła, ale szybko złapała równowagę, po czym pobiegła w stronę płotu, gdzie pomiędzy szczebelkami była szczelina.

W tę stronę było najkrócej do miejsca, w którym Rozalka znalazła schronienie. W bardzo biednej chacie starej schorowanej ciotki, która z pewnością teraz nie mogła służyć jej pomocą. Na plecach Julianny obijał się spory worek ze wszystkimi niezbędnymi rzeczami, w tym zapasowymi ubrankami dla noworodka. Szyły je z babcią długimi zimowymi wieczorami przez lata i zawsze jeden komplet był w woreczku, żeby dziecko przebywające na świat do nieprzygotowanych rodziców mogło się jednak odziać.

Przecisnęła się na drugą stronę i już miała zrobić wielki krok, gdy ktoś gwałtownie złapał ją od tyłu, wykręcił ręce, a potem narzucił worek na głowę. Czuła, jak sznur ciasno oplata jej dłonie, a potem została powalona na ziemię.

– Ratuuuu...! – krzyknęła. Więcej nie zdążyła, bo jakaś szeroka łapa zasłoniła jej usta. Szamotała się. Jednak nie miała szans ze związanymi rękami. Walczyła z kimś, kto był dwa razy większy i silniejszy. Zawiązano jej usta, a potem rzucono ją na konia niczym worek zboża. Ktoś wskoczył na siodło i ruszył galopem.

Starła się wytężyć słuch. Czy ktoś we dworze zauważył, co się wydarzyło? Może zaczął się tam jakiś ruch? Ale nawet psy nie zaszczekały. Niestety, sama je nauczyła, by nocą nie robiły rejwachu. Stało się to dopiero po chwili, gdy mijali jakieś inne domy. Jazgot kundli rozlegał się przez moment, by zaraz ucichnąć.

Julianna była przerażona. Nie miała pojęcia, co się stało. Jak się uratować?

Jechali długo. Być może jej porwacz nie chciał ryzykować, że ktoś go zauważy. Omijał główne drogi. Czuła, że jadą po jakichś wertepach. Wreszcie się zatrzymali. Ściągnięto ją z konia,



a następnie na rękach jak pannę młodą przeniesiono przez jakiś próg. Sądząc po zapachu, który słabo czuła przez worek, była to chyba jakaś stodoła.

Ściągnięto jej zasłonę z oczu i zobaczyła najgorszy widok, jaki mogła sobie wyobrazić. Żalczyk. O nie!

Był czerwony na twarzy, wyraźnie wściekły i wzburzony, jak byk, który szykuje się do rozpędu. Kiedyś takiego widziała we dworze. Ojciec był z niego szczególnie dumny. Już go nie mieli. Skręcił sobie kark, bo kiedyś, gnając na oślep w ataku furii, spadł z urwiska. Tu jednak nie było co liczyć na takie rozwiązanie.

Żalczyk stał przed nią na szeroko rozstawionych nogach i nie mogła się nadziwić, jak człowiek może się tak odmienić. Wszyscy mieli go za spokojnego, zrównoważonego mężczyznę, a tu nagle wstąpiły w niego takie złe moce.

Wiedziała, że musi za wszelką cenę zachować spokój. To było teraz najważniejsze. W próbie sił nie miała żadnych szans. Ale słowa i moc ducha były po jej stronie. Nie wierzyła, że ktoś może tak gwałtownie stać się bandytą, skoro jeszcze kilka miesięcy temu po prostu był zwykłym rolnikiem. Zaczęła go więc tak traktować. Jak prostego gospodarza.

Wyprostowała się i wybrała broń, która czasem potrafi pozbawić najsilniejszego nawet mężczyznę jego największego męskiego oręża. Tego, którego tutaj Żalczyk najwyraźniej miał zamiar użyć.

– Cóż to? – powiedziała pogardliwie, spoglądając w stronę jego spodni. – Tylko na taką noc poślubną stać wielkiego pana? – zaczęła się śmiać. – Myślisz, że dla mnie męskie części ciała to coś dziwnego?

Żalczyk spłoszył się wyraźnie.

– Leczę ludzi – mówiła dalej. – Widziałam takich, co na nich drzewo spadło i co nieco im między nogami uszkodziło. Dla mnie to nie dziwne. Ale tu nie spodziewam się wiele. – Bardzo się denerwowała i ogromnie wstydziła, ale udawała. Śmiało spojrzała prosto w jego rozporek. – No pokaz! – zawołała. – Czym się możesz poszczycić. Tak na oko to rozmiar malutki. – Znow zaczęła się drwiąco śmiać. Zaśmiewała się, jakby naprawdę wydarzyło się tutaj coś zabawnego, choć nogi miała jak z waty, a gardło tak ściśnięte strachem, że aż zachrypla.

Mężczyzna cofnął się o krok, a ona podeszła w jego stronę.

– No dalej, do dzieła, wyciągnij to maleństwo! Niech mu się wszyscy przyjrzymy.

Żalczyk poczuł prawdziwy, ogarniający całe ciało popłoch.

Tak, słusznie go oceniła. Cokolwiek w niego wstąpiło, nie była to jego naturalna cecha. W gruncie rzeczy jego prostoduszna natura z trudnością odnajdywała się w roli agresora.

Julianna drżała ze strachu, ale starała się trzymać fason. Nie wiedziała, jak długo jej się uda utrzymać tę grę. Liczyła na to, że czas działa na jej korzyść, że może jednak ktoś dowie się o tym, co się stało. Ile jednak jeszcze wytrzyma? Czy drwina nie straci swojej mocy, jeśli sytuacja będzie się przeciągać?

Najbardziej martwiła się tym, że była tak dobra w swoich ucieczkach. Nikt nigdy jej na tym nie przyłapał albo może, co gorsza, we dworze przyzwyczajono się do tego i służba przestała reagować. Może do rana nikt nie uczyni alarmu, a wtedy na pewno będzie po niej.

Na razie Żalczyk był wyraźnie speszony jej śmiałością oraz uwagami, których się po delikatnej panience absolutnie nie spodziewał. Chyba faktycznie miał chwilowe problemy ze sprzętem, bo znow wycofał się o dwa kroki, a po jego butnej minie nie został nawet ślad. Na ile jej to jednak pomoże, nie wiedziała.

## ROZDZIAŁ 17



Antonina uderzała pięściami w drzwi dworu. Teraz rozszczękały się wszystkie psy. Nawet kogut zaczął pisać, choć noc była głęboka. Ale nikt nie otwierał. Najszybciej wyskoczył z szopy Dominik. Naciągał na siebie kaftan i biegł w tamtą stronę.

– Co się stało? – zawołał.

– Ja się ciebie pytam! – krzyknęła Antonina. – Gdzie Julianna?

– W pokoju – powiedział. – Jeszcze chwilę temu paliło się tam światło.

Antonina zaczęła walić znowu w drzwi.

– Chcę ją zobaczyć! – krzyknęła.

Trochę trwało, zanim pojawiła się pokojówka podejrzanie mało zaspana.

– Gdzie panienka?! – zawołała Antonina i od razu wiedziała, że coś się wydarzyło, bo dziewczyna bardzo się spieszyła. Opuściła głowę.

– Rany boskie! – krzyknął Dominik. – Mów, dziewczyno! – Złapał ją za ramiona i potrząsnął.

– Pojechała do chorej – wyjąkała pokojówka. – Do Rozalki. Rodzi.

– Jak to rodzi?! – krzyknęła Antonina. – To jeszcze nie czas. Wiedziałabym o tym. – A potem zerknęła na Dominika. – Poślij tego swojego towarzysza szybko do Rozalki. Niech mu Walenty powie, gdzie mieszka. Sprawdźcie to, ale ja wiem, że jej tam nie ma.

– To gdzie? – zapytał Podhorski. Zaczynał się bać, że naprawdę stało się coś złego.

– Ciebie się pytam – powtórzyła Antonina. – Myśl! Kto mógł chcieć pod fałszywym pretekstem wywabić panienkę z domu?!

Czasy były niełatwe, złych ludzi nie brakowało, ale jednak w tym przypadku lista była zaskakująco krótka. Takich, co by myśleli o skrzywdzeniu panienki, wielu tu nie widziano.

– Żalczyk... – wyszeptał Dominik i zrobiło mu się zimno z gniewu.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Wiem.

– To bierz konia i jedź! – nakazała.

Dopiero teraz w drzwiach pojawił się Łacki. Ten widać spał głęboko. Drapał się po brodzie i wyraźnie próbował pojąć, co tu się dzieje.

Dominik stanął naprzeciwko Antoniny i w tym momencie prababcia poczuła, że ma prawdziwego partnera. To był pierwszy raz, kiedy słowa czy postawa tego człowieka coś jej powiedziały.

– Walenty niech leci sprawdzać. – Dominik wydał dyspozycję swoim charakterystycznym władczym tonem. – Józek pojedzie ze mną. Idź i przyprowadź, ale biegiem, dwa najlepsze dworskie konie – zwrócił się do przyjaciela, który stał już od dłuższej chwili obok.

– Spokojnie – próbował się wtrącić Łacki. – Julianna śpi. Jest w domu. Przestańcie robić raban po nocy. I tak już za dużo u nas gadają.

Dominik nawet nie zwrócił na niego uwagi. Pobiegł szybko w stronę stajni, skąd Józek zgodnie z jego poleceniem już wyprowadzał dwa najlepsze konie. Walenty pomógł mu, a potem pobiegł w stronę domu, gdzie przebywała teraz Rozalka, córka kościelnego.

Chwilę później na ganek przybiegła wysłana przez Ignacego pokojówka, mówiąc, że pokój panienki jest pusty. Wtedy dopiero Łacki zaczął panikować. Ale Dominik już odjeżdżał.



Gnali z Józkiem znów przez pola, jak za dawnych lat, we dwóch. Józek od początku pobytu tutaj zadomowił się i częściej chodził po okolicy. Nabywał nowe znajomości, podczas kiedy Dominik głównie siedział we dworze zajęty pracą. Przyjaciel był mu więc teraz bardzo pomocny. Jeszcze w Podhorowie znał najlepsze skróty i wcale się to nie zmieniło. Teraz też od razu prowadził do folwarku Żalczyka.

– Myślisz, że zabrał ją do domu?! – zawołał Dominik.

– Nie, ale pewnie gdzieś w obejście. To taki facet, że nie wymyśli nic skomplikowanego.

Jechali pędem, ale gdy zbliżyli się do zabudowań, Józek zatrzymał konia, zeskoczył, złapał

też lejce Dominikowego wierzchowca, a potem cicho zaczęli się zbliżać. Jak na złość psy rozszczękały się natychmiast. Przybiegły do nich trzy kundły i zrobiły nieopisany jazgot.

W tej samej minucie ze sporej stodoły wyszedł Żalczyk.

– Czego tu szukacie?! Wynocha mi stąd! Ale to już! – zawołał. Był wyraźnie wściekły.

– Dobra, ja się z nim zajmę – powiedział Józek. – A ty biegnij jej szukać.



Dominik schował się w mrok i nieco okrężną drogą podbiegł za plecy Żalczyka. Psy, które początkowo wziął za swoich wrogów, okazały się sprzymierzeńcami, bo w hałasie, jaki czyniły, on spokojnie otworzył drzwi i dostał się niezauważony do środka.

Żalczyk wyklócał się z Józkiem. Przyjaciel skutecznie zdołał odwrócić jego uwagę od drzwi stodoły.



Julianna stała na środku pomieszczenia wyraźnie widoczna w świetle niewielkiej lampy naftowej. Trzęsa się i obejmowała ramionami. Była wyprostowana, głowę miała podniesioną wysoko. Ale kiedy zobaczyła Dominika, jej oczy napełniły się łzami, a chwilę potem osunęła się na podłogę.

– Rany boskie! – zawołał mężczyzna, a potem podbiegł do niej szybko i wziął na ręce. Od ruchowo pocałował w czoło, przytulił. To były ogromne emocje. – Nic ci nie zrobił? Całe szczęście! Jakżeś ty się, dziewczyno, uchowała?

Przycisnął ją mocno do piersi, a potem wybiegł. Walczyły w nim dwa potężne pragnienia: natychmiast odstawić Juliannę do dworu bezpieczną, by mogła się nią zaopiekować prababcia, a jednocześnie oddać ją na chwilę Józkowi, a zaraz potem przyłożyć Żalczykowi z całej siły. Tłuc go do utraty tchu.

Jednak pierwsza potrzeba wygrała. Tym bardziej że Józek już podprowadził mu konia, a zaskoczony Żalczyk stał na środku swojego podwórka w wyraźnie żalonym stanie. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, co tak naprawdę zrobił i jakie będą konsekwencje, jeżeli sprawa rozniesie się po okolicy.

To postanowił wykorzystać Dominik. Zatrzymał na chwilę konia i przyciskając Juliannę do piersi, spojrzął z wysokości na Żalczyka.

– Ja nikomu nie powiem – odezwał się. – Józek też nie. Jeśli więc chcesz zachować swój męski honor, też się nie odzywaj. Będziemy udawać, że nic się nie wydarzyło, byleś tylko trzymał się od niej z daleka.

Żalczyk zaczął się trząść. Owszem, było zimno, ale to raczej nie z tego powodu. Dominik ścisnął konia piętami, popędził i równie szybko jak przedtem ruszyli w stronę dworu.

Panował tam spory rejwach. Obudzona gwałtownie służba biegła we wszystkie strony, jakby to mogło pomóc odnaleźć panienkę. Nauczeni markować poszukiwania, działali odruchowo, udając, że bardzo się starają, choć i tak każdy z nich wiedział, że nie ma na to żadnych szans.

W oknach świeciły się światła, czekały psy, nie tylko te należące do Łackich, lecz także okoliczne przybłędy, wykorzystywały okazję do robienia jazgotu i pogłębiania zamieszania.

Dominik zeskoczył z konia.

– Pogaście te światła! – zawołał, a służba od razu wykonała jego polecenie. – I uciszcie psy, do jasnej cholery! Cały świat nie musi wiedzieć, że coś tu się dzieje. Niech służba idzie spać. Wszystko jest w porządku.

Antonina podbiegła do Julianny, tak szybko, jak tylko pozwalały jej siły.

– Już dobrze – uspokoił ją Dominik. – Zaniosę panienkę do domu i tam się nią zajmiecie.

Weszli do dużej jadalni i Dominik położył Juliannę na ławie stojącej pod oknem.

Z krzesła poderwała się pani Łacka. Była bardzo blada. Dominik pomyślał, że ta ciąża faktycznie nie ma szczęścia. Jak to dziecko ma się urodzić zdrowe i spokojne, skoro bez przerwy coś tutaj się dzieje?

Wszyscy patrzyli na niego, jakby tylko on miał wiedzieć, co będzie dalej. Ale był do takiej roli przygotowany. Bycie w centrum uwagi wcale go nie peszyło. Wręcz przeciwnie, czuł się tu na właściwym miejscu.

– Zaprowadźcie panią Łacką do łóżka – powiedział do gospodyni i pokojówki. – Niech odpocznie. Wszystko jest w porządku – powtórzył. – Nic się nie stało. – Spojrzął matce Julianny w oczy. – Nic – dodał. – A ona odetchnęła z ulgą. Uwierzyła mu.

Gospodyni zaprowadziła ją do sypialni, a prababcia szybko ocuciła Juliannę, podtykając jej pod nos jakąś szmatkę nasączoną mocnym aromatem. Dziewczyna usiadła. Spojrzała na Antoninę, potem na Dominika i opuściła głowę. Nadal się trzęsa.

– Chodź – powiedziała prababcia. Objęła ją mocno i skierowała w stronę w sypialni. – Zagotujcie mi wody! – zawołała do pokojówki, która jeszcze się nie położyła.

Reszta służby poszła już do swoich posłań. Józek też ruszył do siebie. Nawet nie wchodził do dworu. Coś takiego nie przyszło mu do głowy.

Jadalnia opustoszała. Dominik został sam z panem Łackim. Chwilę stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Jeszcze moment i Podhorski czuł, że pojawi się między nimi wrogość, rywa-

lizacja. Nie chciał tego. Sytuacja była dostatecznie skomplikowana.

– Dobranoc – powiedział. Potem schylił głowę, jak przystało na osobę ze służby. Wycofał się.

Łącki przyjął jego zachowanie z zaskoczeniem. Wytrąciło mu ono broń z ręki. Zanim zdążył zareagować, było po wszystkim. Żona się położyła, a gospodyni wciąż przy niej siedziała. Córka znajdowała się w swoim pokoju i chwilę później zobaczył, jak pokojówka biegnie, niosąc dzbanek z gorącą wodą. Zapewne będą parzyć jakieś zioła.

Nie był tu potrzebny i to wrażenie mocno go dotknęło. Jakby właśnie coś przegrał, z czegoś się nie wywiązał, albo jakby konsekwencje działań, które podejmował przez wiele, wiele lat, właśnie go teraz dopadły.

Wszystkie jednocześnie.

Stał sam w pustym zimnym pokoju i nie mógł sobie z tym poradzić.

Zawsze mu się udawało. Zaciągał długi i takim czy innym cudownym sposobem je spłacał. A to żona wyskrobała jeszcze biżuterię z posagu, to znów córka podzieliła się swoimi pieniędzmi. Dawniej czasem coś teść rzucił, póki żył. I Łącki wychodził na prostą. Zachowywał twarz.

Słabo gospodarzył, ale ziemie wokół dworu były rozległe. Coś tam się zawsze udało wyhodować. Nikt mu nigdy w twarz nie powiedział, że jest do niczego, że jest słabym ojcem, marnym gospodarzem, zawodzi. I choć teraz też nic takiego się nie wydarzyło, a Dominik nie uchybił mu w żadnym stopniu, to jednak ojciec Julianny czuł, że przegrał i jego pozycja w rodzinie teraz się zmieni.

To nie on będzie oparciem i nie on będzie miał ostatnie zdanie. Nie do niego najbliższe sercu kobiety będą biec po pomoc i radę. Okropne!

Otrząsnął się z tego z trudem i poszedł do żony.

Głupota – pomyślał. – Wciąż przecież jestem tu najważniejszy. Wciąż jestem panem.

Kiedy wszedł do sypialni, żona już spała, nie miał więc okazji sprawdzić jej reakcji, natomiast odniósł wrażenie, że gospodyni jakoś dziwnie na niego spojrzała.

Wydaje mi się – pocieszył się.

Zdjął kubrak, który w pośpiechu na siebie narzucił, po czym położył się obok żony.

Niech to dziecko się wreszcie narodzi – pomyślał, kuląc się z zimna.

Przymknął oczy i wyobrażał sobie, że znów będzie kimś ważnym. Jakże oni tu będą świętować narodziny dziedzica! Zjadą się wszyscy sąsiedzi, będą mu gratulować, ścisnąć ręce. Wyciągnie się z piwnicy najlepsze nalewki, te, które leżakowały od wielu lat, czekając na odpowiednią okazję. Lepszej nie będzie.

Nie zdawał sobie sprawy, że znów próbuje się pod kogoś podpiąć. Zaczerpnąć chwały od innej osoby. Kiedy nie udało się tego zrobić z córką, wydając ją korzystnie za męża, już obciążał swoimi słabościami i planami nienarodzone jeszcze dziecko.

## ROZDZIAŁ 18



Widzisz, jaki on jest? – Julianna czuła, że powieki bardzo jej ciążyą. Prababcia napoiła ją czymś mocnym, ale odpędzała sen. Koniecznie chciała porozmawiać. – Dziwisz się jeszcze, że chcę wyjść za niego za męża?

– Nie. – Antonina pokręciła głową. – To faktycznie prawdziwy mężczyzna, a tacy nie trafiają się często.

– Ale mnie nie kocha – westchnęła Julianna.

Antonina nie wiedziała, co odpowiedzieć. Faktycznie sporo było w tych słowach racji. Patrząc na Dominika, nie czuło się z jego strony tego, co zwykle, kiedy młodzi dążą do ślubu.

– Z takimi kobiety też bywają szczęśliwe – szepnęła tylko. – Ma swój honor, będzie o ciebie dbał. A uczucie może się pojawić z czasem...

– Owszem, ale ty widziałas, że będę żałować i płakać – przerwała jej prawnuczka.

– Nie wiem dlaczego... – powiedziała prababcia Antonina z namysłem. – Mam o to żal do losu. Za swój dar leczenia ludzi, za to, że widzę więcej niż inni, zapłaciłam wysoką cenę i oddałam dużo.

Julianna poczuła, jak sen się oddala. Prababcia rzadko o tym mówiła.

– Mieszkanie w rodzinnym dworze – zaczęła wymieniać – poważanie w środowisku, wygodę, ciepło w zimie, służbę, która przyniesie śniadanie, wypierze suknie, wygodną bryczkę do podróży, odwiedziny sąsiadek, ciepłą kawę zbożową z rana, która robi się sama. Nie musisz wstawać w lodowaty poranek, owijać się chustą, palić w piecu, czekać, aż ogień na dobre się zajmie, iść do studni i naciągać wody, kiedy wiatr wieje z każdej strony i przenika cię do szpiku kości. Potem dźwigać ciężkiego wiadra, nalewać wody do garnka, stawiać na piecu, czekać, aż płyta się zagrzeje, woda zagotuje, zalewać kawę, przynosić mleko z zimnej sieni, gotować je...

Julianna słuchała tego wywodu z zapartym tchem. Wydawało jej się, że tak dobrze zna życie prababci w starej chatce. A jednak to zrobiło na niej wrażenie.

– Zanim zrobi się ciepło w mojej chacie, mija dużo czasu. – Antonina jeszcze nie skończyła. – Tu we dworze jest zawsze przyjemnie, bo służba wstaje bladym świtem, rozpala piec, kominiki, zamiata, sprząta... Ty sobie, dziecko, nawet nie zdajesz sprawy, ile to jest pracy, której każdego dnia nie widzisz, bo ci się wydaje, że rzeczy dzieją się same.

Julianna czuła, jak głos babci znowu ją usypia, ale starała się ze wszystkich sił zachować przytomność.

– I widzisz, ten dar czasem bywa wobec człowieka okrutny – dodała Antonina – bo właśnie teraz, kiedy najbardziej go potrzebuję, kiedy chciałabym pomóc istocie, którą kocham najmocniej na świecie – wzięła Juliannę za rękę – prowadzi mnie na manowce.

Dziewczyna poczuła łzy pod powiekami.

– Nie wiem, może mi się tylko zdawało, może to nieprawda, że będziesz żałować... Pewności nie ma. Tyle razy wiedziałam, naprawdę wiedziałam, a teraz wysilam się i nic. Mam tylko to, co widzę, jak każdy człowiek. Że Dominik jest dobrym człowiekiem. Takim, w którym naprawdę można się zakochać. Może was to uratuje? Może jakoś dacie sobie radę? W każdym razie jeszcze masz szansę się wycofać.

– Ślub nastąpi szybko i nie ma już możliwości, żeby nie był skandalem – powiedziała Julianna. – Czy wyjdę za Szewczyka, czy za Dominika, czy nawet gdybym się ugięła i przyjęła propozycję Żalczyka – to nazwisko wypowiedziała z absolutnym obrzydzeniem – to i tak ludzie będą gadali. Przepadło. Będą gadali, wymyślali swoje teorie, każdy przekonany, że wie najlepiej, chociaż nie wie nic.

– Jak ty sobie poradziłaś? – zapytała Antonina. – Chciał ci zrobić krzywdę?

– Tak. – Julianna kiwnęła głową. – Okropny człowiek, słaby i głupi.

– To nieważne. Powiedz, co zrobiłaś? Przecież jest od ciebie silniejszy.

– Rozbroiłam go pogardą i śmiechem – odparła Julianna. – Nawet nie wiem, skąd to przyszło. Jakim sposobem wiedziałam, jak reagować. Strach mnie paraliżował.

– To nie magia – uśmiechnęła się Antonina. – Po prostu znajomość ludzkiej natury. Masz ją. Jest bardzo cenna.

Juliana zasnęła. Nic już więcej nie usłyszała.

Prababcia przykryła ją starannie, a potem zeszła na dół. Obudziła pokojówkę i kazała napalić w pokoju obok. Pomieszczenie dawno nie było używane. Lata temu spała tu niezamężna ciotka, którą Łącki przyjął z dobrego serca.

Uboga krewna miała tu stokroć lepsze warunki niż prababcia, teoretycznie dziedziczka całego majątku, która oddała wszystko, by służyć ludziom, mieszkać w nędznej chacie, mieć poczucie, że jej życie jest pożyteczne. Czy było warto? To się miało dopiero okazać. Jeśli Julianna przegra, to gorzka pigułka może się okazać niemożliwa do przełknięcia.



## ROZDZIAŁ 19



Łącki obudził się wcześniej rano w lepszej formie. Opuściły go już strachy i wątpliwości z poprzedniego wieczoru.

Nic się przecież nie stało – pomyślał jak zwykle.

Dominik ponoć zadbał, żeby ludzie się nie dowiedzieli o wydarzeniach ostatniej nocy. Takie informacje dostał z samego rana i bardzo go one ucieszyły. Pojawiła się też druga wieść, którą przekazała mu gospodyni. Mianowicie, że prababcia Julianny śpi w pokoju obok. Zażądała kolacji, rozpalenia w piecu i gościny. Nigdy się coś takiego nie zdarzało, ale postanowił tym również się nie przejmować i nie dać sobie wytrącić z rąk tego oręża, jakim była funkcja pana domu.

– Wiesz, że czekają nas ważne wydarzenia, więc pewnie została. To rozsądne – powiedział życzliwym tonem, mocno zaskakując tym gospodynię.

– Naprawdę wydamy panienkę za parobka? – odważyła się zapytać.

– Zrobimy, jak Julianna zdecyduje – odparł i to był chyba jego dobry dzień, bo właśnie wybrzmiała jedna z mądrzejszych wypowiedzi, jaka mu się w życiu zdarzyła. – Przecież i tak nie mamy wyjścia? – zapytał ją.

– Rzeczywiście – przyznała, kiwając głową w zadumie. Panienska raczej podejmowała słuszne decyzje, ale ta była doprawdy szalona. – Nie ma sensu udawać, że jest inaczej – zakończyła jednak swoją myśl.

– Bądźcie w gotowości. Niebawem wydamy uroczysty obiad, ale tylko dla najbliższej rodziny, nikogo nie zapraszamy, przedstawienia nie będzie. I tak już wszyscy mają z nas nieustający temat do gadania.

Gospodyni kiwnęła głową, po czym odeszła w stronę kuchni.

Łącki się wyprostował. Znów poczuł, że wszystko zależy od niego. On to urzęduje, decyduje i rozdaje karty. Tak mu się przynajmniej wydawało.



Antonina słyszała tę rozmowę przez uchylone drzwi pokoju.

Do ślubu jednak daleko – pomyślała zaskoczona. Spodziewała się szybszych decyzji.

Doszła do wniosku, że mimo wszystko tak długo nie wytrzyma pod jednym dachem z ojcem Julianny, a już nie na pewno nie usiądzie z nim do wspólnego stołu.

Zadzwoiła po pokojówkę, zadysponowała śniadanie i prowiant na drogę. Uznała, że ma do tego prawo. Przekazała na dwór więcej pieniędzy, niż Łącki zdołał zgromadzić w ciągu całego swojego życia. Posiliła się więc spokojnie, a potem ubrała i ruszyła do domu. Kazała przekazać Julianie, że jeśli do ślubu dojdzie, to na pewno przyjedzie.

Dziewczyna jeszcze spała. Po części było to spowodowane mocnymi ziołami, jakimi wczoraj została napojona, ale może też trochę bała się budzić. Dziś nieuchronnie musieli z Dominikiem zdecydować, co dalej.

## ROZDZIAŁ 20



Antonina jechała powoli. Teraz już się nie spieszyła. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane i była sobie wdzięczna, że wykazała się dostateczną czujnością. Uratowała prawnuczkę, nie miała co do tego wątpliwości.

Tak to było właśnie z tą intuicją. Czasem na nią psioczyła, ale bywały momenty, gdy nie zamieniłaby się na żadne inne życie. Których chwil miała więcej?

Na to pytanie chciała znaleźć odpowiedź, żeby móc przekazać ją Juliannie. To mogłoby się okazać pomocne, gdyby prawnuczka wiedziała, czy warto wszystko rzucić dla takiego życia. Skłaniała się ku odpowiedzi, że tak.

Wolność to coś, czego się nie da zastąpić niczym innym. Pasja, robienie przez całe życie tego, co się naprawdę kocha. Ale Antonina bała się o tym powiedzieć głośno.

Koń wjechał właśnie do lasu i ostrożnie stawiał kopyta na wilgotnych kamieniach. Lubiała tę drogę i miejsce, w którym mieszkała, co nie oznaczało, że nadawało się ono, by założyć tam rodzinę. Nie byłoby nawet gdzie postawić małżeńskiego łóżka.

Kiedy wyjechała z lasu, zdumiała się bardzo, zobaczywszy swoją prawnuczkę i Dominika stojących na środku łąki.

Przetarła nawet oczy, nie mogła się przed tym gestem powstrzymać. To musiała być jakaś senna mara, może projekcja przyszłości. Jednak nie!

Koń podjeżdżał pod górę, a sylwetki dwojga młodych nie rozmazywały się, lecz stawały coraz wyraźniejsze. Julianna w swetrze zrobionym przez Antoninę na szydełku, a obok ten postawny mężczyzna. Z daleka wyglądał jak szlachcic, rzeczywiście prezentował się świetnie. Jaka to szkoda, że miał takie marne pochodzenie.

Julianna twierdziła, że może z nim rozmawiać o wszystkim, ale taka przepaść w urodzeniu często jednak daje się potem we znaki, kiedy okazuje się, że ludzi dzieli zbyt wiele. Antonina zdecydowanie była zwolenniczką dobierania się w pary zgodnie z podobieństwami. Wiedziała, że choć na początku przeciwieństwa wydają się fascynujące, to jednak z czasem przysparzają wiele cierpienia.

Zatrzymała konia tuż koło domu, a potem zaprowadziła go do niewielkiej szopy, w której mieszkał. Odstawiła wóz i ze zdumieniem zauważyła, że młodzi nawet się nie poruszyli. Stoją dalej i rozmawiają.

Weszła do środka, do swojej chatki, żeby napalić i zagrzać wody na herbatę.

Zmarzną, to przyjdą – pomyślała. Przez niewielkie okienko spoglądała ciągle w ich stronę. Żywo o czymś rozmawiali. Dominik rozkładał ręce, coś pokazywał. Stali w najwyższym punkcie łąki, tam, gdzie ona czasem w lecie robiła sobie przerwę i patrzyła na góry. Z tego miejsca był najpiękniejszy widok.



– Widok faktycznie najlepszy, ale trochę tu wysoko – powiedziała Julianna. – Jakże zrobisz drogę?

– Powoli – odparł Dominik. – Trzeba będzie ją prowadzić łagodniejszymi zakrętami, jak wstęgę, żeby każdy mógł dojechać. Wyciągnąć z rzeki, a także z łąki wiele kamieni, równo ułożyć, dosypać drobnego żwirku i będziesz miała piękną drogę. Obsadzimy ją lipami albo klonami, jak wolisz.

– Ja bym chciała brzozy – odpowiedziała Julianna po chwili namysłu. – A lipę przed domem. Brzozy są takie wdzięczne i dają ludziom zdrowie, jak mówi prababcia. Warto pomiędzy nimi chodzić, a poza tym wiosną możesz ściągać sok.

– Oczywiście. – Dominik nie pomyślał o tym, ale zgodził się. W takich kwestiach w jego domu rodzinnym o wszystkim decydowała matka i rodzina dobrze na tym wychodziła, postanowił więc wziąć z niej przykład i dać Juliannie wybór.

– Dwór będzie ogromny – rozpędziła się dziewczyna i zatoczyła dłonią szerokie koło. – Kilka izb, wielkie fundamenty.

– Właśnie o to chciałem cię zapytać – powiedział Dominik poważnym tonem. – Zanim wró-

cimy na dół i ojciec zada ci pytanie, czy się nie rozmyśliłaś.

Spojrzał na nią, jakby chciał sprawdzić, czy taka opcja wchodzi w grę. Ale nie dała po sobie nic poznać. Uśmiechnęła się tylko.

– Chciałbym, żeby ten dwór był mniejszy – powiedział. – Nie dlatego, że boję się pracy czy nie mamy pieniędzy. Jeśli dałabyś mi czas, zbudowałbym dla ciebie największy dwór w okolicy. Chciałbym jednak, żeby nasz dom nie był ogromny. A jeśli będziemy mieć cokolwiek, to raczej schowane, żebyśmy tak bardzo nie rzucali się w oczy.

– Dlaczego? – zapytała. – Wstydzisz się, że coś potrafisz?

Dominik spojrzał daleko, ponad korony drzew. Domyśliła się, że myśli o swoich stronach, skąd przybył.

– Nie – odparł – ale boję. Jedyne, czego się boję, to złych ludzi, którzy mogą ci zabrać wszystko, co masz, w jednej chwili. To nie jest wolny, bezpieczny kraj. Może się zdarzyć, że nikt cię nie obroni. Jeśli kiedyś inne pokolenia dożyją niepodległości, będą mogły inaczej gospodarować. Ja nie chcę.

– Rozumiem – powiedziała powoli Julianna. – W ten sposób straciłeś swój dom?

– Tak. – Kiwnął głową. – Nie gniewaj się, że jeszcze nie potrafię ci o wszystkim opowiedzieć. Kiedyś to zrobię. Teraz muszę tylko wiedzieć, czy się na to zgadzasz. Prawda jest taka, że załugujesz na wszystko, co najlepsze. Nie tylko z racji urodzenia, ale przede wszystkim tego, kim jesteś.

Spojrzał na nią ciepło. Tak lubiła. Wreszcie na nią patrzył, mówił do niej i to całkiem sporo. Nic się nie zmieniało, wciąż cieszyła ją każda chwila w jego towarzystwie.

– Zgadzam się – powiedziała. Nie miało to dla niej znaczenia, jak wielki będzie dom, jeśli tylko mogli mieszkać w nim razem. – Byle tu było szczęście. I trochę miejsca – dodała nieco zmieszana – na wypadek gdyby urodziły się dzieci.

Pamiętała ciągle o tym, co powiedziała jej prababcia, że będą mieli dużo dzieci. Można było wnioskować, że te słowa okażą się prorocze. Przynajmniej jeśli o nią chodziło, bo Dominik na razie trzymał większy dystans. Liczyła jednak, że to się zmieni.

– Tak. – Kiwnął głową. – O to też zadbamy.

Uśmiechnęła się.

– Ale jak ty sobie to wyobrażasz? – zapytała. – Czy jest w ogóle szansa, że nam się uda?

– Nie jest wcale tak źle – odparł z energią. – Twoja prababcia to skarb. Wszystko sprawdziłem, policzyłem. Walenty pokazał mi, dokąd sięga jej las, choć przysięgam, wcale go o to nie pytałem. Ale skoro już wiem, to nie zaszkodziło sprawdzić, co i jak. Kamieni tam mnóstwo, trzeba tylko wykopać i nosić. Będzie na fundamenty, resztę się z rzeki doniesie. Drzew też pod dostatkiem. Można je ściąć, sprzedać i wymienić na suche deski. Józek zna się na robocie, ja również.

– Całkiem bez pieniędzy się nie obejdzie – martwiła się Julianna.

– To prawda, ale drewno ma teraz dobrą cenę, tobie coś ludzie zawsze przyniosą za leczenie, czy to jajka, czy mleko. Ja się tego wcale nie boję. Zobaczysz, że powstanie tu dom.

Julianna też tak czuła. Przysunęła się do niego odrobinę bliżej, tak że ich dłonie zetknęły się ze sobą. Ten człowiek dużo potrafił i tak ją bardzo pociągał. Miał też dobre serce, to było widać. I choć w pewien sposób został w to małżeństwo wmanewrowany, to jednak wyraźnie miał szczyry zamiar jak najlepiej wywiązać się ze swojej roli.

Dlaczego więc – a nie wątpiła, że wizja babci jest prawdziwa – miałyby kiedyś żałować, że za niego wyszła? Naprawdę nie miała pojęcia.

## ROZDZIAŁ 21



Wrócili do dworu razem. Dominik był teraz trochę milczący, pograżony we własnych myślach. Julianna nie przerywała mu tej zadumy. Kiedy dotarli przed bramę, wciąż byli blisko, ramię w ramię, krok w krok.

Ale tuż przed wejściem do dworu Dominik pożegnał się z nią, nagle skręcił i skierował się w stronę szopy, w której spał. To było takie dziwne. Bardzo symboliczne.

Nie zdążył jednak dalej odejść, ponieważ w tej samej chwili w okno zapukał Ignacy Łącki, znowu o coś wściekły. Ostatnio był to u niego normalny stan.

– Chodźcie tutaj! – zawołał. – Ksiądz proboszcz już czeka.

Julianna się przeraziła. Odruchowo ścisnęła Dominika za dłoń, jakby szukała u niego oparcia. To było przyjemne. Miała taką miłą, miękką rękę. Uśmiechnęła się do niej, żeby jej dodać otuchy. Nie musieli przecież bać się Łackiego. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Co jeszcze gorszego mogło się wydarzyć?

Weszli do środka, trzymając się za ręce. Rodzinie wyraźnie się to nie spodobało.

Pozory są najważniejsze – pomyślał Dominik. – Wydadzą pannę za parobka, żeby uniknąć skandalu, ale żeby miała być w tym związku szczęśliwa i pokazywać, że tak jest, co to, to nie.

Zaczynał być na nich zły, i to bardzo.

– Miejsmy to z głowy – powiedział szorstko Łącki, a jego żona zaczęła płakać. Ksiądz stanął z przodu i do młodych dotarło, że ma się tutaj odbyć pospieszna uroczystość zaślubin. Najwyraźniej „niebawem” dla Łackiego miało inny wymiar niż dla prababci Antoniny, która to usłyszała raniem. O wiele szybszy.

Pani Łacka płakała coraz głośniej.

Tak. Na pewno wszyscy inaczej to sobie wyobrażali.

Dominik poprawił swój kubrak, spojrzął na Juliannę. Miała na sobie zwykłą codzienną sukienkę, ciepły sweter, zaczesane w warkocz włosy potargane przez wiatr, który szalał na łące, kiedy rozmawiali. On sam stał przed Łackim w pobrudzonych spodniach i poszarzałej od ciągłej pracy koszuli. Byle jaki.

Wróciło mocne wspomnienie.

Przypomniał mu się tamten moment, kiedy w jego rodzinnym domu wydawano za mąż najstarszego syna. Przygotowania trwały miesiącami. Udekorowano dom, napieczono ciast, mięsiv, bramę zdobiła przepiękna dekoracja z kwiatów wyhodowanych przez mamę. Odświętne stroje wyprasowano. Każdy, nawet parobek, miał tego dnia swoje świąteczne ubranie.

Wypucowano stajnię, posprzątano stodoły, skoszono trawę wokół dworu. Tamtej wiosny matka szczególnie starannie sadziła kwiaty na wszystkich klombach. Przygotowała się do tej chwili od lat. Zwoziła od znajomych zaszczepki, nasiona nowych roślin.

Właściwie nie było takiej sprawy, która w roku wesela nie byłaby przygotowana ze szczególną starannością. Ślub syna był ważny, bo kochano Franciszka i szanowano jako syna.

A tutaj po prostu tak weszli z drogi, zmachani, zaczerwienieni od wiatru, w codziennych ubraniach i mieli wziąć ślub, stojąc na środku jadalni. Jak uciekinierzy albo przestępcy.

Spojrzał na Juliannę. Miała być jego żoną, choć prawie wcale jej nie znał. Na pewno nie kochał. Ale jedno wiedział z całą pewnością – nie zasługiwała na bylejakość.

Obudziła się w nim krew przodków. Żona Dominika Podhorskiego będzie miała inne wspomnienia ze ślubu – postanowił, spoglądając tak śmiało księdzu w oczy, że ten aż się speszył.

Jeszcze raz popatrzył na Juliannę. Miała miłą twarz, piękne oczy i mnóstwo w sobie łagodności, dobroci. Wiedział, że lubi się śmiać, ale teraz była smutna. Prawdziwy mężczyzna zawsze chroni rodzinę, którą się opiekuje, to zostało mu wpojone.

Wyprostował się.

– Teraz żadnego ślubu nie będzie – powiedział stanowczo.

– Jak to? – przeraził się Łącki.

Jeśli dojdzie do tego, że nawet parobek da Juliannie kosza, to naprawdę już się z tego nie podźwigną – pomyślała Anna z przerażeniem, nie przestając płakać. Złapała męża za rękę, ale on też nie wiedział, jak zareagować.

– Nie godzi się, żeby panienka z dworu miała taki dzień ślubu – mówił dalej Dominik.

– Zapomnij o jakimś większym weselu! – zdenerwował się Łącki. – Nie będę robił przedstawienia, żeby się wszyscy ze mnie śmiali. – Bezcelność tego parobka pozbawiała go tchu. Jakim prawem ten młokos tak się do niego odzywał?!

– Wcale nie to mam na myśli – powiedział spokojnie Dominik. Jego opanowanie wyprowadzało Ignacego z równowagi. – Ślub odbędzie się za dwa tygodnie – zwrócił się do księdza. – W niedzielę, w kaplicy, godnie. Żadne z nas nie zasłużyło na to, byśmy mieli opuszczać głowy i ukradkiem sobie przysięgać. Może być bez gości... – dodał szybko, bo Łącki już zaczerpnął powietrza, by coś powiedzieć. – Ci najbardziej wpływowi i tak nie będą się z nami przyjaźnić, więc to bez znaczenia. Ale przecież Julianna z całą pewnością ma przyjaciół i życzliwych ludzi. Oni niech przyjdą. Upieczcie ciasta, udekorujcie dom i dajcie Juliannie ładną sukienkę, na jaką sobie zasłużyła. Za dwa tygodnie w niedzielę – dodał. – Zgadzasz się? – zapytał tylko ją. Na Łackiego nawet nie popatrzył.

A ona kiwnęła głową. Tak, to było zdecydowanie lepsze rozwiązanie. Czuła się okropnie nieprzygotowana pod każdym względem. Nie tylko tym zewnętrznym – w przemoczonych od rosy butach i potarganych włosach – ale przede wszystkim gdzieś w środku. Jeszcze to do niej nie dotarło. Ten czas oddechu bardzo by jej się przydał.

– Dzisiaj też pojedziemy na łąkę, zacznę kopać rowy pod fundamenty – mówił dalej Dominik, wywołując kolejny szok. – Jeśli ktoś zechce nam pomóc, będzie miło, jeśli nie, zrobię to sam. Mam tylko jedną prośbę – tu spojrzął na Łackiego – zamiast posagu – dodał nieco zaczepnie, a ojciec Julianny aż poczerwieniał. – Żeby Józek mógł pracować ze mną.

– No tak! – oburzył się Łącki. – Ja mam stracić swojego najlepszego parobka!

Żona uciszyła go, ściskając mu dłoń.

– Przestań, proszę – powiedziała. Otarła szybko łzy. Wstała, trzymając się za brzuch. Była wdzięczna Dominikowi, że zatrzymał to szaleństwo. Naprawdę nie godziło się w ten sposób wydać córki za męża. I chyba wszyscy to dobrze rozumieli.

Ojciec Julianny się zmiętył, bo nawet proboszcz patrzył na niego z potępieniem. Kiwnął głową, zaciskając zęby.

– Zgoda – powiedział po chwili.

Pani Łacka szybko zaprosiła księdza na kawę i próbowała udobruchać pysznymi drożdżowymi bułeczkami. Łącki natychmiast wyszedł, zapewne przewietrzyć rozpaloną znowu głowę. Dominik puścił dłoń Julianny, a ona poczuła, jak ręka staje się dotkliwie zimna, jak już jej brakuje tego dotyku, choć minęła dopiero chwila.

– Może się poczęstujesz? – zwróciła się do niego pani domu. Czuła się nieco niezręcznie, jakby nie do końca wiedziała, jak go teraz traktować.

– Dziękuję – odpowiedział i uśmiechnął się do niej. – Doceniam, ale mam mało czasu. Muszę się brać do roboty.

– Jak zawsze – odparła Anna. – To bardzo pracowity człowiek – zwróciła się do księdza. Chyba chciała jakoś ocieplić jego wizerunek.

Duchowny spojrzął niepewnie na parobka. Niewiele rozumiał z tego, co się tutaj działo.

– Biorę łopaty, Józka i idę – powiedział Podhorski. – Mamy dużo pracy.

Chciał po prostu jak najszybciej wyjść i zająć się działaniem. Dziwnie tak było stać na środku tej dużej jadalni i czuć na sobie spojrzenia wszystkich. Jedna pokojówka przyniosła właśnie herbatę, ale czuł, że większość podsłuchuje poukrywana w różnych zakamarkach przepastnego starożytnego dworu.

Ale obudził się w nim duch przekory. Sam nie wiedział dlaczego.

– Wrócę wieczorem – powiedział do Julianny. Spojrzął na nią ciepło, jakby naprawdę starał się o jej rękę, a nie uczestniczył w jakimś szalonym zbiegu okoliczności. A potem pocałował ją jej dłoń.

Dopiero wtedy się odwrócił.

## ROZDZIAŁ 22



Dominik wyszedł, a Julianna zrobiła kilka kroków i przytuliła swoją mamę. Jej też przecież musiało być ciężko. Doceniała to, że Anna wreszcie odważyła się na drobny choćby sprzeciw wobec męża. Zaprosiła parobka do stołu, pochwaliła przed księdzem. To ją musiało sporo kosztować. Całe życie była tylko żoną, dodatkiem. Kimś w pełni zależnym od woli męża. Nikt jej nie nauczył, jak wyrażać własne zdanie.

To nie jest dobre – pomyślała Julianna ze współczuciem, obiecując sobie, że ona te sprawy poukłada inaczej. Ale miała świadomość, że to może nie być łatwe. Już wiedziała, jak to jest, kiedy jedna strona kocha bardziej.

Westchnęła. Trochę się bała. Ale za nic by nie zrezygnowała z tej szansy. Chciała wyjść za mąż za Dominika.

Ksiądz zjadł bułeczkę, po czym pożegnał się pospiesznie, wymawiając pilnymi obowiązkami. Zostały same.

– Dam ci naszyjnik po mojej mamie – powiedziała pani Łącka i objęła córkę. – Ostatni, o którym ojciec nie wie. Zachowałam go specjalnie na tę okazję. Jeśli urodzi się dziewczynka – wypowiedziała te słowa po raz pierwszy w życiu – a ja nie dożyję jej wesela, to jej przekażesz tę rodzinną pamiątkę.

Julianna zadrżała. Zrozumiała, jak bardzo mama musi się martwić i jak niestety dobrze zdaje sobie sprawę z trudnej rodzinnej sytuacji.

– Dobrze. Nie martw się – powiedziała szybko i uśmiechnęła się dzielnie. – O wszystko zadbamy.

– Jeśli nie przeżyję porodu, zaopiekujesz się tym maleństwem? – zapytała drżącym głosem.

– Boże, mamó! – Julianna objęła ją jeszcze mocniej. – Nie mów tak, proszę.

– Wiesz, że nie jestem już młoda i zdrowsze ode mnie wykrwawiają się na śmierć.

– Zadbam o to, żeby prababcia była przy tobie – zawołała Julianna. – Starsze od ciebie ratowała. Poza tym mam silne przecucie, że tak się nie stanie.

– Wy i te wasze przecucia. Dlaczego nie jesteśmy najpotężniejszą rodziną w okolicy, skoro mamy taką tajną broń?

– Bo ojciec prababci nie słucha – odparła szybko Julianna. – I tyle.

Wypowiedziała to pewnym tonem, ale jej serce ścisnął strach. Miała nadzieję, że w tym przypadku dar prababci jednak na coś się przyda. Okaże skuteczny. Nie będzie znowu tej okropnej zasady, że można pomóc każdemu, tylko nie sobie.

Spokojnie – pomyślała stanowczo. – Tylko spokojnie. Panika nie pomaga.

– Myślisz, że Dominik będzie jej słuchał? – zapytała pani Łącka. – Co my w ogóle o nim wiemy?

– To się okaże – odparła Julianna powoli. – A wiemy tyle, ile trzeba. Niektórych kandydatów miałam okazję poznać bliżej i nic dobrego z tego nie wynikło – dodała gorzko. Rzeczywiście nikt się nie spodziewał, że Żalczyk może być zdolny do takich czynów.

Mama zauważyła, że córce zrobiło się przykro. Spróbowała szybko zmienić temat,

– On ci się naprawdę podoba. – Pani Łącka uśmiechnęła się. Miała podkrążone oczy i nie wyglądała dziś dobrze, ale ten uśmiech rozpromienił jej twarz. – Kto wie, może ty go rzeczywiście pokochasz?

– Jest na to szansa – przyznała Julianna, a mama uścisnęła ją za rękę.

– To dobrze, kochanie. To by było naprawdę wspaniale. Miłość trochę znieczula życiowe trudności.

Julianna wyobraziła sobie to uczucie. I absolutnie nie myślała teraz o jakichś znieczuleniach. Całkiem pochłonęły ją emocje. Jak to będzie pięknie budzić się codziennie obok niego. Zasy-pać. Przytulać, spędzać czas. Mieć go tylko dla siebie...

– Dobry miał pomysł ten parobek, znaczy ten Dominik – poprawiła się szybko pani Łącka – żeby przełożyć ślub, trochę poczekać. To by naprawdę było niegodne i zawsze by nam gdzieś leżało na sercu, żeśmy tak byle jak wydali córkę za mąż.

Julianna kiwnęła głową, z trudem wracając do rzeczywistości ze świata, w którym już była

żoną Dominika i wszystko świetnie się tam układało.

– Nie jesteśmy przecież aż tacy biedni – mówiła dalej pani Łącka. – Zadysonuję ciasta – ożywiła się nagle. – Nasz weselny keks z bakaliami, drożdżowe z serem, makowiec, strucle z jabłkami. Tak pięknie w tym roku obrodziły jabłonie. Niech będzie godnie. I trzeba bramę przygotować – rozpędzała się. – Kwiatów nie ma już dużo, zostały jeszcze marcinki, za to bardzo obfite. I róże. Sama się tak dziwiłam, że coraz zimniej, noce krótkie, a one nadal kwitną. Jakby na ciebie czekały.

Julianna się uśmiechnęła.

– Tak. I tam z prawej strony domu są czerwone – powiedziała Julianna. – Pięknie pachną. Będą mi się już zawsze kojarzyć ze ślubem.

– Na wiosnę dam ci tę sadzonkę – obiecała Anna. – Posadzisz u siebie.

– Na wiosnę to ja pewnie jeszcze nie będę miała gdzie, ale kiedyś chętnie wezmę – odparła Julianna.

– Mamy dwa tygodnie. – Pani Anna zaczynała czuć przyjemność ślubnych planów i coraz większą wdzięczność względem Dominika, że zareagował przytomnie, stanowczo i nie pozwolił im tego odebrać. – Uszyję ci sukienkę – mówiła radośnie. – Już dzisiaj pošlę gospodynię do miasta po materiał. Niech jedzie i coś wybierze. Najlepiej razem to zróbcie – zaproponowała. – Sama nie możesz absolutnie pokazać się już nigdzie, za dużo tego ludzkiego gadania. W tym jednym przyznaję ojcu rację.

– Dobrze – powiedziała Julianna. Pomysł jej się spodobał. – Dajcie mi tylko godzinę, muszę gdzieś pobiec.

– Do niej? Do Antoniny? – od razu domyśliła się mama.

– Tak, trzeba jej o wszystkim powiedzieć. Zapadły nowe decyzje. A jeśli na mój ślub mam zaprosić przyjaciół, no to ona jest na pierwszym miejscu.

– Nie jest to takie złe – odezwała się nagle pani Łącka. – Ja na swoim weselu miałam mnóstwo ciotek, których nie znosiłam, sąsiadek, które przyszły tylko po to, żeby nas obgadać, i jakichś dziwnych ludzi, których w ogóle nie znałam. Zaproszono ich tylko dlatego, że tak wypadało. Cieszyłam się, że jest tylu ludzi, ale teraz sobie myślę, że byłabym szczęśliwsza, gdyby towarzyszyli mi tylko ci bliscy, życzliwi.

– Widać wszystko, nawet skandal, może wyjść człowiekowi na dobre – uśmiechnęła się Julianna, a potem pożegnała z mamą i szybko pobiegła swoją stałą trasą przez las.

## ROZDZIAŁ 23



Jakże się zdziwiła, gdy wpadając do chatki, zobaczyła gospodynię Żalczyka siedzącą z prababcią przy stole, pochylonych ku sobie jak najbliższe przyjaciółki i pograżonych w rozmowie.

– Ja już pójdę. – Kobieta zerwała się na widok Julianny i od razu wyszła.

– Co tu się dzieje? – Dziewczyna spojrzała na prababcię z wyrzutem. – Wiesz, co się wydarzyło. Dlaczego z nią rozmawiasz?!

– Człowiekowi trzeba pomóc – powiedziała spokojnie Antonina. Wzięła stojące na stole kubki i podeszła pod okno, gdzie stała miska. Umyła je, wypłukała w drugiej misce, wytarła, po czym odłożyła do drewnianego kredensu. – Pomogłabyś mi upiec jakieś kruche ciastka albo bułki? – zapytała. – Bo często tu mam ostatnio gości, a nie ma czego wyciągnąć z szafki. Takie czasy nastąpiły. Nie starcza mi już sił, żeby się wszystkim zająć – pożałowała się.

– Dobrze – zgodziła się Julianna. – Daj mi jakiś szybki przepis. Nie mam dużo czasu, bo jadę dzisiaj do miasta wybrać materiał na sukienkę. Mama mi uszyje.

– O! – ucieszyła się Antonina. – To z całą pewnością będzie ładna rzecz. Anna ma dar w palcach. Cieszę się – powiedziała. – Ale czekaj, czekaj, ja też coś tu mam. Możesz przyjść za chwilę? – zapytała, a potem się zreflektowała. – No dobra, skoro będziesz tu mieszkać, to właściwie mogę pokazać ci wszystko.

Przyłożyła dłonie do ciężkiej komody stojącej przy ścianie, według Julianny nieruszanej od dziesięcioleci.

– Co ty robisz? – przestraszyła się dziewczyna. – Przecież to jest bardzo ciężkie! Złamiesz sobie kręgosłup!

Ale babcia pchnęła mebel, jakby był zupełnie leciutki.

– To taki podstęp – wyjaśniła. – Tylko drzwiczki są grube, a reszta z cieniutkich deseczek. Poza tym pod spodem są kółeczka.

Faktycznie z tyłu, zasłonięte przez listewki, znajdowały się drewniane kółka, dzięki temu komoda z lekkością przesuwała się na całej długości ściany. Pod nią ukryte były drzwi.

– No tak, zawsze się zastanawiałam, gdzie ty właściwie trzymasz te wszystkie buteleczki, syropy, nalewki, dzemy. Tyle tego produkujesz, a potem wszystko gdzieś znika.

– To właśnie tutaj – odparła Antonina. – To mój drugi dom. Chodź.

Zapaliła lampę, wzięła ją do ręki, a potem podniosła klapę ukrytego wejścia i zaprosiła Juliannę, by kierowała się za nią. Po drewnianych schodach można było dojść do szerokich piwnic. Były przynajmniej trzy razy większe niż chatka na górze. Wszędzie w środku znajdowały się lampy, zapas nafty, a w jednym miejscu nawet okienko i Julianna domyśliła się, że znajduje się ono w stercie kamieni, kawałek za domem, ukryte przed ludzkim okiem.

Kto wie, ile jeszcze prababcia miała takich tajemnic.

– W ogóle to nie czuć wilgoci – powiedziała Julianna.

– A bo to dobry fachowiec zrobił. Mamy lufciki i jest to zrobione na takiej wysokości, że zatrzymuje ciepło, a latem mamy tutaj chłód. Ale ja nie o tym. – Otworzyła jedną ze skrzyń i wyciągnęła szary woreczek, a z niego złotą koronkę.

– Skąd masz takie cudo? – zachwyciła się Julianna.

– Dostałam kiedyś bardzo dawno temu od pewnego dziedzica, któremu dzięki mnie bezpiecznie urodziło się dziecko, a starali się ze dwanaście lat. To był bardzo radosny moment, więc prezent ma w sobie dobrą energię. To cenna francuska koronka i właściwie od samego początku trzymałam ją na tę właśnie okazję. Na twój ślub.

Julianna dotknęła palcem pięknego materiału.

– Weź – powiedziała Antonina. – Twoja mama będzie wiedziała, co z nią zrobić. Ma dobry gust i sprawne dłonie, będziesz wyglądać pięknie – uśmiechnęła się z radością. Całej rodzinie wyraźnie zaczynał się udzielać ten nastrój. – Koronkę na welon to już sama musisz sobie kupić, bo takiej nie mam, ale coś tu jeszcze wygrzebię – mruzczała, pochylając się nad skrzynią. – O proszę, jest. – Wyciągnęła kolejny woreczek o nieco półkolistym kształcie, a z niego opaskę. – To nie są żadne diamenty ani nawet perły, po prostu zwykłe srebro, ale jeśli je doczyścisz, to ozdoby



kwiatowe są piękne. Brałam w niej ślub. Chciałam dać mojej córce, ale się nie zgodziła. Już wtedy ludzie gadali o mnie różne rzeczy i dziecko się wstydziło.

– Ja będę nosić ją z dumą. – Julianna wyciągnęła dłoń. – Tak się cieszę, że mam ciebie i Dominika. Jakże by mi było gorzko tak iść za niego za męża, tak jak planował ojciec. Jakbym nie miała domu, rodziny albo zrobiła coś strasznie złego. Dominik ma rację. To nie my powinniśmy się wstydzić.

– Cieszę się, że tak myślisz. Na tym świecie jest tak dużo mężczyzn bez charakteru, kręgosłupa, w ogóle noszą miano mężczyzny bardzo na wyrost. Wcale na niego nie zasługują. To wspólnie, że tobie trafił się inny egzemplarz.

Julianna chodziła po poszczególnych pomieszczeniach w piwnicy wypełnionych głównie półeczkami uginającymi się od lekarstw i różnego rodzaju specyfików.

– Będziesz mi musiała o tym wszystkim opowiedzieć. – Rozglądała się wokół z fascynacją. – Ale zanim to się stanie, nie myśl, że zapomniałam. – Zatrzymała się nagle. – Dlaczego rozmawiasz z gospodynią Żalczyka? – zapytała.

– Człowiekowi trzeba pomóc – powtórzyła prababcia Antonina. – Jemu też. Nie jest całkiem zły. Może trochę głupi i nigdy jeszcze tak nim namiętność nie miotła we wszystkie możliwe strony, zgubił się.

– I co?! – oburzyła się Julianna. – Teraz wy będziecie mu pomagać? Po tym, co chciał mi zrobić?

– Owszem, po to przyszła do mnie jego gospodyni. – Antonina patrzyła na nią ze spokojem. – Ja kocham ciebie, a ona jego, choć nie łączą ich więzy krwi. Ale przecież go wychowała od maleńkości.

– Odprawicie nad nim jakieś czary? – zapytała Julianna. Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– A wy ciągle tylko o tym! – Antonina miała ochotę złapać się za głowę. – Ludzie uwielbiają łatwe rozwiązania. Nie – zaprotestowała. – Po prostu go dobrze ożenimy. Tego mu teraz trzeba.

– Jak możesz tak mówić? – Julianna poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić, a oburzenie rośnie. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. – Wpakujesz jakąś biedną dziewczynę w takie bagno?! To okropny człowiek!

– To zwykły mężczyzna. – Antonina nie traciła swojego spokoju. – Poblądził, owszem, ale uspokoi się, jeśli ktoś będzie o niego dbał. Znaleźliśmy mu odpowiednią pannę. Silną, młodą, nie martw się, ona też się ucieszy. Za długo już czeka na swoją szansę i przeszła gorsze rzeczy niż ty, jeśli chodzi o ludzkie gadanie. Przywita to rozwiązanie z radością.

– No, ja nie wiem, nie wiem. – Julianna pokręciła głową.

– Chodźmy stąd. – Antonina pociągnęła ją za rękę. – Porozmawiamy na górze. Zostawiłyśmy otwarte wejście, a to niebezpieczne. Wchodzę tu tylko, jeśli mam pewność, że nikt mnie nie odwiedzi. A ostatnio coraz większy ruch.

– Jesienne przeziębienia – domyśliła się Julianna.

– To jedno. – Prababcia kiwnęła głową. – Ale twoje skandale to drugie. Wszyscy są ciekawi nowych wieści.

– Proszę cię. – Julianna złapała Antoninę za ramię. – Uważajcie z tą żoną dla Żalczyka. Nie wiesz, jaki to człowiek. On nic nie czuje, jak kamień.

– Gdyby był jak kamień, tobyś go nie rozłożyła na łopatki. Jest wręcz przeciwnie. Dużo czuje i znajdziemy mu na to radę. Zaufaj mi, proszę.

Julianna zgodziła się niechętnie. Postanowiła bardzo uważnie przyglądać się tej sprawie.

– Znowu ktoś idzie – powiedziała Antonina. Przesunęła właśnie komodę i wyjrzała przez okno. – W samą porę tu przyszliśmy.

– No tak – przyznała jej wnuczka. – Spory ruch, a teraz będzie jeszcze bardziej gorąco, bo ruszają przygotowania do ślubu.

Antonina przytaknęła.

– Wiesz co? – Juliannie przyszedł na myśl pewien pomysł. – Możesz rozpuścić wieści przez swoich znajomych, że jeśli ktoś chce mi towarzyszyć, to jest serdecznie zaproszony za dwa tygodnie w niedzielę o dziesiątej. Zanim się rozpocznie suma, będzie już po wszystkim.

– Dobrze – zgodziła się Antonina. Patrzyła na idącego drogą mężczyznę. Rozpoznała go. Spieszył się. Domyśliła się, że jego matka poczuła się gorzej, i już wiedziała, że nie da rady jej pomóc. Czas się wypełnił.

– Myślisz, że ktoś w ogóle przyjdzie? – Julianna spojrzała na prababcię, która sprawiała wrażenie, jakby była teraz w zupełnie innym świecie.

– Myślę, że to będzie dla ciebie ważny dzień – odparła dopiero po chwili, wyraźnie potrzebowała czasu, by wrócić do poprzedniego tematu. – Przekonasz się, czy warto pomagać – dodała z westchnieniem. – Czy podajesz rękę właściwym ludziom. A może to tylko strata energii i lepiej zostać we dworze?

– Ani się nie obejrzysz, a Dominik zacznie kopać rów pod fundamenty, więc nawet tak nie mów. Wszystko postanowione – powiedziała Julianna, ale wzięła sobie słowa Antoniny do serca. Prababcia miała rację. Takie trudne wydarzenia pokazują, kto człowieka otacza.

– Wiesz, że nie musisz wychodzić za niego za mąż? – odezwała się jeszcze prababcia, kiedy dziewczyna stała już w drzwiach.

– To zdanie słyszę chyba najczęściej ze wszystkich – uśmiechnęła się Julianna. – Ja chcę – powiedziała. – Jeszcze zobaczysz, jak będzie pięknie.

Zamknęła drzwi i ruszyła szybko przed siebie. Minęła w sieni jakiegoś smutnego mężczyznę, mając nadzieję, że prababcia znajdzie rozwiązanie na jego zmartwienia. Przyciskała do piersi piękną koronkę i z radością myślała o tym, jaki kupi sobie materiał na sukienkę.

Będzie tak wyjątkowy, że temu opornemu Dominikowi buty spadną w dniu ślubu z wrażeń. Niech sobie nie myśli.

## ROZDZIAŁ 24



Tys jest całkiem głupi! – Walenty stał nad Dominikiem i kręcił z niedowierzaniem głową. – Sznurkiem będziesz granicę domu wyznaczał, łopata kopał? Ty wiesz, ile to roboty? Wielu ludzi musi pracować, żeby powstał dwór.

Dominik miał na końcu języka, że jeśli takich ludzi, jak służba w tym dworze, to faktycznie pięć razy więcej niż normalnie jest wymagane, ale nie chciał go drażnić. Walenty, choć z natury leniwy, potrafił w trudnej sytuacji okazać wsparcie.

– Pan Łacki się zgodził – powiedział Dominik. – Zabieram Józka i idę.

– Ale ja się nie zgadzam! – zdenerwował się Walenty. – Czy wyście powariowali wszyscy? Na jesień chcesz budować? To głupota. Nawet jak wykopiesz rowy, to woda ci zaleje. Przyjdą wiosenne roztopy i nic się nie będzie nadawało do użytku.

– Zamierzam zdążyć wymurować.

– Chyba cię całkiem Bóg opuścił! – Walenty aż przysiadł na zydlu. – Koniec września. Za tydzień, dwa mogą się zacząć deszcze, nie masz szans. Ja się na to nie zgadzam. Zaraz pójde do Łackiego i mu powiem. Niech to skończy. W końcu jest ciągle panem tego domu.

Dominik podszedł do niego, stanął naprzeciwko, grzecznie, bez tej swojej charakterystycznej pozy pana na włościach, po prostu jak równy z równym, kolega wobec kolegi.

– Jak ty to widzisz? – zapytał. – Powiedz, Walenty. Ale tak szczerze. Gdzie ja zaprowadzę panienkę po ślubie? Gdzie z nią zamieszkać? W drewnianej chacie prababki, żeby zmarła w zimie? Żeby ludzie się z niej śmiali?

Walenty zaczął się nerwowo kręcić.

– A może pójde tu do dworu, żeby codziennie przy śniadaniu rodzina pogardliwie patrzyła na jej męża, żeby mi zaglądano w zęby przy każdym kęsie chleba? Znasz ją od dziecka, wychowała się na twoich oczach. Powiedz, czy na to zasługuje?

Walenty się zmieszał. Nie wiedział, co odrzec na te słowa. Ściągnął czapkę z głowy i zaczął ją intensywnie miąć. Przeształ z nogi na nogę. Dominik dobrze znał te gesty. Ojciec Józka robił tak samo, gdy był zakłopotany.

– Ty, Walenty, znasz odpowiedź, i to dobrze – powiedział. – Ja ci powiem tyle. Jak jesteś dobrym człowiekiem, to po prostu mi pomóż. Weź dziś łopatę i chodź ze mną.

Walenty pomyślał, że niektórym ludziom to się naprawdę ziemia pali pod butami. Nie ustoją spokojnie w miejscu, papierosa nie dadzą zakurzyć, wiecznie im się robota do rąk przyczepia.

– Nie wiem, czy to się uda – odparł. – We dworze straszny rejwach. Szykują się do ślubu. Kucharka słyszała, co żeś powiedział Łackiemu – dodał, po czym wyciągnął papierosa z kieszeni. Odpalił z namaszczeniem, powoli. – Ona podsłuchiwała, gospodyni i wszystkie pokojówki – wyjawił. – No masz, chłopie, tupet, to ci trzeba przyznać, masz jaja – dodał i spojrzał we wskazanym kierunku. Dominik szybko się odwrócił. – Żeś wstydlivy jak pański syn! – zarechotał Walenty.

– Idę – rzucił Dominik.

Ruszył w stronę ścieżki prowadzącej do chaty prababci Julianny. Towarzyszył mu tylko Józek. Walenty patrzył za nimi, z niedowierzaniem kręcąc głową. Zapalił jeszcze jednego papierosa, po czym usiadł spokojnie na progu.

Nie ma Dominika, nie ma roboty – tę zasadę zdążył już sobie przyswoić. Nawet jeśli we dworze zbliża się ślub panienki, służba i tak będzie umiała uniknąć wysiłku. No może z wyjątkiem kucharki, bo ta miała pełne ręce roboty.

Walenty z zadowoleniem przyjął fakt, że to nie on piastuje to stanowisko. Naciągnął czapkę głębiej na oczy, po czym postanowił się nieco zdrzemnąć.

Dawał tym dwóm wariatom jeden dzień. Pokopią trochę w ciężkiej ziemi, zmęcą się i wrócą.



Mama wysłała Juliannę na zakupy jak zawsze. To znaczy nie dała jej żadnych pieniędzy, licząc na to, że dziewczyna w każdym sklepie dostanie wszystko na kredyt, który później zostanie spłacony przez ojca. Julianna bardzo dawno już nie była na zakupach. Chodzenie po sklepach nie stanowiło jej ulubionej rozrywki, a sytuacja rodzinna też nie skłaniała do tego, by szastać finansami. Mama też za tym nie przepadała. Obie rzadko jeździły do miasta.

Julianna przekonała się teraz dłaczego. Doświadczyła na własnej skórze, jak to jest, kiedy człowiek musi się upokarzać w każdym miejscu, do którego wchodzi, bo na dźwięk nazwiska „Łacki” głowy nie schylają się z szacunkiem, lecz sprzedawcy wymieniają porozumiewawcze, niezbyt życzliwe spojrzenia. A potem negocjują nie z panienką, lecz z gospodynią, żeby oszczędzić dziewczynie przykrych słów. Ale przecież Julianna i tak wszystko słyszała. Pokazywali zeszyty, a w nich rachunki, które wciąż czekały na spłatę.

– Chcę to zobaczyć – powiedziała Julianna, kiedy je to trzeci raz spotkało, a właściciel sklepu z materiałami wyraźnie się zmieszał.

To wszystko wydawało jej się jakimś oszustwem. Zapłacili przecież u Żyda wszystko. Skąd więc wzięły się jeszcze inne długi?

Okazało się, że ojciec miał ich więcej. Niektóre były bardzo stare.

Julianna patrzyła na zeszyt i cyfry mieniły jej się w oczach. Tak. Pięć lat temu kupiona sukienka matki na Boże Narodzenie pozostawała wciąż zapłacona, ubranie ojca z ostatniego wesela również, jakieś chustki, dziwne drobiazgi, co do których miała pewność, że na pewno nie zamówiła ich mama. Wciąż tylko ojciec. Zrobiło jej się bardzo wstyd.

– Przepraszam – powiedziała do gospodyni. – Myślę, że ta sukienka, którą mam, w zupełności mi wystarczy. Nie będziemy niczego kupować.

– Ale do ślubu?! – Starsza kobieta poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Doskonale wszystko rozumiała. W przeciwieństwie do Łackiego, który żył szczęśliwie w swoim sztucznym świecie, pozbawiony zdolności do jakiegokolwiek refleksji, zwłaszcza nad samym sobą.

– Panienska idzie do ślubu? – zapytał sklepikarz.

– A jakże to? – dziwowała się gospodyni. – Nie donieśli tu jeszcze najnowszych wieści?

– Powiem szczerze, zgubiłem się – odparł mężczyzna. – Coraz to inne plotki przynoszą, a mnie tam wszystko jedno, byleby panienska Julianna w dobrym miejscu wreszcie skończyła. Ja pamiętam, o dla ludzi robi, szczerze dobra życzę.

– Dziękuję – uśmiechnęła się słabo Julianna. – Wcale to nie takie proste, ale robię, co mogę.

– Proszę, niech panienska wybierze ten materiał – powiedział sprzedawca, podchodząc do niej. Wskazał dłonią jeden z regałów. – Tu są najlepsze. Nie takie już cieniutkie, bo pora chłodniejsza. Może też i nie najdroższe, ale pani Łacka uszyje z tego coś pięknego.

Julianna ucieszyła się, że jej rodzina pod jakimś względem, choćby tylko jednym, komuś się dobrze kojarzy.

– Jestem bardzo wdzięczny, że mogę pomóc – powiedział, widząc jej wahanie. – Mnie się teraz dobrze powodzi, ale były różne czasy i prababcia panienski leczyła mi dzieci za darmo. Grosza nie wzięła. Nie to, co doktor, nie chciał na nas nawet popatrzeć. Teraz przychodzi na zakupy dla tej swojej młodej żony, co to go z każdego grosza odziera, to ja mu zawsze podwójne ceny daję. Niech panienska wybiera. – Machnął szeroko dłonią.

Julianna się zmieszała.

– Babcia zasłużyła – powiedziała. – Ona powinna coś dostać.

– Niech panienska posłucha mądrego człowieka – odezwała się gospodyni, wkraczając stanowczo do akcji. – Prababcia będzie najszczęśliwsza, jak panienskę zobaczy piękną i uśmiechniętą.

– Mądrego usłyszeć to sama przyjemność. – Sklepikarz zatarł dłonie. – Ja bym wziął ten biały materiał ze srebrną nitką – powiedział i wyciągnął sprawnie jedną z bali płótna. – Zaraz ukroję tyle, ile trzeba.

Spojrzał na Juliannę, zmierzył jej figurę wzrokiem, po czym bez trudu obliczył odpowiedni wymiar. Uciął, zapakował w kwadracik, zawinął w papier, przewiązał wstążeczką i po chwili pakułek był gotowy. Rychło w czas, bo do sklepu weszli kolejni klienci i Julianna pomyślała, że oszczęd-

dzono jej upokorzenia wynikającego z faktu, że nie stać ją nawet na sukienkę ślubną. Jak to dobrze, że ta rozmowa odbyła się bez świadków.

Podziękowała i wyszła.

– Mój Boże! – powiedziała do gospodyni. – Jakie to jest wszystko niemożliwe do zrobienia. Nawet jeśli Dominik dokona cudu i wybuduje przed zimą dom, co wszyscy mówią, że jest karkołomne, to przecież my niczego nie mamy – uświadomiła sobie. – Ani jednego garnka, stołu, łyżki. Ile trzeba rzeczy, żeby dało się przeżyć dzień!

– Ano nie macie – przyznała gospodyni. – Ale jakoś to będzie. Nie wy pierwsi na świecie tak zaczniecie wspólne życie.

## ROZDZIAŁ 26



To było nieprawdopodobne. Patrzyli na niego wszyscy, cała służba, a także niektórzy mieszkańcy wioski, bo wiadomość oczywiście zdążyła się już roznieść. Jak ten chłopak w towarzystwie jednego pomocnika szedł piechotą z łopatą przerzuconą przez ramię, z kilkoma patykami i sznurkiem w kieszeni. Gotów budować dwór dla panienki.

Śmieszne to było, głupie, ale jednocześnie poruszające i wielu tych twardych chłopów, którzy niejedno widzieli i nie byli specjalnie sentymentalni, bo nie mogli sobie na to pozwolić, czuło, jak coś łapie ich za gardło.

To pragnienie wybudowania domu, rodzinnego gniazda było bliskie wielu. Chęć ochrony swojej rodziny, znalezienia dla niej bezpiecznej przystani również.

Prababcia Antonina patrzyła przez okno i tylko kiwała głową.

– Proszę, no proszę – mówiła. – Tego się nie spodziewałam. Toś mi niespodziankę zrobił. A czego jak czego, ale niespodzianek oczekiwałam najmniej.

Rzeczywiście kiedy ktoś ma dar przepowiadania przyszłości i tak dobrze zna ludzką naturę, mało co może go zaskoczyć. Dominikowi jednak wychodziło to świetnie.

Od kilku godzin pracowali obaj z Józkiem niestrudzenie. Antonina bezbłędnie potrafiła oszacować ich wysiłek. Wychowała się w dworze, w czasach jego dobrobytu, ale potem warunki życia zmieniły jej się gwałtownie. Nosiła wodę ze studni i uprawiała warzywa, przekopując ciężką, gliniastą ziemię. Wiedziała, ile trzeba siły, by wbić na tej łące łopatę i wykopać dziurę. Patrzyła, jak Dominik nie zwalnia tempa.

Niesamowity – przyznała, a taki podziw nie zdarzał jej się często.

Uznała, że czas nastawić dobrego wzmacniającego rosółu, według starej receptury z dużą ilością warzyw i ziół. Dołożyć sporo dobrego mięsa. A na koniec nasmażyć pysznych słodkich racuchów z konfiturą różaną. Niech się chłopaki wzmocnią.

Praca była ciężka, bo ziemia była kamienista, ale fakt, że rozmiękła po ostatnich jesiennych deszczach, nieco im sprzyjał.

Poczynaniami Dominika Podhorskiego zainteresowało się więcej osób. Antonina ledwo mogła usmażyć racuchy, bo ciągle ktoś przychodził, niby w pilnej sprawie, ale tak naprawdę, by się rozejrzeć i zanieść do domu nowiny, czy to prawda, że powstaje coś tak nieprawdopodobnego, jak nowy dwór.

Kiedy wreszcie udało się namówić pracujących do przerwy i nakarmić, w chacie niespodzianie pojawił się Walenty. Zły i wielce niezadowolony.

– Przyjechałem wozem – powiedział, miętosząc w dłoniach swoją czapkę. – Nie będziecie przecież tej ziemi rękami wywalać. Raz się przewiezie na dół, a na wiosnę wyrówna.

– Pięknie, panie Walenty – uśmiechnęła się do niego Antonina. – Może się pan poczęstuje rosółem.

Mężczyzna cofnął się o krok, ale nie był w stanie odmówić. W niewielkim pomieszczeniu tak pachniało, że aż mu się od tego kręciło w głowie.

– Proszę siadać – zachęciła go Antonina, a Dominik przesunął się na ławie, żeby mu zrobić miejsce.

– W sumie, pojeść się należy – wytłumaczył im Walenty. – Czort wie, ile tu jeszcze roboty będzie.

– Chyba sporo – uśmiechnęła się Antonina, a mężczyzna szybko zanurzył łyżkę w zupie. To nieprawdopodobne, jaka była smaczna.

– Nie wiem. – Dominik poklepał się po brzuchu. – Ja się chyba do świąt nie ruszę z miejsca. Dawno już nie jadłem czegoś tak dobrego.

Chciał nawet dodać, że ostatni raz w domu, ale nie zdążył.

– Daj Boże – odezwał się Walenty. – Żebyś chwilę posiedział w miejscu. Jak to pomoże, mogę nawet oddać jednego placka. – Musiało to być spore poświęcenie, bo spojrzał w stronę talerza, który przed nim postawiła Antonina, z takim zachwytem, jakiego u niego wcześniej nie widzieli.

– Jedz – uspokoił go Dominik. – Mnie wystarczy. – Podniósł się z ławy. – Dasz radę? – za-

pytał Józka, który ruszał się z równym trudem. Tamten kiwnął głową. – Wykończy mi pani jedyną pomoc, jaką mam – zwrócił się z uśmiechem do Antoniny.

– Jestem innego zdania – odparła. – Ja ci ją zorganizuję.

Dominik nie do końca zrozumiał, ale Walenty poczuł już po pierwszym kęsie racucha, że właściwie młodego trzeba by wesprzeć. Może kiedyś faktycznie będzie tu panem? Nie da się przewidzieć, ale takich warto szanować.

Tak to sobie tłumaczył, kiedy słodki smak, jakiego rzadko miał okazję próbować, rozpląwał mu się w ustach. Czuł, że za powtórzenie tego doznania mógłby nawet pracować.



Następnego dnia było ich więc już pięciu, a wieść na dobre poniosła się po okolicy. Dwóch kolejnych dworskich parobków pojawiło się koło południa. Ponoć Walenty powiedział im, że Antonina planuje ugotować żurek i kluski z białym serem. Ta słynna dworska zupa zawsze smakowała wybornie, ale ludzie gadali, że obecna kucharka, choć świetna w swoim fachu, nie umie go przyrządzić tak, jak dawniej robiła to Antonina.

Dominik zdumiał się, gdy zobaczył, że tuż po tym, jak słońce o południu zaczęło się chylić za drugą stronę góry, na drodze pojawili się kolejni mężczyźni, a Julianna przybiegła pomóc babci gotować.

To było jak cud. Pomoc miała wielkie znaczenie, bo czas był w tym przypadku decydujący. Tym razem jedli na łące. Julianna rozłożyła jakieś derki i zabrakło misek, więc wymieniali się podczas poczęstunku. Ale co najważniejsze, dla wszystkich starczyło żurku. Nie pływała w nim wprawdzie kiełbasa, lecz jajko i ziemniaki, ale był gęsty, zawiesisty, pożywny, a szczęśliwcy w niektórych porcjach wyławiali kawałki wędzonki.

– Policzylam dokładnie – powiedziała Antonina. – Mam zapasy tylko na te dni do ślubu. Nie wiem, co potem będziemy jeść, ale prace trzeba będzie zakończyć, bo dłużej nie udźwigniemy. Zobaczysz, jutro będzie ich tu jeszcze więcej.

– Jesteś wspaniała. – Julianna włożyła brudne miski do mycia. – Wszyscy postanowili nagle wspierać Dominika.

– Szlachetny człowiek, to i nic dziwnego, że ich złapał za serce – roześmiała się prababcia.

– Starą metodą przez żołądek – zawtórowała jej Julianna.

– Ty sobie nie żartuj, tylko jutro przyjdź wcześniej i najlepiej weź jakąś dziewczynę z dworu, bo takie gotowanie to już nie na moje siły.

– A co będzie jutro? – Julianna sama nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Zupa grzybowa z łazankami i placki ziemniaczane.

– A grzyby skąd? – zapytała nieopatrznie Julianna i w tym samym momencie Antonina wręczyła jej koszyk.

– Ja za stara jestem – powiedziała.

Nie było wyjścia. Julianna ruszyła do lasu.



Dominik harował za trzech. Nadawał spore tempo. Żaden z pozostałych mężczyzn by pewnie nie zrobił tak dużo, gdyby nie fakt, że nikt nie chciał pierwszy skończyć i pokazać, że ma dość, że jest zmęczony.

Kolejnego dnia pojawił się nawet Maślarz i dość pracowicie schylał się nad łopatą, choć spora nadwaga wcale mu tego nie ułatwiała.

– Sąsiedzi powinni sobie pomagać – powiedział, witając się z Dominikiem, a potem poszedł do wykopu, odprowadzany wzrokiem przez zaskoczonych chłopów.

– Podobno widziano wczoraj Juliannę, jak zbierała grzyby – wyszeptał Józek. – Dlatego dzisiaj znów przyszło więcej chłopów.

– Tak – przyznał Podhorski. – Mówiła mi o tym. Ale przecież taki Maślarz nie musi się wpraszać do kogoś na zupę.

– Ty nawet nie wiesz, co to za zupa – włączył się do rozmowy Walenty. Chyba nieco za głośno, bo reszta natychmiast podniosła głowy, po czym wszyscy jak na komendę spojrzeli w stronę starej chatki. – To są prawdziwe czary – dodał ciszej i zaraz potem się przeżegnał, po czym jeszcze

splunął, żeby się w pełni zabezpieczyć. Nawet myślenie o takich sprawach mogło być niebezpieczne, a co dopiero rozmowa.

Maślarz starannie wykonywał swoją pracę, choć w pewnym momencie łapał powietrze w płuca z wyraźnym świstem. Wtedy jednak nadszedł ratunek.

Babcia Antonina wraz z Julianną wyniosły przed chatę wielki garniec parującej zupy. Nikogo nie trzeba było nawet wołać. Mężczyźni bardzo szybko przyszli bliżej, a potem siedzieli i posilali się. Różne zapewne były przyczyny, dla których tu pomagali. Z powodu ciepłego posiłku, niechęci do Łackiego, sympatii wobec Julianny, czy z ciekawości, co wyniknie z działań nietypowego przyszedłego męża panienki.

Ale choć zapewne nie wszystkie pobudki były jednakowo szlachetne, to między pracującymi na budowie tworzyła się więź. Wspólny wysiłek, trochę żartów, jedzenie stwarzały warunki, by się lepiej poznać. Dominik powoli zaczynał się wciągać w tutejsze sprawy.

Skończył jeść jako pierwszy. Oddał miskę, a potem wrócił w to samo miejsce, w którym widać już było równy prostokąt poprzecinany rowami. Tam, gdzie wyznaczono ściany. Jutro będzie można wsypać kamienie, zrobić zaprawę. Nie mógł się napatrzeć na ten widok.

To się uda – pomyślał.

Po raz pierwszy od wielu tygodni czuł, że ma przed sobą jakąś przyszłość. Stał tutaj i oczyma wyobraźni już widział posadzone drzewa, drogę wijącą się do domu, jasne światła okien, a nawet białe piwonie, które mu się marzyły, i róże pod oknami.

Jedynę, czego sobie nie potrafił wyobrazić, to tego, jak on będzie żył z tą dziewczyną, która tak bardzo mu ufa, kiedy on jej prawdziwie nie kocha.

Nie potrafił niczego robić byle jak, połowicznie. Tak też chciał kochać swoją żonę. Uczuciem gwałtownym, wielkim. A tymczasem lubił ją i kochało ją jego ciało. Wydawało mu się, że to tak niewiele.

Przysiadł na chwilę pod drzewami na pniu, co pozostali mężczyźni przyjęli z ogromną ulgą i też odpoczęli po posiłku.

Przypomniały mu się słowa matki wypowiedziane do starszego brata, że małżeństwo to obowiązek, powinność. Nagle skojarzył, że widocznie tam też były jakieś wątpliwości. Może ta historia wcale nie była taka prosta, jak jemu się wydawało? Przecież takich słów nie mówi się byle komu, tylko człowiekowi wahającemu się.

Co za drań – pomyślał o Franciszku. – Jak można nie kochać Emilki? Czy coś takiego w ogóle jest wyobrażalne?

Znów stanęła mu przed oczami jej miła twarz, miękkie włosy. Tak bardzo się różniła od Julianny. Obie obdarzone były wyjątkową urodą. Ale Emilka była jak utkana z wiatru, nieuchwytna, eteryczna. Julianna twardo stąpała po ziemi, mądrze mówiła, dużo umiała i pociągała go, a tamtą co najwyżej odważyłby się pocałować.

Nic to – pomyślał, wstając. – Na razie się tym nie martwmy. Do wesela niecałe dwa tygodnie. Kto wie, co jeszcze się wydarzy. Trzeba wybudować dom.

To konkretne zadanie było dla niego wielkim ratunkiem. Mógł zająć ręce i umysł.

Poza tym nie chciał być uważany za biedaka z pustymi rękami, który fuksem złowił panienkę z dworu, choć nie ma jej nic do zaoferowania. O, nie! Na to duma Podhorskich nigdy by nie pozwoliła. Miał coś do zaoferowania.

Wstał, zakasał rękawy i ruszył do roboty, a wraz z nim pozostali mężczyźni. Do wieczora rowy były wykopane do końca.



## ROZDZIAŁ 27



Pan Ignacy Łacki przechadzał się po podwórku jak kogut. Ten największy z jego kurnika. Ręce miał założone z tyłu, a okrągły brzuch nieco wypięty do przodu. Stawiał słusznej wielkości kroki, rozglądając się wokół.

Jakże tu pięknie wszyscy pracowali!

Czyścili podjazd z chwastów, niektóre tak zarosły, że sięgały mu do kolan, plewili klomb na środku, porządkowali teren przed stajniami i stodołą.

We dworze też pokojówki uganiały się we wszystkie strony. Lubił takie dobre zamieszanie. Podziwiał też, jak to sprawnie wszystko działa, a ten Dominik tak gada, że w majątku tylko bałagan. Widać, że prostak i na niczym się nie zna. Wystarczy, że gospodarz pańskim okiem spojrzy i od razu wszystko działa.

Nawet teraz, ściemniało się już, a oni gwałtownie przyspieszyli z robotą. Wiadomo, że chcieli się przed właścicielem pokazać.

Odwrócił się nagle i zobaczył, że tuż za nim stoi Dominik. Ubłocony, zmachany i czerwony na twarzy. To na niego patrzyła służba, oczekując kolejnych poleceń oraz oceny tego, co przez dzień zostało zrobione.

Ignacy poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Zacisnął powieki i dłonie. Ale wytłumaczył sobie szybko, że to przecież niemożliwe. Miał rację. Kiedy odwrócił się jeszcze raz, mężczyzny już tam nie było. Józek jeszcze szedł w stronę kuchni, a Walenty odpinał konia od wozu. Tego okropnego parobka jednak nie było.

Zwidy jakieś! – pomyślał Łacki. – Nie śmiałyby się przecież wtrącać.

Rzeczywiście Dominikowi można było zarzucić nieco bezczelności, miał z pewnością niewyparzony język i pozwalał sobie na komentowanie działań państwa, ale nigdy w niczym Łackiemu bezpośrednio nie uchybił, choć bywał blisko.

Na pewno mi się wydawało – pomyślał ojciec Julianny. – To z tych nerwów wszystko. Ten parobek siedzi w lesie i dom buduje. Szaleństwo.

Łacki ani razu nie poszedł na miejsce, żeby zobaczyć, jak postępują prace. Wiedział tylko tyle, co mu służba doniosła. Ponoć pracowało tam sporo osób. Kompletnie nie wierzył w powodzenie tego projektu. Był już przygotowany, że po tym niestosownym ślubie trzeba będzie odświeżyć jakieś nieużywane pokoje. Każdego dnia patrzeć na ten wstyd, że oto jego córka dziedziczka będzie mieszkać z parobkiem. Chyba tylko po to, żeby on, pan tego domu, nigdy w życiu nie zaznał spokojnego poranka. Żeby zawsze po otwarciu oczu widział tego niechcianego zięcia i przypominał sobie, jak źle to wszystko poszło.

Od razu stracił dobry humor i wrócił do dworu. Zamknął się w swoim gabinecie, a potem postanowił jutro zaraz z rana jednak pojechać do miasta. Może by sobie coś kupił na to szykujące się wesele? W końcu, jak by nie było, miał być na nim najważniejszą osobą.



Kolejne dni mijały wszystkim na ciężkiej pracy. Pani Łącka szła suknię dla Julianny i poszerzała swoją własną odświętną sukienkę. Dziecko rosło, kilogramów przybywało i była to ta rzadka sytuacja życiowa, kiedy powiększająca się talia cieszyła Annę.

Dużo się ostatnio działo.

Ignacy gdzieś znikał na całe dnie, służba kręciła się po wszystkich pomieszczeniach, pieczono ciasta, przygotowano mięsa, jakby się tu szykowało prawdziwe wesele.

I choć nic takiego nie miało się tutaj wydarzyć, musieli być gotowi. Co rusz do dworu na Zasławiu dochodziły ich jakieś plotki, że ten czy ów czuje się zaproszony. Podobno każdy, kto chce wesprzeć panienkę w tym szczególnym dniu, może przyjść. Brzmiało to niebezpiecznie.

Anna nie poznawała miejsca, w którym spędziła prawie całe swoje życie. Nawet jesienny ogród, w którym wszystko powoli przekwitało, teraz był piękny. Ponoć Dominik kazał wszystko wyplewić, wyciąć chaszczę, przekwitnięte byliny, podeprzeć róże, które – jak to wszyscy mówili – kwitły tutaj dla panienki. Jadalnię tak wysprzątało, że wydawała się dwa razy większa niż zwykle. Natarty woskiem stół błyszczał. Wymyto okna, wyprano firanki. Wszystko pachniało.

Anna zjadła już prawie cały serowy kołacz, którego spore ilości przygotowywała od kilku dni kucharka. Pani Łącka wiedziała, że powinna to zrobić, ale nie miała odwagi zapytać, skąd nagle we dworze tyle jedzenia, zapasów.

Zapewne to w tej sprawie jej mąż jeździł gdzieś całymi dniami i właściwie każdy zdawał sobie sprawę, że pytanie o to nie ma sensu. W grę i tak wchodziła tylko jedna odpowiedź. Pan Łącki złapał wiatr w żagle i zachowywał się, jakby jego plan zrobienia doskonałego interesu na produkcji wódki już został zrealizowany, choć nawet jeszcze nie zaczęli.

Ignacy zachowywał się, jakby ślub Julianny miał oznaczać dla finansów rodziny pozytywną zmianę. Szastał pieniędzmi na prawo i lewo.

Tymczasem przecież przyjdzie tu młody mężczyzna z pustymi rękami.

Anna westchnęła. Nie była jednak w stanie nie lubić Dominika. Po raz pierwszy od lat czuła się otoczona opieką jako kobieta. O cokolwiek poprosiła, on natychmiast przystępował do działania. Jeśli mu się powierzyło jakieś zadanie, można było mieć pewność, że zostanie wykonane.

A przecież był bardzo zajęty. Żał było patrzeć, jak o zmroku wraca do dworu nieprawdopodobnie wyczerpany. Robili już fundamenty. Dominik wyciągał kamienie z rzeki, stając po kolana w lodowatej wodzie, dłonie miał czerwone i opuchnięte, podobnie jak jego przyjaciel Józek.

Ludzie sporo pomagali. Każdego dnia przyjeżdżał jakiś wóz, by transportować kamienie na miejsce. Robiono zaprawę i rano zalewano fundamenty. Ale do tego, by wejść do lodowatej wody, zbyt wielu chętnych się nie znalazło. Podobno Antonina poła ich jakimiś swoimi naparami, żeby się nie przeziębiali, ale przecież natura ma swoje prawa. Nikt nie ujdzie z tak ciężkiej pracy bezkarne.

Pani Łącka martwiła się o Dominika. Kazała mu nawet posłać do tej szopy porządną wełnianą kołdrę, dała sweter i cieplejszy kubrak. Co to jednak mogło pomóc człowiekowi, który w górskiej rzece stoi po kolana?

Jednak za ten hart ducha i pracowitość Dominik już zbierał nagrodę, bo okoliczni mężczyźni, twardzi górale, zaprawieni w bojach z ciężką przyrodą, zimnym wiatrem, ulewami, nieurodzajną ziemią, stromymi zboczami, na których trzeba było uprawiać w codziennym trudzie zboża i warzywa, potrafili docenić taką pracę.

I choć wszyscy mówili, że pomysł jest szalony, ona cały czas wierzyła, że temu człowiekowi się uda. Sprawy zmierają w dobrym kierunku.

## ROZDZIAŁ 29



Jakub Żalczyk siedział za starą stodołą, nie zważając na fakt, że jest mu coraz zimniej. Patrzył na drogę. Wydawało mu się, że każdy przechodzący albo przejeżdżający człowiek na pewno jedzie pomagać Dominikowi.

Ten nędzny parobek dotrzymał słowa. Wiadomości o nocnym incydencie nie rozniosły się po wsi, skoro sąsiad przyjechał do niego z rana, przekazując mu nowinę, że dobrze byłoby pomóc panience. Nie wiedzieli, że chciał ją skrzywdzić.

Żalczyk się opanował, wymówił pilnymi robotami i powiedział, że dołączy później. Zrobił to na tyle dobrze, że sąsiad się nie zorientował. A teraz siedział tutaj, przełykał gorzkie słowa, które cisnęły mu się na usta, i taplał się w ponurych przemyśleniach.

Na myśl o tym, że ten ślub dojdzie do skutku, szlag go trafiał.

Nie mógł się z tym pogodzić. Miał wrażenie, że jeśli po prostu się podda i będzie próbował z tymi zdarzeniami pogodzić, do końca życia nie zazna spokoju.

Wstał nagle. Wcale nie było jeszcze za późno – pomyślał. – Można zrobić tak wiele. Przede wszystkim jeszcze raz ją porwać! O tak, teraz czuł się świetnie przygotowany do tego zadania. Już by się nie pozwolił tak prosto podejść tej okropnej smarkuli. Nie znalazłaby na niego sztuczki, był pewien.

Mógł też nająć paru chłopaków z sąsiedniej wioski zawsze skorych do zwady i wiecznie potrzebujących pieniędzy, żeby tam trochę namieszali na tej budowie, o której wszyscy ciągle gadali, jakie to wyjątkowe przedsięwzięcie.

Nie można się było ruszyć z domu dalej niż na dwa kroki, żeby nie usłyszeć, jakich to cudów dokonuje Dominik. A wystarczyłoby zalać wodą fundamenty czy nawet przekopać rów ze strumienia płynącego nieopodal, a przez noc zniszczenie dokona się samo. Może i to niełatwa praca, może trochę strach tak pod okiem Antoniny. Ale to były pierwsze pomysły, jakie przychodziły mu do głowy. Był przekonany, że jeśli jeszcze chwilę poduma, na pewno znajdzie coś lepszego.

– A ty dalej tak sam tu siedzisz? – Gospodyni odnalazła go i stanęła blisko. – Dzieci w domu same.

– Czy to moja robota? – odparł ponuro. – Matki im trzeba.

– Ja też tak myślę – przyznała. – Rozmawialiśmy o tym.

– Nie chcę Agaty – oburzył się Żalczyk. – To stara panna. Niepotrzebne mi jakieś resztki. Bo co? Bo mi się nie dostała dworska córka, to mam się zadowolić byle czym?! – zawołał zapalczywie.

Gospodyni bardzo się zmartwiła. Nadal był na złej drodze i nie umiał tego zauważyć.

– To mądra kobieta – odparła spokojnie, nie dając się sprowokować. – Ładna, gospodarna, dobra. Da ci szczęście, jeśli tylko na to pozwolisz.

– Nie mam teraz z głowy do tego – odparł szybko. Chciał, żeby dała mu spokój, bo pilnie potrzebował opracować jakiś dobry pomysł.

– Wiem, planujesz, jak sobie zniszczyć życie – powiedziała kobieta spokojnie. A Jakub aż drgnął na te słowa.

Gospodyni była dobrze przygotowana do tej rozmowy. Antonina wszystko jej wytłumaczyła. Przede wszystkim jak słabi ludzie łatwo niszczą sobie i innym życie, podejmując złe decyzje. Jedną za drugą. A błędy nie prowokują ich do tego, żeby się poprawili, lecz sprawiają, że brną jeszcze bardziej, upierając się przy swoim.

Wszystko się tutaj zgadzało.

Usiadła obok Jakuba. Wiedziała, że krzykiem niczego nie osiągnie. Był tak zdenerwowany i podrażniony, że wszystko mogło wywołać wybuch.

– Ja tego za was nie zrobię – powiedziała łagodnym tonem. – Dzieci nie wychowam, majątku nie ochronię, nie ożenię się też z odpowiednią kobietą. To dla gospodarza rola. Ale ty masz wybór. I dobrze, bardzo dobrze – powiedziała to szczególnie powoli – się zastanów, czego chcesz. Możesz być szanowanym gospodarzem, mieć żonę, szczęśliwe dzieci. A możesz z powodu zemsty wszystko zniszczyć. Co lepsze?

– Zemsta – odpowiedział bez chwili wahania.

A potem wstał i zostawił ją samą.

Miała nadzieję, że jednak zmieni zdanie. Wróciła do domu z ciężkim sercem, zwłaszcza że przez okna wypatrywały dzieci, stęsknione za tatą. Tym biednym, ogarniętym jedną obsesją człowiekiem, który jeszcze nie tak dawno był kimś zupełnie innym. Dzieci chciały, by prawdziwy ojciec wrócił.

Daj panie Boże, żeby tak się stało – pomyślała gospodyni.

## ROZDZIAŁ 30



Dominik leżał pod kocem, ciepłą kołdrą i kubrakiem, przebrany w suche ubrania przyniesione mu przez Juliannę. W nogach miał butelkę z gorącą wodą, a i tak trzął się z zimna.

– Trochę żeśmy dzisiaj przesadzili – powiedział do Józka.

O niego też zadbano i zdawał się w nieco lepszym stanie, ale po nim zawsze ciężiej było poznać, co się dzieje. Był twardszy. Na pewno zimno i wysiłek też dały mu się mocno we znaki.

– Koniec tego wyciągania kamieni z rzeki – powiedział stanowczo przyjaciel. – Jeszcze trochę pozbieramy jutro z pola i po wszystkim. Takie rzeczy można robić w lecie.

– Nie – zaprotestował Dominik, po czym zadrżał. Strasznie nim telepało. – Podmurówka musi być wyższa.

– Będzie taka, jak jest. Wystarczy! – zaprotestował Józek. – Musisz dożyć do wesela, a le-dwo się na nogach trzymasz. Ja za ciebie ślubu nie wezmę. Mam swoje plany.

– Dobrze – zgodził się Dominik. Dalsze upieranie się nie miało żadnego sensu. Tracili siły, ryzykowali każdego dnia. Lepiej ocalić to, co udało się stworzyć, niż przegrać wszystko.

– W sobotę wieczór zrobię ci kawalerskie – zmienił temat Józek, ciesząc się, że przyjaciel ustąpił. – Stasia wyniosła z kuchni sporo jedzenia, a ja na wsi załatwiłem pół litra.

– Jakżeś ty to zrobił? – zdumiał się Dominik, przyjaciel nie miał przecież żadnych pieniędzy. – Trzeba było tobie za dworską pannę iść! – zawołał. – Majątku byście się dorobili. Oboje jesteście bardzo obrotni – dodał z przekąsem, bo wynoszenie rzeczy z kuchni dworskiej nie do końca mu się podobało.

– O nie! – zaprotestował Józek. – Ja bym dla panienki w zimnej wodzie po kolana nie stał.

– Ja też nie stoję dla niej – obruszył się Dominik. – Przecież wiesz, jak jest.

– Oj wiem, wiem – zaśmiał się Józek. – W tej jednej sprawie wiele więcej niż ty. Wodzisiz za nią oczami.

– Nie wodzę. – Dominik aż poczuł, że robi mu się cieplej. – To nieprawda.

– Myślisz o niej, sobie ją wyobrażasz...

Dominik był wdzięczny, że jest ciemno, bo naprawdę wstyd przyznać, a zarumieniłby się jak panienka. Zły był na siebie. Wściekły. Nie godziło się synowi szlacheckiego rodu tak łatwo dać się prowokować. Czuł się cholernie nieprzygotowany.

Trzeba było jak starszy brat na dziewczyny chodzić, toby może teraz nie reagował w tak dziwny sposób i nie musiał się wstydić za swoje ciało, które w przeciwieństwie do niego, rzeczywiście rwało się do tego ślubu. Nie spodziewał się jednak, że to, co śni mu się po nocach, jest widoczne dla jego przyjaciela.

– Nie gadaj – próbował spokojnie odpowiedzieć. – Kawalerskiego nie będzie. Wiesz, że to taki dziwny ślub. Nic tu nie jest jak zawsze.

– A jednak – sprzeciwił się Józek. – Stasia mi mówiła, że dla Julianny wiele panienek z okolicy wieniec plecie. Taki prawdziwy weselny, z kwiatów i ziół. Przyjadą do niej wieczorem. Będzie jak należy.

– Nieprawda! – zawołał Dominik. – Może z jej strony nawet tak. Ale z mojej? Kto mnie poprowadzi do ślubu? Jak to sobie wyobrażasz?!

Józek pobladł. Nie miał pojęcia, jak się z tym zmierzyć. Strata rodziców boli zawsze, ale najmocniej w ważnych chwilach życia. Gdy rodzi się dziecko, bierze się ślub...

Ręce mu drżały ze zdenerwowania. Co miał powiedzieć? Ojciec kazał się opiekować jedynym synem Podhorskich, dziedzic nałożył na niego tę odpowiedzialność. Ale żaden nie dał szczegółowych zaleceń. A tutaj znalezienie odpowiednich słów nawet mądrymu, doświadczonemu człowiekowi przyszłoby z trudem.

– Ja – powiedział, kaszląc przy tym z zakłopotaniem. – Może to i zła kandydatura – zaczął się szybko tłumaczyć – może i nawet najgorsza, ale jak będziesz chciał, to jestem. Możecie też spotkać się we dworze. I wspólnie powitać gości. Kto powiedział, że zawsze musi być tak samo.

– Nie. – Dominik uściśnął go za ramię. – Dziękuję ci, pójdę z tobą. Ale wyjdę stąd. – Rozejrzał się po szopie. – Nie będę udawał, że jestem kimś innym.

- Widzę, że ci spieszno do tego wesela – próbował go rozweselić Józek.
- Obowiązek to obowiązek – obruszył się Dominik, a przyjaciel tylko roześmiał.
- Oczywiście – powiedział. – Trzeba się przykładać.



Dominik zamknął oczy. Nie chciał już tego więcej słyszeć. To było dziwne, ale faktycznie wieczorami już nie widział w wyobraźni twarzy Emilki, lecz Julianny. To o niej myślał z ciepłem.

Może rzeczywiście to było coś dobrego? Ten ślub? Pocieszenie po tak ogromnej, niewypowiedzianej stracie. Może ten dzień będzie dla niego, jeśli nie całkowicie szczęśliwy, bo to w tej sytuacji niemożliwe, to choć trochę radosny?

Matka mówiła bratu, że ludzie poznają się tak naprawdę dopiero po ślubie. Mogą się pokochać i mieć dobre życie. Kto wie? A jeśli to wszystko się wtedy odczaruje?

Dominik zobaczy inną pannę młodą, uśmiechniętą, szczęśliwą. Poczuje, jak serce mu się dla niej otwiera, nadejdzie nowe życie...

Coś zaszemrało koło szopy, wrywając go z tych coraz miłszych marzeń. Józek usiadł na łóżku, jak zawsze czujny. Rozległo się kilka uderzeń w deskę. Dominik też się podniósł.

– Śpij, śpij – uspokoił go Józek. – To do mnie.

– Masz jeszcze siłę? – zdumiał się Podhorski. – Potrzebujesz przecież odpocząć. Zmarzłeś.

– Nic się nie bój. Teraz to ja się zagrzeję na dobre – roześmiał się Józek.

Jego nadzieje jednak się nie spełniły. Kiedy wyszedł na zewnątrz, otulając się szczelnie kocem, rzeczywiście zobaczył Stasię, ale wcale nie była w romansowym nastroju. Nie miała nawet dla niego żadnego jedzenia.

– Wybiegłam tylko na chwilę – powiedziała pospiesznie tak cichym głosem, że ledwo ją słyszał. – Muszę uważać, bo coś pomywaczka ma na mnie oko. A to wstrętna dziewczyna. Na wszystkich donosi. Marzy jej się lepsze miejsce we dworze.

– Zimno mi – przerwał jej Józek, bo nie miał teraz zdrowia do rozważania tarć pomiędzy służbą.

– Przyszłam tylko na chwilę – powtórzyła szybko – żeby ci powiedzieć, że ktoś od Żalczyka bardzo o was pytuje. O nazwisko Dominika, skąd przybyliście, jak długo jechaliście, czy piechotą, czy na koniu. Jakiegoś sprytnego parobka tu przysłali, każdy szczegół się dla niego liczy. Kręcił się po obejściu. Widziałam, że Walentemu przyniósł dwie paczki papierosów.

– To nie żarty – zmartwił się Józek.

– A pomywaczce chustkę – dodała cicho Stasia. Spoglądała na drzwi szopy. Nie chciała, żeby Dominik usłyszał. – Ta dziewczyna ma jęzor aż do kolan. Jeśli coś wiedziała, na pewno wygadała. Coś tam się niebezpiecznego dzieje. Tyle ci powiem. Takie mam przeczucie, może się zaraziłam od panienki, ale strach mnie obleciał. Zbliża się wesele, szkoda by było, żeby znów nadeszły jakieś kłopoty. Oni się coraz bardziej mają ku sobie – wyszeptła na koniec.

Józek objął ją i podziękował, a Stasia szybko pobiegła w stronę dworu.

Miała rację. Józek też to czuł. Że w Dominiku coś się zmienia. Może zaczyna rozumieć, że zauroczenie Emilką to nie to samo co prawdziwa miłość? Szykowało mu się dobre życie, choć początki mogły być ciężkie.

Ale przecież nie mogli spać całkiem spokojnie. Zostawili za sobą tajemnicę. Wydawało się, że oddalili się dostatecznie, by przeszłość ich nie dopadła, jednak wciąż istniało niebezpieczeństwo, że ktoś ich rozpozna.

Czy Bracki, ten zły człowiek, który odebrał Dominikowi dwór, zapomniał o ostatnim z Podhorskich? A może go szuka? Kto wie, czy nie wyznaczono jakiejś nagrody za jego głowę. Takich, co się skuszą, na pewno nie braknie.

Zaczął się mocno niepokoić. To był zły moment na komplikacje. Najgorszy.

## ROZDZIAŁ 31



Żalczyk wszedł do swojego domu. Był w świetnym humorze. Może zajęło mu to chwilę, ale wymyślił świetne rozwiązanie. To, co proponowała mu gospodyni, było nie do przyjęcia. Znowu miał niby ustąpić? Tak? A dlaczegoż to? Stać z boku i patrzeć, jak oni będą szczęśliwi? Jak się będą obnosić ze swoją radością?

Ten parobek był bezczelny. Zacznie sobie budować miejsce wśród możniejszych od siebie. Bywały takie przypadki, że szlachta chłopiała, a ktoś z dołów społecznych docierał bardzo wysoko.

Żalczykowi postawiono ultimatum. Albo będzie się mścił, albo zbuduje spokojne życie w swoim domu i skupi się na dzieciach.

Początkowo faktycznie próbował rozstrzygnąć pomiędzy tymi dwoma wariantami, skłaniając się jednak bardziej ku zemście. Ale wreszcie wpadł na genialny pomysł, żeby mieć jedno i drugie.

To dopiero było zwycięstwo.

Jasne, nie chciał narażać dzieci, tracić swojego domu, do którego był przywiązany, ani swojej pozycji gospodarza, ale stać z założonymi rękami i patrzeć, jak dziedziczka Łąckich wychodzi za mąż za kompletnie nieznanego człowieka, to też było nie na miejscu.

Kto wie, może to jakiś przestępca albo zbieg? Może za nim wydano list gończy? A co, jeśli w dniu ich ślubu on, Jakub Żalczyk, stanie na środku i powie prawdę? Wszystko przerwie? Rozwali w drobny mak?

Pogodził się z myślą, że Julianna za niego nie wyjdzie. Nie zdobędzie panny z dworu. Już nawet tego nie chciał. Na wspomnienie tego drwiącego śmiechu czuł ciarki na plecach. Wiedział, że nie byłby w stanie tego zapomnieć. To by bez przerwy do niego wracało.

Kobieta, którą zaproponowała gospodyni, to było w sumie niezłe rozwiązanie. Dobrze się nad tym zastanowił i uznał, że Agata ma wiele zalet.

Wszedł do jadalni i zobaczył, że dzieci siedzą na podłodze niedaleko kominka. Bawią się drewnianymi konikami. Podeszedł do nich i każde pogłaskał po głowie. Wyraźnie się ucieszyły, a najmłodszy podbiegł, po czym przytulił się do jego nogi.

Żalczyk wziął go na ręce. Cieszył się, że wrócił mu jego własny rozum. Naprawdę miał wrażenie, jakby przybył z bardzo daleka. Z jakiejś szalonej podróży.

– Zrób dziś na kolację coś dobrego – zwrócił się do gospodyni. – I zaproście pannę Agatę razem z matką na podwieczorek. Ja teraz pojedę szybko do miasta, przed wieczorem wrócę. Coś wam przywiozę.

Dzieci były wyraźnie rozczarowane, że znowu ma zamiar zniknąć, ale obietnica prezentu trochę je udobruchała.

– Muszę coś załatwić – powiedział, szykując się pospiesznie do drogi.

Gospodyni się ucieszyła. Wzięła za dobrą monetę jego zgodę i zaproszenie dla panny Agaty. Uśmiechnęła się do niego na znak, że w pełni popiera ten wybór. W końcu czymże jest zemsta wobec dobrego życia? Jej zdaniem tu w ogóle nie było się nad czym zastanawiać.

Ale nie wiedziała, że Jakub wcale nie zrezygnował. Ma tylko inny plan. Nie porzucił myśli o zemście. Czuł się wspaniale, jak prawdziwy mężczyzna, a nie ktoś, kto ciągle musi schodzić innym z drogi.

Zaprzągnął swojego najlepszego konia do bryczki, potem drugiego do pary, po czym ruszył do miasteczka. Gnał szybko. Wypoczęte konie energicznie pokonywały kolejne kilometry. Parobek wzięty do pilnowania powozu podskakiwał z tyłu, trzymając się z całej siły poręczy.

Wreszcie dotarli na miejsce. Zaparkowali pod niewielką kamienicą. Jakub wskoczył do środka. Parobek z ulgą zszedł na ziemię i rozprostowywał obolałe kości, a Żalczyk sprawnie przebiegł po drewnianych schodach i zapukał. Prawnik już na niego czekał. Przywitali się, a potem usiedli w dużych brązowych fotelach.

– Podhorski, powiada pan? – zamyślił się. – Przyznaję, że nie słyszałem nigdy tego nazwiska. Musi być nietutejsze. Ale dowiem się. Napiszę do innych.

– To za dużo czasu – zaprotestował Żalczyk, a potem wyciągnął z kieszeni kilka monet. Jedna z nich była srebrna. Sądził, że wyda to na swoje wesele, ale okazało się, że jest pilniejsza po-



trzeba. – Potrzebuję się tego dowiedzieć do soboty.

– Ciężko, ciężko. – Adwokat przewrócił oczami. – Zanim list dojdzie, odpowiedź wróci...

– Może by pan trochę pojeździł? – nacisnął Jakub, wciąż trzymając w dłoniach monety, na które łakomie spoglądał prawnik. – Ja też spróbuję – dodał. – To nie może być tak bardzo daleko. Nie szli przecież tygodniami. Dotarli do dworu piechotą. Konno taką trasę pokona się o wiele szybciej, jeśli byśmy się rozdzielili, to można szukać w różnych kierunkach. Mogę dać paru moich ludzi, choć to nie może być byle kto. Trzeba dyskretnie. – Wyciągnął jeszcze jedną srebrną monetę.

– No to jest taka specjalna usługa – powiedział adwokat. – Będzie kosztowało – przyznał.

– Ja rozumiem – westchnął ciężko Żalczyk. – Ale chronię bliską osobę przed ciężkim błędem życiowym. Chce wyjść za mąż za człowieka, o którym nic nie wiemy. A co, jeśli ma żonę gdzieś tam?

Wiedział, że to mało prawdopodobne, Podhorski był młodym człowiekiem, ale koniecznie chciał, żeby adwokat przejął się sprawą.

– Mogę dać dwóch ludzi – powiedział. – Więcej nie ma szans.

– Dobrze – zgodził się Żalczyk. – Pojadę jutro osobiście, pokieruję nimi na rozstaju dróg we wszystkie możliwe strony i będziemy szukać. Dwa dni drogi w jedną stronę. Kto wie, może dopisze nam szczęście, zdążymy wrócić i podzielić się wieściami. Dziś ruszać nie mogę, ale jutro skoro świt tu będę.

– W porządku – zgodził się adwokat. – Jeśli się czegoś dowiecie, pchnijcie do mnie posłańca, a ja zawiadomię władze. Podhorski to raczej szlacheckie nazwisko. Jeśli tylko znajdziemy właściwą okolicę, powinno pójść gładko. Nawet zwykły chłop wam powie, gdzie jest dwór. Gorzej jakby to był jakiś prosty człowiek, ale i oni mają swoje rody, więc po nitce do kłębka dotrzesz do celu. Widzę, że panem targają wielkie emocje. Pewnie miłość – uśmiechnął się. – A takim los sprzyja. Jest szansa, że uda się znaleźć trop.

Żalczyk pomyślał, jak bardzo naiwni są niektórzy ludzie, ale nie zaprzeczył. Po co burzyć piękne przekonania prawnika? Niech się łudzi. Będzie lepiej pracował, bardziej się starał.

Zapłacił ze smutkiem, po czym pożegnał się i wyszedł. W sumie był zadowolony. Kupił sobie właśnie satysfakcję. O tak, jeśli zdobędzie odpowiednie informacje, byle jak tego nie rozegra. Stanie na środku w tym najważniejszym momencie tuż przed przysięgą.

Może z żandarmami? – marzył, wracając do swojego domu. – Aresztują bezczelnego Dominika na oczach przyszłej panny młodej. Ależ to będzie przedstawienie! Na całą okolicę.

Nie miał bowiem wątpliwości, że ślub w rodzinie Łąckich i tak okaże się dużym wydarzeniem. Sporo osób się wybiera tylko po to, żeby zobaczyć, jak to będzie. Nie rozczarują się.

Jakub Żalczyk miał poczucie misji. Tłumaczył sobie, że nie działa z egoistycznych pobudek ani dla zemsty. Dba po prostu o przyszłe pokolenia pańienek. Niech się uczą, że nie wolno dawać kosza przyzwoitym mężczyznom tylko po to, żeby gonić za jakimiś mrzonkami.

Nie należy wychylać się z własnej warstwy społecznej, zawsze źle się to kończy. Jeśli uda się przerwać ślub, rozwalić to wszystko, ta historia z pewnością będzie długo opowiadana w zimowe wieczory przy kominkach. Matki będą przestrzegały swoje córki.

I bardzo dobrze – pomyślał. – Musi być porządek na tym świecie i każdy powinien na nim znać swoje miejsce.

## ROZDZIAŁ 32



Ten wieczór był jednym z lepszych w życiu Żalczyka. Nigdy za bardzo nie umiał czarować kobiet, ale teraz uśmiechał się, żartował, mówił komplementy i nie sprawiało mu to żadnych trudności. Panna Agata była oczarowana.

– Widzisz, mamó – powiedziała, kiedy odjechały już na bezpieczną odległość od jego domu. – Ludzie gadali takie dziwne rzeczy, a to miły człowiek.

– Też tak myślę – odparła jej matka. – Dobry los cię spotkał.

– Oj, dobry. – Agata kiwnęła głową. – Dzieci wprawdzie gromadka, ale grzeczne i zdrowe. Damy sobie radę.

Szczęśliwie odjechały, a on patrzył jeszcze chwilę za nimi. Też był zadowolony. Panna wyglądała na ładną. Miała wszystko, co trzeba, na swoim miejscu i z pewnością będzie umiała zaopiekować się dziećmi. W domu zapanuje spokój, on poczuje się zadbany, a swoją satysfakcjonującą zemstę doprowadzi do końca.

Czuł się panem życia. Lepiej być nie mogło.

Myślał o tym cały czas i był już pewien, że podjął słuszną decyzję. Nagle wszystkie klocki ułożyły mu się w jedną całość. Był przekonany, że jutro coś znajdą. Jakiś ważny trop. Jasne, że musi być jakaś tajemnica.

To dlatego ten parobek od początku był taki dziwny. Po prostu jest kimś innym, ukrywa się, ma jakiś sekret. Nikt bez powodu nie mieszka w szopie u Łackich. Żaden zamożny ani wykształcony człowiek. Musi mieć naprawdę ważną przyczynę. Zrobił coś złego.

– Nie daruję ci – powiedział szeptem, kładąc się do łóżka. Słyszał jeszcze, jak za ścianą hałasują dzieci. Położył się w swoim szerokim, niegdyś małżeńskim łóżu. Przewrócił na bok, myśląc z przyjemnością, że już niedługo nie będzie tu sam.

Zasnął wzmocniony satysfakcją, jakby już rozwiązał zagadkę, której nikomu innemu rozwiązać się nie udało.

## ROZDZIAŁ 33



Następny poranek zaczął się naprawdę dobrze. O świcie do szopy przysła Julianna. Ładnie wyglądała, zarumieniona, uśmiechnięta, niosła koszyk, a w nim dzbanek z ciepłym kakao, kromkami chleba, życzliwie posmarowanymi masłem, i kawałkiem sera.

Właśnie zdążyli się ubrać, a Dominik dziś po raz pierwszy, odkąd mieszkał w tym dworze, nie rozpoczął dnia od kąpieli przy studni. Ostatnio miał dość tej lodowatej wody. Julianna podzieliła sprawiedliwie jedzenie, ale kiedy podawała kubek Dominikowi, ich dłonie się spotkały i spojrzeli sobie w oczy.

Józek uśmiechnął się z satysfakcją, a potem poczuł, że i on chyba jest zarażony tą rodzinną przypadłością Łackich, czyli przecuciami. Nagle dotarło do niego takie jedno wyjątkowo złe, że ten ślub się nie odbędzie. Że im bardziej młodzi się zakochują, tym słabiej rysuje się ich szansa na szczęście.

Żalczyk jest na tropie! – pomyślał z przerażeniem. – I niestety, jeśli się postara, może znaleźć drogę do prawdy. – Podrapał się po brodzie. – Co robić? – zafrasował się mocno.

– A coś ty taki markotny? – Dominik go poklepał go po ramieniu. – Dzisiaj lepszy dzień. Będziemy ścinać drzewo w lesie i wozić do tartaku. Już się dogadałem, dostaniemy suche bale i deski. Rżnąć zaczniemy od brzegu, bo trzeba nam na wiosnę wykarczować trochę terenu, żeby mieć gdzieś siał i orać.

Gdyby nie wczorajsza rozmowa ze Stasią, Józek teraz miałby swoją nagrodę za trud. Mógłby powiedzieć w myślach do swojego ojca: „Wywiązałem się z zadania. Ostatni dziedzic Podhorskich jest w bezpiecznym miejscu”.

Ale za dobrze znał to uczucie powszechnego zadowolenia, jakie towarzyszyło weselu starszego brata Dominika, jak wszyscy brali pod uwagę każdy szczegół, a nie spodziewali się tego, co się naprawdę wydarzyło.

– Jedźcie spokojnie, ja do was dołączę – powiedział. – Muszę na chwilę wyjść.

A potem, nie czekając na odpowiedź, szybko wybiegł.

Teraz to Dominik się roześmiał.

– On też ma swoje sprawy – powiedział do Julianny. – I życzę mu jak najlepiej.

– Ja również – odparła, a on wreszcie podszedł bliżej i – jak wiele razy w jej snach – objął ją i pocałował w usta. Śmiało, stanowczo, jakby te okropne wątpliwości, z którymi się zmagał, na chwilę go opuściły. Potem zrobił to kolejny raz i znowu. Kto wie, ile razy by powtórzył, gdyby nie Stasia, która przybiegła od strony dworu, wołając swoje nieśmiertelne:

– Panienko, panienko! Matka panienkę woła!

Julianna szybko się odsunęła, próbując uspokoić oddech, a potem ruszyła za nią.

Dominik natomiast naciągnął czapkę na głowę i poczuł, że jest w stanie dzisiaj wykarczować pół lasu. Taka siła w niego wstąpiła.



Józek dotarł do domu Żalczyka. Zdyszany stanął pod płotem. Było jeszcze dość wcześnie, ale ktoś już kręcił się po obejściu. Jakaś kobieta niosła wiadra, pewnie z pierwszego udoju. Darły się kury, oczekując na swoje ziarno, i czekał pies. Po chwili gdzieś z bocznego budynku wybiegły gęsi, jakiś wyrostek z kijem pognął je na łąkę za domem. Nigdzie nie było widać gospodarza.

Może śpi? – pomyślał Józek. – I zajmie mu to jeszcze sporo czasu.

Czekał jednak, sam nie wiedział na co. Chciał mieć pewność, że go upilnuje, ale jakże by mógł to zrobić. Wreszcie jednak drgnął. Zobaczył Żalczyka. Ubrany jak do podróży, miał przy sobie sporych rozmiarów worek, jakby się wybierał gdzieś dalej. Zaraz potem ze stajni wybiegł młody chłopak i przyprowadził mu konia w pełni przygotowanego, by wyruszyć.

Po chwili doszło jeszcze dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich nie wyglądał na parobka. Józek go nie znał. Nic do siebie nie mówili, spojrzeli tylko po sobie, a zaraz potem ruszyli w drogę. To nie wyglądało dobrze.

Józek przeraził się. Słusznie się niepokoił i martwił.

Co jednak mógł zrobić? Biec za nimi?

Nie miało to żadnego sensu, straciłby ich z oczu w ciągu kilku minut. Ale wiedział, że to nie jest przypadkowa wyprawa i na pewno ma coś wspólnego z ostatnim z rodu Podhorskich. Żalczyk okazał się nieprawdopodobnie upartym człowiekiem i choć Józek i Dominik starali się jak najmniej mówić o sobie, to jednak po wielu tygodniach gdzieś coś mogło się wymyślić.

Drobiazg, niewielka informacja. Ale można sobie było dodać dwa do dwóch i coś wykoncy-pować. Świat nie jest wcale taki wielki, jak się Józkowi kiedyś wydawało. Ktoś zawsze może odna-leźć drogę do Podhorowa.

Musiał prędko coś wymyślić. Przede wszystkim natychmiast dostać konia i za nimi poje-chać.

Pobiegł z powrotem do dworu, rozpaczliwie poszukując jakieś wymówki, która nie napro-wadziłaby Dominika na trop, żeby nie zaczął panikować tuż przed ślubem. Nie można do tego dopuścić. Nie teraz, kiedy widać było, że coś między młodymi zaczyna się rodzić. Nie w tym najbar-dziej delikatnym momencie.

Ale cokolwiek by powiedział, to przecież Podhorski głupi nie był. Jeśli Józek wpadnie do szopy zdyszany, przestraszony, to już samo to spowoduje lawinę pytań. W końcu uznał, że nie może się pokazać przyjacielowi na oczy. Nie zdoła bowiem ukryć swoich emocji i zrobi się jeszcze więcej problemów.

Pobiegł więc do Walentego. Pociągnął go na stronę.

– Słuchaj, chłopie! – powiedział, z trudem łapiąc powietrze. – Mam bardzo pilną sprawę. Potrzebuję pożyczyć na dzień, może dwa – dodał powoli i ostrożnie – dworskiego konia, ale tak, żeby się nikt nie dowiedział, a zwłaszcza Dominik.

– Myślałem, że zwłaszcza pan Łącki. – Walenty nie wyglądał na bardzo zaskoczonego, choć normalnie taka prośba by go zszokowała. Stał, przestępując z nogi na nogę. Przyglądał się Józkowi uważnie.

Decyzja, żeby nie iść z tym do Podhorskiego, była jednak dobra – pomyślał chłopak. – Wi-dać było, że nawet Walentemu świta, o co może chodzić.

– Słuchaj – pospieszył go. – Nie mam papierosów ani żadnych pieniędzy, nawet grosza, ale bardzo cię proszę. Tu się niedługo wszystko zmieni na lepsze, tylko trzeba, żeby ten ślub się spo-kojnie odbył. Pomóż mi. Przyjdzie kiedyś taki moment, że ci się odwdzięczę.

Spojrzał na niego z nadzieją.

– A jak pan Łącki się dowie, to mnie z dworu wyrzuci – odparł Walenty. Nie zamierzał przyspieszać procesu myślenia. – Wiesz, co to jest kradzież konia? Najgorsze przestępstwo...

– Jak długo tu pracujesz? – przerwał mu Józek.

Walenty zafrasował się, a potem zaczął drapać po głowie.

– Nie pytam dokładnie, tak mniej więcej – pospieszył go Józek.

– A będzie ze czterdzieści lat – odparł Walenty.

– I ile razy widziałeś, że Łącki coś zauważył, o czym mu służba nie doniosła? Sam gdzieś poszedł, sprawdził... No ile?

Walenty cofnął się o krok.

– No ta... – zaczął wymijająco. – Nie za dużo.

– No właśnie. Proszę cię, nie mam czasu. – Złapał go za ramię.

– Czego nie pójdziesz do swojego przyjaciela?

– On nie może wiedzieć. Jeszcze by zrobił co szalonego.

– No dobrze – zgodził się niespodziewanie Walenty. – Ja tam już od wczoraj swoje wiem. Szpiegów od Żalczyka to u nas więcej niż w żłobach obroku dla koni. Bierz tego. – Poklepał po grzbiecie pięknego czarnego rumaka. – Jest najszybszy. Ino się wróć, bo inaczej będzie po nas wszystkich.

Józek zakładał już siodło, a potem wskoczył. Nie mógł zabrać żadnego prowiantu. Każda minuta była na wagę złota.

– Wróć – powiedział szybko. – Obiecuję. Masz moje słowo.

Walenty niespecjalnie wierzył w ludzkie słowo. Wiedział, że to bardzo lotna waluta, lubi zniknąć, zmieniać kierunek. Mało komu ufał, ale teraz nawet poczuł się dość spokojnie, choć była to najbardziej nierozsądna rzecz, jaką w życiu zrobił.

Pierwszy raz tak zaryzykował dla kogoś. Kiedy jednak patrzył za odjeżdżającym Józkiem, był pewien, że ten chłopak wróci. No, chyba że coś mu się w drodze stanie.

Strach złapał go za gardło. Przyszedł jednak zbyt późno, by cokolwiek cofnąć. Józka nie było już widać.

Walenty mocno się zafrasował. Nie nadawał się do takich skomplikowanych intryg, czuł, że najbliższe godziny będą dla niego trudne. Już zaczął się wpatrywać w drogę, jakby oczekiwał, że zaraz zobaczy Józka wracającego, ale tylko drzewa szumiały.

## ROZDZIAŁ 34



Dominik pojechał do tartaku sam. Był mocno zaskoczony.

Co też ten Walenty wymyślił, żeby wysyłać Józka z jakimiś sprawami do miasta, kiedy przecież żadnych takich na dzisiaj nie było? Na dodatek w ogóle nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Prosił tylko, żeby nic nie wspominać Łąckiemu.

Dlaczego w ogóle przyjaciel się zgodził, skoro wiedział, jaka robota była na dziś zaplanowana? Dominik nie miał pojęcia. Jednak ładując ciężkie bale na wóz, doszedł do wniosku, że może odpowiedź jest całkiem prosta.

Szykują jakąś niespodziankę. To się przecież zdarza. Mimo że wesele miało być skromne, może będą robić bramy zatrzymujące młodą parę jadącą do kościoła albo przygotowują dla pannyki prezent.

Uspokoił się. Niech działają po swojemu. Jemu też nastrój dopisywał.

Koło południa przyjechała do niego Julianna.

– Chodź – powiedział jej. – Staniesz sobie tam na środku i zobaczysz początki swojego nowego domu.

– Dobrze. – Wzięła go za rękę i ruszyli pod górę. Stanęli obok siebie. Miejsce było wymarzone. Z punktu, gdzie miały być drzwi wejściowe, widać było pierścień gór otaczających to miejsce jak opiekuńcze duchy. Było pięknie.

Julianna wszystko to już dokładnie widziała oczyma wyobraźni. Cały efekt. Przede wszystkim jednak cieszyła się bliskością Dominika. Jej nastrój stawał się z każdą chwilą coraz radośniejszy. Już wyobrażała sobie te wszystkie dzieci biegające tutaj. Nagle spojrzała w dół łąki i zobaczyła obraz tak czytelny, jak jeszcze nigdy dotąd.

Pod górę żwirkową ścieżką szedł chłopczyk. Śliczny, pięcio-, może sześćoletni. Sam. Uśmiechał się do niej i już wiedziała, że mama urodzi chłopca.

Aż jej się gorąco zrobiło, tak wyraźny był ten widok. Miała wrażenie, że wystarczy pobiec, a weźmie go w ramiona.

Marzenie ojca się spełni – pomyślała – a jednocześnie uświadomiła sobie z całą mocą, że ona ogromnie będzie kochać to dziecko bez względu na to, jak trudna jest ich rodzinna sytuacja.

Otarła łzy z oczu, bo wzruszenie okazało się bardzo silne. Dominik ciasniej ją objął. Sądził, że to myśl o nowym domu wywołuje u niej takie poruszenie.

Ale gdzie jest mama? – zastanawiała się tymczasem Julianna.

Zamrugła powiekami, lecz wszystko zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. I choć próbowała zobaczyć to znowu, nie udało jej się.

– Muszę wracać. – Ucisnęła Dominikowi dłonie, a potem bez słowa pobiegła w dół. Ogarnęła ją wielki przestrich.

Dbać o mamę – kołatało jej w głowie. – Nie zapomnieć teraz o tym.

Rzeczywiście w trybie przygotowań do wesela cięża pani Łąckiej zeszła na drugi plan. Dużo się działo i żaden dzień nie toczył się jak zwykle. Dotąd we dworze poranki były do siebie podobne, tak jak i południa oraz wieczory. Rytm prac wyznaczały pory roku. Do wszystkich wyzwań podchodzono jednak raczej spokojnie, a obowiązki wykonywano pomału.

A teraz krzątanina nie ustawała. Ciągle ktoś biegał w różne strony, zadawał pytania, trzeba było podejmować wiele decyzji.

Jak mama sobie z tym wszystkim radziła?

Julianna wpadła z impetem do domu i zastała ją siedzącą w sypialni, jeszcze nieubraną, w koszuli nocnej i papilotach zawiniętych na włosach, choć dawno minęło południe. Pani Łącka wyglądała blado.

– To ja już nie wiem. – Gospodyni stała naprzeciwko niej. – Zrobić więcej tych kołaczy? I których? Z makiem czy z serem?

Julianna odwróciła się szybko jej stronę.

– Myślę, że już wystarczy – powiedziała stanowczo. – Byłam wczoraj w spiżarni, jest tego sporo. Przyjęcie miało być skromne, a tymczasem wszystko się rozpęda. Czy my mamy tyle zapasów? – Gospodyni tylko opuściła wzrok. – No właśnie, wystarczy – powtórzyła Julianna. – A teraz

zróbcie mamie jakiś ciepły posiłek i nagotujcie kawy zbożowej. Pomogę ci się ubrać – zwróciła się do Anny.

Odesłała służbę i rozplątała mamie włosy, a potem powoli, z czułością je rozczesła. Wybrała jej ciepłą sukienkę, rozpięła na plecach kilka guzików, bo wszystkie ubrania robiły się zbyt ciasne, a potem okryła chustą.

– Musimy ci sprawić nowe ubrania, tak się przecież nie da.

– Mało pieniędzy – odpowiedziała cicho pani Łacka. – A ciąża niedługo się skończy.

– A gdzie w ogóle jest ojciec? – zapytała Julianna.

– Nie wiem. – Mama pokręciła głową. – Wstaje ostatnio wcześniej, wraca późno. Ponoć znowu jakieś interesy załatwia.

– Mój Boże – westchnęła tylko Julianna. – Mam nadzieję, że nikt mu już nie da kredytu.

– Jak też – odparła pani Łacka i obie mimo woli się uśmiechnęły, choć w tej kwestii nie było powodu do radości. – Jak to nigdy nie wiadomo, co komu na dobre wyjdzie.

Juliana objęła ją za ramiona, a potem zaczęła jej masować kark.

Miała nadzieję, że z tych ojcowych interesów nie wyniknie nic gorszego. Gdyby tata niczego nie robił, rodzina dużo lepiej by na tym wyszła. Po prostu pracował i tyle. Każda próba pomnożenia przez niego majątku kończyła się tylko większymi kłopotami.

Ale nie dał sobie powiedzieć. Ciągłe wpadał na nowe pomysły. Chyba był uzależniony od tego początkowego entuzjazmu. Uczucia, że coś się wreszcie zmieni. Liczyły się dla niego tylko takie mocne emocje.

Nie te zwyczajne, takie jak codzienna praca, powolne oszczędzanie. Ciągłe szukał szansy życia, spektakularnych efektów. No i miał je, tyle że w drugą stronę.

Julianna usiadła naprzeciwko mamy, a potem przykryła jej nogi kocem.

– Czemu tu jest nienapalone? – zapytała. – Chłodno dzisiaj.

– Nie ma sensu – powiedziała mama. – Trzeba oszczędzać. Ale widzisz, wyszło słońce i nastał piękny dzień. Będziemy w zimie martwić się o opał.

– Nie przejmuj się – odparła Julianna. – Damy sobie radę. Jeszcze chwila i nie tylko ojciec będzie decydował o sprawach naszej rodziny. Dominik jest bardzo rozsądny, ludzie go lubią. Przetrywamy. Jak będzie trzeba, to nauczę też wszystkiego twojego synka.

– Skąd wiesz, że to będzie chłopczyk? – ucieszyła się mama i spojrzała na nią.

– Widziałam – potwierdziła jej przypuszczenia Julianna.

– O rany! – Anna Łacka bała się daru, jaki dziedziczyły niektóre kobiety w jej rodzinie. Sama nie miała go nawet za grosz, ale wierzyła bez wahania. Miała okazję wiele razy się przekonać, że ta życiowa tajemnica jest bardzo prawdziwa. – Tylko nie mów tacie – powiedziała. – Za bardzo by szalał. Niech jeszcze trochę poczeka.

– Poza tym wiesz, że zawsze mogę się mylić – dodała ostrożnie Julianna.

– Nie mylisz się – uśmiechnęła się błogo pani Łacka. – Ależ jestem szczęśliwa. To znaczy nie zrozum mnie źle – zaczęła się szybko tłumaczyć.

– Nie musisz. – Julianna uściśnęła jej dłoń. – Ja też kocham to dziecko – powiedziała szczerze. – I poradzę sobie.

Zobaczyła, jak po policzkach mamy płyną łzy. Poczuła, że kocha tę biedną kobietę, która, choć przecież przypadł jej los uprzywilejowanej pani we dworze, w gruncie rzeczy nie miała w swoim życiu zbyt wielu okazji, by naprawdę się cieszyć.

– Muszę o ciebie teraz zadbać – powiedziała do niej serdecznie. – Będiesz odpoczywać przez wszystkie dni aż do ślubu. W każdej sprawie, w której będą chcieli ci zawracać głowę, niech przyjdą do mnie – zdecydowała. – Pobiegnę jeszcze dziś do prababci i poproszę o więcej ziół. Musisz uważać. Za dużo było tych nerwów ostatnio, a ciąża zbliża się do niebezpiecznego momentu. Brzuch rośnie, każdy dzień jest teraz decydujący.

Pani Łacka przymknęła oczy. Poczuła ulgę. Też się ostatnio martwiła o swój stan. Na męża nie mogła liczyć. Tak czekał na to dziecko, ale do pomocy się nie kwapił.

– Leż – poprosiła Julianna. – Jedz dobre rzeczy, patrz na kwiaty, drzewa. Poczytaj sobie jakąś miłą książkę i myśl o tym, że twoje dzieci będą kiedyś szczęśliwe.

– Doktor by cię wyśmiał – powiedziała pani Łacka, ale rzeczywiście położyła się na niewielkiej kanapie pod oknem, poprawiła sobie poduszkę i przykryła pledem. Przez okno widziała

sad, piękny o tej porze roku. Gospodyni przyniosła jej zupę. Zaczęła się posilać. Julianna razem z nią. Cokolwiek jej się wydawało na temat dziwnych zaleceń, które wyglądały, jakby nie miały żadnego sensu, ufała swojej córce.

– Zawsze wiedziałam – odezwała się po chwili – że ty coś wymyślisz i jednak unikniesz tego kobiecego losu, który każe nam posłusznie brać, co się trafi, i potem jakoś sobie radzić. Że jednak dostaniesz to rzadkie szczęście, jakim jest prawdziwa miłość.

– Na to wygląda – uśmiechnęła się Julianna na wspomnienie Dominika. Sama wiedziała, że mężczyzna jest coraz miłszy. Już nie myśli w kółko o dawnych demonach, patrzy w przyszłość. Nie mogła się doczekać tego ślubu.





Józek pędził jak szalony straceniec, ryzykując w każdej chwili złamaniem karku, wystarczyło jedno potknięcie konia na większym kamieniu. Próbował sobie przypomnieć tę drogę, ale nieznanne miejsca nie do końca mu się kojarzyły.

Na szczęście na początku był tylko jeden główny trakt i Józek liczył na to, że Żalczyk ze swoimi towarzyszami pojechał właśnie tędy. Słusznie się domyślał. Dopadł ich na rozstaju dróg i omal nie stracił życia, gwałtownie skręcając konia w zagajnik, żeby go nie zobaczyli. Zwierzę dyszało. Miało spoconą sierść, niespokojnie poruszało kopytami.

– Poczekaj, kochany. Wytrzymaj. – Józek pochylił się nad jego łbem. Patrzył, jak mężczyźni się rozdzielają. Jeden w lewo, jeden prosto i niestety dwóch w prawo, prawidłową drogą, która powoli prowadziła w stronę domu Dominika Podhorskiego.

To właśnie tam skierował się Żalczyk i jego towarzysz, ten najlepiej ubrany, który nie wyglądał na parobka. Wyglądało na to, że oni też mieli taką cholerną intuicję podpowiadającą im, gdzie się udać.

Co zrobią, kiedy odkryją prawdę? I jaka ona jest? Czy zdrajca Bracki wciąż szuka Dominika? Może nie? Czego Żalczyk się dowie od ludzi?

Józek był twardym człowiekiem, ale teraz poczuł, że chce mu się płakać.

Dlaczego ludzie muszą być tacy okropni? Czemu nie zostawia drugiego człowieka w spokoju?

Józek nie znał odpowiedzi. A teraz czekało go naprawdę trudne zadanie. Jechać za nimi tak, by nie zostać zauważonym i jednocześnie ich nie zgubić. Na razie to było dość proste. Las dawał schronienie. Ale Józek wiedział, że będą też mijać wioski, pola, odkryte tereny, gdzie widać jeźdźca z dużej odległości.

Już raz przebywał tę drogę w trudnych warunkach, teraz przyszło mu to zrobić po raz kolejny. Wtedy oddalał się od rodzinnych stron. Dziś przybliżał.

Wydawało mu się, że się z tym pogodził, taki los sługi. Każą ci iść, to idziesz. Ale teraz poczuł, jak tęsknota w nim ożywa na nowo.

Zobaczyć rodziców! – na samą myśl serce mu się ścisnęło. – Dowiedzieć się, co w chałupie słychać. Czy są bezpieczni? Czy żyją? A może i na nich Bracki się mścił?

Nie tak trudno się domyślić, kto udzielił pomocy jednemu z Podhorskich. Przecież Józek też zniknął. Każdy we dworze wiedział, że są bliskimi towarzyszami. Czy ojca ukarano za to, że wypełnił swoją misję?

Józek poczekał, aż tamci odjadą, a potem powoli ruszył za nimi. Wiedział, że już się nie zatrzyma, nie da rady tego zrobić, pojedzie do wioski i wszystkiego się dowie. Inaczej nigdy by nie zasnął w spokoju.

Co jednak przyjdzie mu zrobić, żeby zatrzymać Żalczyka, kiedy ten odkryje prawdę? Przecież go nie zamorduje. A nic innego w tym momencie nie przychodziło mu do głowy.

Jak zatrzymać złego człowieka, który postanawia zniszczyć komuś życie? Raczej nie rozmową. Taki by go wcale nie posłuchał, nawet jeśli pochodziliby z jednej sfery społecznej, a co dopiero w sytuacji, gdy Józek był tylko zwykłym sługą we dworze.

Prawie o tym zapomniał. Dominik cały czas ciągnął go do góry, a odkąd zaczęły się przygotowania do ślubu, traktowano go zupełnie inaczej. Cieszył się specjalnymi prawami. Teraz przypominał sobie dobitnie, kim jest i jak mało może.

Ruszył ratować przyjaciela. Ale może to był zły pomysł? Znów dostał od życia misję, do której czuł się kompletnie nieprzygotowany.

Jechał długo i droga była ciężka. Koło południa zaczęło mu burczeć w brzuchu. Dość szybko odwykł od głodowania. Szli tutaj z Dominikiem długo i nawet jeśli jazda konna pójdzie szybciej, to oszacował, że wyprawa jest przynajmniej na dwa, może trzy dni, a potem jeszcze trzeba będzie wrócić.

Oby tylko Dominik zachował spokój i nie podjął z powodu jego nieobecności jakiejś głupiej decyzji.



Cały dzień wozili drewno i faktycznie las koło chaty prababci Antoniny z prawej strony mocno się przerzedził. Widać było słońce i sąsiednią górę. Potężne stare pnie buków padały jeden po drugim. Potem trwało pracowite obcinanie gałęzi, ciężka robota, a następnie wywożenie materiału do tartaku.

Dominik przywoził z powrotem wysuszone bale, a wprawieni w takiej robocie fachowcy przeliczali, ile będzie trzeba, żeby postawić ściany.

– Fundament musi przeschnąć – mówili. Trzeba było czekać.

Tego Dominik nie lubił. Jednak nie mógł całkiem lekceważyć zasad budowlanych.



Wieczorem, wracając do siebie, patrzył w okna dworu, czy nie ma gdzieś Julianny, ale musiała być zajęta, bo choć szedł przez podwórkę bardzo powoli, nigdzie nie zdołał jej dostrzec.

Ucieszył się nawet, kiedy wszedł do szopy i zobaczył, że Józka wciąż nie ma. Pomyślał, że fajnie by się zdarzyło, gdyby panienka go teraz odwiedziła z jakimś ciepłym posiłkiem. Mogliby porozmawiać sam na sam. Czuł, że ma jej tak dużo do powiedzenia o przyszłych planach, o tym, jak będzie wyglądał ich dom, a także o tym dniu ślubu, do którego notabene czuł się kompletnie nieprzygotowany.

Jego koszula była już całkiem zniszczona. Dziś w lesie doznała kolejnych uszczerbków. Spodnie też. Nawet jeśli je wypierze, niewiele to pomoże. To mu spędzało sen z powiek. Nie wyobrażał sobie iść tak byle jak.

Z drugiej strony zdobycie nowego odzienia było całkowicie nierealne. Tak się zżymał na matkę, która starała się, żeby zawsze dobrze wyglądał, kupowała nowe ubrania, kazała mu mierzyć. Jakżeby teraz był wdzięczny, gdyby mógł dostać od niej coś czystego! Gdyby choć raz jeszcze mógł z nią porozmawiać.

Skrzypnęły drzwi i od razu podniósł głowę. Rozczarował się. To nie była panienka, lecz Stasia. Zatroskanym okiem szybko zlustrowała niewielkie wnętrze szopy.

– Józka jeszcze nie ma? – zapytała.

– Nie, nie – odparł. – Kręci się chyba gdzieś po obejściu.

– Od rana go nie widziałam. – Była wyraźnie zmartwiona. – Walenty coś wie, ale za nic nie chce nam powiedzieć. Myślałam, że przed nocą wróci.

– Oczywiście, że tak będzie – odparł spokojnie Dominik. – Niczym się nie przejmuj. Gdyby coś ważnego się wydarzyło, wiedziałbym przecież.

Postawiła przed nim koszyk z jedzeniem i domyślił się, że uprosiła panienkę, żeby móc tu przyjść, ciekawa, czy nie spotka mężczyzny, na którym jej tak zależało.

– Dziękuję ci – powiedział, a ona skłoniła się i szybko wyszła.

Dominik natomiast spokojnie się posilił, a potem położył. Nie martwił się o przyjaciela. Po prostu czekał. Ciekaw był, co oni wymyślili. Postanowił natychmiast chłopaka przycisnąć, jak tylko go zobaczy.

Jakież to sprawunki trwają tak długo?

Sąsiednie miasteczko było małe, sklepy krótko otwarte, a dziś żaden dzień targowy.

Przykrył się i przymknął powieki. Zmęczenie sprawiło, że po chwili zasnął.



Józek przywiązał konia do drzewa. Zastanawiał się, jak to zrobić, by przetrwać noc. Opierać się cały czas o pień? Siąść na wilgotnej ziemi? Położyć się nie dało, za zimno. Byłby wdzięczny, gdyby położył się koń. Można byłoby się do niego przytulić, ale zmusić do tego zwierzaka nie było tak prosto. Ani myślał marznąć rozłożony na mokrej powierzchni.

Żalczyk miał więcej szczęścia. Pół godziny temu wszedł do gospody. Zapewne dostanie teraz ciepłą strawę i łóżko. Józek nie mógł na to liczyć. Jadąc, rozglądał się nawet po lesie, czy nie znajdzie czegoś do jedzenia, ale pora była ciężka. Żadnych owoców, niczego.

Po sadach jeszcze czerwieniły się jabłka, ale wszystkie daleko od drogi. Nie mógł tam zboczyć, żeby sobie poszukać. Czuł jednak, że jeszcze chwila i zje nawet końskie kopyto. To niewiarygodne, że po jednym dniu szybkiej jazdy tak może człowiekowi szarpać żołądkiem.

Józek chętnie by też wszedł do środka gospody, ogrzał się i posłuchał, o czym Żalczyk gada, ale nie mógł. Zaraz by został rozpoznany. Bał się też zostawić konia, żeby mu go przypadkiem ktoś nie ukradł. To by dopiero była katastrofa. Dla Walentego i dla wszystkich. Łącki może i był roztrągniony, ale na dłuższą metę nie ma szans, żeby nie zauważył braku czegoś tak cennego w stajni.

Po dwóch kolejnych godzinach Józek jednak się złamał. Zostawił konia i zaczął iść przez ciemne pola, szukając czegokolwiek do zjedzenia. Ruszał w pośpiechu, nie wziął sobie krzesiwa, derki, niczego do picia. Wdepnął w jakiś strumyk i to z jednej strony go poratowało, bo mógł zaczerpnąć kilka łyków wody, z drugiej strony wiadomo, noc będzie jeszcze trudniejsza. Zmarznie.

Wreszcie los nieco się do niego uśmiechnął, bo faktycznie dotarł na skraj jakiegoś sadu. Na ziemi leżały jabłka. Zebrał ich, ile tylko mógł do koszuli jak najcenniejszy dar, a potem pobiegł z powrotem cały w strachu, czy koń nadal jest na swoim miejscu. Z tego pośpiechu niestety nie zauważył rowu i wpadł do płytkiego strumyka drugim butem.

– Psia mać jedna! – zaklął, ale się nie zatrzymał. Biegł dalej. Na moment zrobiło mu się ciepło z ulgi, gdy zobaczył, że jego wierzchowiec stoi na swoim miejscu. To przynajmniej było dobre.

Potem wysypał jabłka na ziemię i zaczął jeść. Wiedział, że będzie jeszcze musiał pójść napoić konia, a potem jakoś przeżyć do rana. Najgorsze pewnie będą godziny tuż przed świtem. Wyjścia jednak nie miał. Kiedy trochę się posilił, zaryzykował raz jeszcze i podszedł w stronę karczmy. Stał niedaleko. W krzakach widać było tylko podwórko. Po chwili jednak jakichś dwóch mężczyzn wyszło na zewnątrz. Mieli papierosy w ustach, widział dwa czerwone żarzące się punkciki.

– Tu go nie znają – rozpoznał głos Żalczyka. – Albo jedziemy w złym kierunku, albo jeszcze to za blisko. Dzień drogi koniem.

– Jak by to było szlacheckie nazwisko, toby znali – odpowiedział mu towarzysz.

– Trzeba nam dalej jechać.

– W którą stronę? – zapytał mężczyzna. – Coraz więcej jest rozwidleń, możliwości.

– Nie wiem – odparł Żalczyk. – Skoro już raz wybraliśmy w prawo, wybierzmy jutro rano też w prawo. Najwyżej potem się rozdzielimy. Ktoś musi w razie czego wrócić, gdybym ja nie zdążył. Mamy mało czasu. Ślub się zbliża. Potem to już nie będzie miało takiego znaczenia, co znajdziemy.

– Dlaczego? – zapytał ten drugi mężczyzna. – Po ślubie też niezła afera. Wyciągnie się młodzika z alkowy, zakuje i popędzi. A na pannie ci ponoć nie zależy, tak mi w drodze mówiłeś.

Józek poczuł, jak drży. Żalczyk rozgniół resztkę papierosa butem i ruszył z powrotem do karczmy. Józek dałby wiele, gdyby mógł się przespać chociaż w stajni.

W sumie – zastanowił się. – Może to nie jest nawet taki niemożliwy pomysł.

Był zdesperowany. Musiał przetrwać w dobrej formie, żeby mieć jakiegokolwiek szanse obrońić przyjaciela.

– Co za drań z tego Żalczyka – wyszeptał. Nie mieściło mu się to w głowie.

Wrócił biegiem na skraj lasu, odwiązał swojego konia, wziął dwa jabłka do ręki, jednym poczęstował zwierzaka, potem poszedł go napoić, a następnie ruszył w stronę stajni. Otworzył drzwi pewnym ruchem i przywiązał dworskiego konia z boku.

– A ty tu czego?! – zawołał jakiś mężczyzna, zrywając się z kupy siana.

- A to tego ostatniego gościa – powiedział Józek. – Jestem z nim.
- Nic mi gospodarz nie mówił.
- Mnie mówił – wytłumaczył mu Józek, a potem zdjął buty i wylał z nich wodę.
- A toś się urządził – roześmiał się tamten, po czym położył. Miał swoich problemów dość, ani myślał pilnować interesów gospodarza.

Józek położył buty z boku, licząc na to, że chociaż trochę się wysuszą w ciepłej stajni, a potem usiadł pod ścianą. Na niewielkiej kupce słomy. Koło tamtego nie miał odwagi się kłaść. Ciągle jeszcze drżał, ale było mu już zdecydowanie cieplej. Przynajmniej pod dachem, w towarzystwie zwierząt. Może uda się jakoś przetrwać tę noc i zachować siły na kolejny dzień.



Rano Józek szybko uciekł z powrotem do lasu, zanim ktokolwiek zdołał otworzyć oczy. Wyszedł cichutko i schował się. Była może czwarta godzina. Nawet koguty jeszcze nie piałły. Wokół panowały ciemność i chłód.

Wiedział, że za chwilę wyjdzie słońce i przy odrobinie szczęścia będzie to kolejny ciepły jesienny dzień. Tylko noce dawały się we znaki, dni wciąż były do zniesienia.

Czekał. Niestety towarzysz Żalczyka wykazał się całkiem niezłą intuicją. Dobrze go pokierował. Kiedy słońce zaczęło wschodzić, Józek nawet rozpoznał to miejsce. Jeszcze dzień, dwa i faktycznie jakiś spotkany przy drodze człowiek powie Żalczykowi, kim są Podhorscy. Prawda wyjdzie na jaw.

Miał niewiele czasu, żeby opracować jakiś plan. Co zrobi wtedy? Napaść, pobić można było jednego, ale dwóch? Co by to zresztą dało? W końcu się obudzą, oporzędzą i tak przyjadą do dworu na Zasławiu i wszystko powiedzą.

Czy w ogóle jest jakieś możliwe rozwiązanie? Może ich zatrzymać, ale czym? Jakąś nawiązką? Nakłamać, że dom Żalczyka się pali? Nie uwierzy. A nawet jeśli, to potem Józka czeka sroga kara, a Żalczyk wróci jeszcze bardziej wściekły i pałający ogromną żądzą zemsty.

Źle, ciągle źle – myślał. – Skup się, człowieku.

Ledwo słońce wzniosło się leciutko nad horyzont, a już zobaczył tych dwóch mężczyzn, jak ruszają dalej w drogę. On za nimi. Kolejne godziny nie przynosiły żadnego rozwiązania. Droga miała, oni wciąż poruszali się w prawidłowym kierunku, a sposobu, by ich zatrzymać, Józek nie znał. To się nie zmieniało.



Dominik zasypiał. Pod powiekami widział Juliannę. Wmawiał sobie trochę, że to dlatego, iż jest człowiekiem honoru. Jeśli do jakiegoś zadania się zabiera, stara się wykonać je dobrze. Nieważne, czy to dotyczy gospodarskich obowiązków, czy małżeństwa.

Ale kiedy nagle skrzypnęły drzwi szopy, uniósł się gwałtownie na łokciu. Był pewien, że Józek wraca ze swojej eskapady. Ale ku swojej radości zobaczył panienkę z dworu. Przyszła do niego. Nie potrzebowała nawet pretekstu w postaci kolacji. Po prostu przyszła.

– Śpisz? – zapytała.

– Nie, skąd. – Natychmiast oprzytomniał. Usiadł na łóżku, a ona tuż obok. Bardzo blisko. Objął ją ramieniem. Nie zastanawiał się. Julianna przytuliła się do niego.

– Jesteś sam?

– Tak. Józek znowu gdzieś się włóczy po wsi. Trzeba go będzie w końcu ożenić – roześmiał się – żeby jakieś kłopotów z tego nie było.

– To dziwne, zwykle znika wtedy, kiedy Stasi też nie sposób znaleźć, a teraz ona siedzi jeszcze przy lampie i coś szyje, a jego nie ma.

Dominik zmartwił się trochę. Wiedział, że przyjaciel ma dużą łatwość w nawiązywaniu kontaktów z kobietami, ale do tej pory zawsze był człowiekiem honoru. Wydawało się, że lubi bonę panią Julianny i daje jej odczuć, że jest dla niego ważna.

– Może za chwilę się spotkają? – zapytał Dominik z nadzieją, że tak właśnie będzie.

– Nie wiem. – Julianna pokręciła głową.

– Mają swój tajny system, który się im dobrze sprawdza.

– O tak – przyznała. – Rodzice nie mają o niczym pojęcia, tylko ja.

– My będziemy mieć wszystko na oku – powiedział i pocałował ją we włosy.

– Owszem. Ja ciebie też będę uważnie obserwować – uśmiechnęła się.

W małej szopie było ciemno, nieco chłodno. Julianna przesunęła sobie na kolana jego koc i to stało się nie do opanowania. Przycisnął ją mocno do piersi, a potem zaczął całować. Wcale się nie bronila. To było tak porywające uczucie, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doznał. Położyli się i mocno przywarli do siebie ciałami. Nie chciał zrobić nic więcej. Bardzo nie chciał, ale to było ogromnie trudne.

– Spokojnie – powiedziała, odchylając się lekko. – Mamy dużo czasu, całe życie.

Potem zaczęła go głaskać po włosach. Jeśli myślała, że w ten sposób mu pomoże, to raczej się pomyliła.

Oddychał ciężko, próbując ratować honor mężczyzn z rodziny Podhorskich, którzy nie wykorzystują panien przed ślubem. Z tak trudnym zadaniem jeszcze nigdy w życiu się nie spotkał. Jednak mijały chwile, a oni leżeli przytuleni i rodziło się między nimi coś głębokiego. Dominik poczuł, że zaczyna być szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Ta dobra miłość wypełniała jego serce we wszystkich tych miejscach, które jeszcze pozostały wolne po rodzinnej tragedii.

Po chwili zobaczył ze zdumieniem, że Julianna zasnęła. Musiała być wyjątkowo zmęczona. Sporo ostatnio przeszła, też ciężko pracowała. Pogłaskał ją po włosach, odsunął niesforny kosmyk z czoła, a potem poprawił jej warkocz, przykrył kocem. Wiedział, że o świcie będzie musiał ją obudzić. Jeśli chodzi o Józka, to wcale się nie przejmował, czy ich tutaj razem zobaczy, czy też nie. Pary z ust nie puści. Ale inni nie powinni byli jej widzieć.

Przymknął na chwilę powieki, wiedząc, że przyjaciel za chwilę tu przyjdzie, a wtedy on odprowadzi panienkę do dworu. Nawet nie zauważył, kiedy zasnął.

Obudziło ich pianie koguta. Dominik zerwał się, a potem spojrzął na sąsiednie łóżko. Józka nie było. Wtedy naprawdę się wystraszył.

– Wstań, kochana. – Pocałował Juliannę w czoło i delikatnie uściśnął jej ramię. Obudziła się. – Szybko! – pospieszył ją. – Coś złego się stało. Dlaczego go jeszcze nie ma? Czegoś takiego nie zrobił nigdy dotąd.

Dominik ubierał się nerwowo, a Julianna zerkała na jego nogi i ramiona. Oglądała go sobie dokładnie bez żadnego skrępowania i coraz bardziej była zadowolona z tego, że odważyła się sprzeciwić i pójść własną drogą. Wszystko wyglądało na to, że dostanie jednak swoją nagrodę. O Józka jeszcze nie zdążyła się wystraszyć, ale po chwili udzielił jej się nastrój Dominika.

– Idę do Walentego – powiedział do niej. – Muszę to wyjaśnić. Dość tych tajemnic. Może on potrzebuje pomocy? – wystraszył się jeszcze mocniej. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Mieli przecież wroga.

Żalczyk go nie lubił, a ten świat też wcale nie był bezpiecznym miejscem. Nagle Dominik zaczął myśleć, że może ta wyprawa wcale nie była taka niewinna. Wydarzyło się coś i Józek nie chciał mu powiedzieć. Taka opcja była możliwa tylko w przypadku czegoś poważnego. I doszedł do wniosku, że coś takiego musiało się właśnie wydarzyć.

Szybko pobiegł w stronę zabudowań, a Julianna za nim. Poprawiła tylko trochę włosy, zaciśnęła mocniej sweter na sobie i nie bacząc na to, co kto sobie może pomyśleć, towarzyszyła mu krok w krok.

Walenty jeszcze spał. Julianna zatrzymała się za drzwiami stodoły, Dominik wpadł do środka. Oparła się plecami o deski. Czekala na ich rozmowę. Ale i tak już wiedziała. Coś się stało w związku z tą starą historią i tamta dziewczyna właśnie wyciąga rękę po jej przysłego męża.

W najgorszym możliwym momencie.

Teraz, kiedy wreszcie zaczęło się układać, poczuła się przy nim bezpieczna i szczęśliwa. Nogi jej zmiękły, usiadła na ziemi, przyciskając mocno kolana do piersi.

– Wstawaj! – Dominik szarpał Walentego. – Gdzie jest Józek?! Odpowiadaj! Ale to natychmiast!

– Przecież mówiłem, że musiał pojechać... – mówił niewyraźnie zaspany Walenty.

– Dokąd?! – krzyknął Dominik, budząc pozostałych.

– No... – zawahał się Walenty. – Miał sprawę do załatwienia.

– Mów mi natychmiast prawdę! – szarpnęła nim Dominik.

– Kiedy ja jej nie znam – odparł szczerze Walenty. – Ale on zaraz wróci. Obiecał.

Dominik już wiedział. Wyskoczył na zewnątrz. Nawet nie zauważył Julianny i zaczął biec w stronę stajni.

Domyślała się, co chce zrobić. Ruszyła za nim. Złapała go szybko za ramię.

– Wyjeżdżasz, tak? – powiedziała szeptem, choć emocje w niej zbierały gwałtowną falą.

– Muszę. – W ogóle nie rozumiał jej pytania. To przecież było oczywiste.

– Teraz chcesz mnie zostawić? – Spojrzała mu w oczy. – Tuż przed weselem?! Zrobić mi taki wstyd po tym, jak mnie przytulałeś w nocy?

Pomyślał, że całe szczęście, iż nic więcej się nie wydarzyło, bo właśnie taki miał dokładnie

zamiar. Zostawić ją, cały ten dwór, i pędzić na złamanie karku do domu. Nie tylko po to, by ratować Józka, ale zobaczyć, co się stało. Bo na pewno przyszły stamtąd jakieś ważne wieści. Raczej złe. Dobrymi Józek by się podzielił.

– Nie mam wyjścia...

Odwróciła go z całej siły w swoją stronę.

– Patrz mi w oczy – powiedziała ostro. – Oczywiście, że masz wyjście. Józek nie poprosił cię o pomoc, a za niedługo bierzemy ślub. Postawiłam dla ciebie wszystko na jedną kartę. Budujesz dom, ludzie cię szanują. – Wszystkie te słowa wypowiedziane były bardzo cicho, tak że tylko on je słyszał, bo po obejściu zaczęli kręcić się ludzie, których obudziła gwałtowna wymiana zdań Dominika i Walentego. – Nie możesz mi tego zrobić – dodała, trzymając go mocno za rękę. – Musisz wytrzymać. On wróci.

– Czego ty ode mnie wymagasz?! – zawołał, nie był w stanie się opanować. – Mam zostawić przyjaciela w potrzebie?!

– Nie – odparła, wciąż intensywnie na niego patrząc. – Powiesz mi tylko, dokąd, a ja wyślę kogoś zaufanego. Dwóch, trzech, pięciu, ilu tylko chcesz. Ale ty musisz ze mną zostać, rozumiesz?

To było szaleństwo. Myśli galopowały w nim szybciej niż Siwek w swoich najlepszych czasach. Dominik stał, chociaż całym sobą siedział już na koniu i gnał Józkowi na pomoc. W stronę swoich, do domu. Nogi jego jednak mocno trzymały się ziemi. Patrzył tej dziewczynie w oczy i te oczy trzymały go w miejscu coraz mocniej.

– Jeśli wyjedziesz, nie będzie już dla mnie ratunku – dodała.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by słowa powiedziane tak cicho krzyczały do niego, jakby napływały ze wszystkich stron i wdzierały się siłą do jego głowy. Nie był w stanie się odwrócić.

– Wiem – powiedział wreszcie. – Ale proszę cię. Może to będzie tylko jeden dzień. Wrócę.

– Nie zdążysz – odparła stanowczo, a on zdawał sobie sprawę, że ma rację. Jeśli ruszy w drogę, zajmie mu to kilka dni. – Popatrz na ten cały cyrk. – Pokazała mu udekorowany zielonymi gałązkami bukszpanu ganek. – W jadalni jest to samo, napiekli ciast, ludzie szykują się na niedzielę. Polubili cię. Ująłeś ich swoją pracowitością i zapałem. Nawet ksiądz powiedział to wczoraj wieczorem do mojej mamy, że ślub będzie piękny, choć bardzo dziwny. Wyobrażasz to sobie, że zostaną teraz sama. Uciekniesz przed ślubem?! – zakończyła z mocą.

– Nie – odparł. Oddychał bardzo ciężko, jakby płuca nagle mu się zmniejszyły do wielkości dwóch małych kropeczek, jakimi były jej niebieskie tęczówki, w które się cały czas wpatrywał. – Nie wyobrażam – dodał bardzo powoli.

– Zgodziłeś się, a twoje słowo ma wartość – dodała jeszcze na koniec, chociaż wiedziała, że już niczego więcej nie musi mówić. Dominik rozumie. Uścisnęła jego dłoń. – Wiem, że potrafisz. Wiem też, że on wróci...

– Rozumiem takie rzeczy. – Dominik opuścił gwałtownie ramiona, skurczył się w sobie. Miała wrażenie, że ubyło mu kilka centymetrów wzrostu. – Ale w jaki sposób? – zapytał rozpaczliwie. – Nie wystarczy, że wróci.

Nawet sobie nie zdawał sprawy, jak bardzo ma rację. Niebezpieczeństwo zbliżało się z każdą chwilą i nie było żadnej pewności, że przyjaciel zdoła mu zaradzić.

Został jednak. Cokolwiek się działo w jego głowie i sercu, nie mógł narazić tej dziewczyny na taką hańbę. Różne tu były we dworze skandale i za każdym razem Łącki mawiał, że gorzej już być nie może. Ale mogło. Gdyby parobek zostawił panienkę w dniu ślubu, już by się z tego nie podźwignęła.

– Kocham cię – powiedziała, choć on powinien wyznać to jako pierwszy, ale zasłużył. Wiedziała już, że bez względu na to, jak bardzo dużo go to kosztuje, zostanie. Objęła go, mimo że z dworu przez okno patrzył ojciec i nie był zadowolony. To nie miało jednak znaczenia. – Chodź na śniadanie – powiedziała. – Do domu. Wkrótce będziesz moim mężem.

– Nie, nie wytrzymam tego! – zawołał. – Wybacz. Pójdę na budowę, zaczniemy stawiać ściany. Może to mi choć trochę ulży.

– Ale jak to? – Przechodzący obok Walenty oburzył się. – Przyjdzie majster, to ci wytłumaczy. Jeszcze jest za wcześnie.

– Zaprawa stwardniała – odparł Dominik głośno i stanowczo. – Wczoraj było ciepło, dzisiaj też zanoszą się na słoneczny dzień. Damy radę. Chcę zobaczyć ściany.

– Nie opowiadaj – próbował go powstrzymać Walenty. – Górale świetnie się znają na budowlance.

– No to teraz poznają się jeszcze lepiej – odparł Podhorski. Nacisnął czapkę na głowę jak rasowy parobek, uścisnął tylko dłoń Julianny, a potem ruszył dalej.

– Idźcie za nim – nakazała szybko panienska. – Róbcie wszystko, co każe.

– Tak, panienko. – Walenty nie był zbyt zadowolony. Wczoraj się napracował i dzisiaj planował raczej wolny dzień, ale przy tym człowieku o szalonej głowie na takie raczej się nie zanośli.

Dominik maszerował już pod górę, zaciskając zęby. Miał ochotę zacisnąć też powieki, niczego nie widzieć. Nie miał pojęcia, jak wytrzyma do wieczora. Żywił tylko nadzieję, że kiedy wróci, zobaczy swojego przyjaciela bezpiecznego, skruszonego, opowiadającego o tym, że jednak poznał jakąś pannę.

Może z innej sfery, może mężatkę, teraz już by się zgodził na wszystko, byle tylko nie była to informacja, że przyjaciel ruszył w stronę Podhorowa i stało się tam coś złego.





Józek najbardziej się bał, że zgubi ich po ciemku. Słońce coraz szybciej zachodziło, a oni nie kończyli drogi tuż po zmierzchu, lecz kierowali się wyraźnie w stronę karczmy. Tak było wczoraj i zapewne miało być też i dzisiaj.

Tymczasem światło słoneczne nie do końca okazało się sprzymierzeńcem Józka. Las się skończył i mijali teraz wioski. Trakt był odsłonięty. Józek musiał długo czekać, zanim bezpiecznie ruszył za nimi. Na drodze pustki, samotny jeździec rzucałby się w oczy, a Józek zauważył już, że Żalczyk i jego towarzysz zaczepiają każdego, kogo spotkają. Zapewne pytając o poszukiwaną rodzinę.

Nie mógł ryzykować, że i z nim będą chcieli rozmawiać, czekał więc w zagajniku długo, aż oni znikną za horyzontem. Niestety kiedy kolejny raz ruszył w drogę, okazało się, że nie może ich znaleźć. Odjechali za daleko. Poganiał konia, wyteżając wzrok, tak by jak najszybciej ich dostrzec, a jednocześnie samemu nie zostać zauważonym.

Z nerwów ścisnął mu się żołądek. Był bardzo głodny, momentami robiło mu się słabo. Od wczoraj zostało mu tylko jedno jabłko, które dawno już pożarł kilkoma łapczywymi kęsami. Nic więcej mu się nie trafiło. Wioska była dość gęsto zabudowana. Nie było szans, żeby gdzieś się przemknąć i coś zerwać, choćby z drzewa.

Nagle dojechał do rozstaju dróg i z żadnej ze stron nie widział Żalczyka. W którą pojechali? Czy znowu niestety w prawo, kierując się tą głupią zasadą, która prowadziła ich wprost do celu? Co za okropni ludzie mieszkali w tych górach. Czy wszyscy byli czarownikami? Dlaczego więc tak się wysmiewali z Antoniny?

Żalczyk wykazywał się tutaj ponadludzką intuicją. Szedł jak po sznurku.

A może nie? – pomyślał z nadzieją. – Może jednak pojechali w lewo i nigdy nie dotrą na miejsce?

Wiedział, że on sam już nie zawróci. Popędził konia, skręcił w prawo i zaczął jechać drogą, którą rozpoznawał. Minął wioskę, gdzie przyjęła ich ta miła dziewczyna, następnego dnia las, w którym ich napadnięto i ukradziono konie. Kiedy całkiem już opadł z sił, tak że przez część drogi po prostu leżał na koniu, pijąc tylko czasem wodę ze strumieni, zobaczył znajomą okolicę.

Zmęczenie natychmiast mu minęło. Nawet się wyprostował. Akurat zmierzchało, więc los mu sprzyjał. Począł, aż całkowicie się ściemni, po czym szedł opłótkami, prowadząc ostrożnie konia, czując pod stopami, jak każdy kamień staje się znajomy, swój. Jak słabe nogi pewniej go niosą. Nawet powietrze pachniało tu inaczej.

Wreszcie niepostrzeżenie dotarł do chałupy rodziców. Ludzie siedzieli już w domostwach, zapadł wieczór, oporzędzili zwierzęta, pochowali wozy i teraz gotowali sobie kolację. Kto jaką mógł.

Józek wprowadził konia do ojcowej stajni. Pies zaczął szczekać i otwarły się drzwi chałupy.

– Kto tam? – usłyszał głos młodszego brata i wzruszenie złapało go za gardło.

– Cicho... – powiedział tylko. – Cicho...

– Jezu! – zawołał brat, a Józek złapał go i położył mu dłoń na ustach.

– Cicho – powtórzył. Wepchnął go w głąb chałupy i potem wszedł za nim. Był bardzo słaby.

Otworzył drzwi wielkiej kuchni, w której siedziała cała rodzina, pobladała, jakby właśnie zobaczyła ducha, po czym lekko się zatoczył i padł na ławę.

– Jeść... – powiedział. – Pić...

Matka rzuciła się szybko w stronę pieca, gdzie warzyła się jakaś zupa. Nalała mu do miski i postawiła. Jadł łapczywie, mimo że była bardzo gorąca. Płona, biedna zupa bez żadnej omasty. Woda, ziemniaki, trochę kapusty i odrobinka soli. Po chwili jeszcze dostał kromkę chleba.

– Nie jedz tak łapczywie, bo się udławisz. – Matczyne odruchy działały zawsze.

Uśmiechnął się, choć chciał mu się płakać.

Przełykał wielkie kęsy, aż oczy wyłaziły mu na wierzch. Wreszcie poczuł się nieco lepiej. Popił jeszcze ciepłym mlekiem. Oddychał ciężko, ale był w stanie już mówić.

– Skądżeś się tu wziął?! – zawołał ojciec, a matka dopadła go wreszcie i z całej siły objęła.

– Synu! – zawołała. – Myśmy tu już myśleli, że cię nigdy na oczy nie zobaczymy. Nie wie-

dzieli my, czy ty żyjesz.

– Żyję – powiedział Józek. – I oprócz tego, żem głodny i zmachany, dobrze się nam pracuje we dworze. Bo znaleźliśmy nowe miejsce.

– A Podhorski? – zapytał cicho ojciec. – Wystawiono nagrodę za jego głowę. Bracki twierdzi, że jest zdrajcą. Za każdą informację chce płacić. Jakby się dowiedział, że tu jesteś, marny by był nasz los.

– Dlatego nikt nie może pary z gęby puścić. – Józek spojrzał surowo na swoje rodzeństwo, ale chyba byli i bez tego dostatecznie przestraszeni. – Jak wy teraz żyjecie?

– Ano trochę gorzej. Bracki nie dba tak o nas jak Podhorscy, ale bardzo źle też nie jest. Ten rok był urodzajny, trochę w spiżarni zapasów mamy – powiedziała matka.

Józek rozejrzał się po chacie. Dziewięcioro dzieci, najmłodsze miało cztery latka i wpatrywało się w niego przestraszonymi oczami.

– Nic dla was nie mam – powiedział. – Z pustymi rękami przychodzę, ale może kiedyś będzie inaczej.

Zaczął opowiadać o wszystkim, a oni skupili się ciasno. Zgasili lampę i po ciemku jedli zupę, dzieląc się chlebem i nowinami. Chciwie chłonęli każde jego słowo. Dziwowali się Dominikowi, który buduje dwór. A przede wszystkim temu, że ma poślubić panienkę. Ale też z drugiej strony wydawało się to wszystko naturalne. Taka kolej rzeczy, że gdzie się nie rzuci prawdziwego dziedzica, to on wszędzie sobie poradzi.

Byli też dumni ze swojego syna, a ojciec dobrze przeczuwał, że jeśli Józek przeżyje, to czeka go przy Podhorskim dobry los.

– Może was kiedyś sprowadzę? – powiedział na koniec Józek.

– O, nie! – zawołała mama. – Szukaliby nas, mścili się. Tak nie wolno. Może kiedy weźmiesz którego brata, nikt nie zauważy, ale na pewno nie wszystkich.

– Nikogo tu nie było obcego? – zapytał wreszcie Józek. Zimno mu się zrobiło na myśl o sprawie, która go tu przygnała.

– Nie – odparł pewnym głosem ojciec.

– Nie szwendał się po wiosce, nie pytał o Dominika? – dociekał Józek.

– My nie widzieli – odparł ojciec. – Ale człowiek teraz o wszystkim nie wie. Nie ma syna, który by przynosił wieści. Teraz we dworze całkiem inni ludzie pracują. My popadli w niełaskę.

– To się zmieni, tato. Obiecuję, że wam pomogę! – zawołał Józek.

– Ty musisz przeżyć – odparł poważnym tonem ojciec. – Bo jak cię tu kto zobaczy, to naprawdę coś złego się stanie. Bracki jest wściekły, że uchwalił się dziedzic. Nie może spać spokojnie, bo ludzie ciągle szepczą mu za plecami, że Dominik Podhorski kiedyś wróci i odbierze swoją ojcowiznę. On wie, że to się może zdarzyć. Na razie władza go chroni, ale żadna władza na tym świecie nie jest wieczna. Sam wie, jak karty potrafią się odwrócić.

– Ja to w ogóle nie widzę, żeby on mógł spać po czymś takim, co zrobił. – Józek pokręcił głową.

– A daję radę – westchnęła mama. – Chodzi, puszy się po okolicy. Ma się teraz za największego pana. Połączył dwa wielkie majątki i wszyscy mu się kłaniają. To nie człowiek, to bestia. Zdolny do wszystkiego, a sługusów ma wszędzie. Więc weź jeszcze trochę chleba i wracaj tam, gdzie możesz się przed nim schować.

– O nie! – Józek nie miał sumienia. Widział, ile bochenka zostało, jak daleko jeszcze do końca tygodnia. Matka piekła zawsze w soboty, to była naprawdę mała porcja. – Nic mi nie będzie – powiedział. – Muszę tylko pójść na cmentarz, stanąć chociaż na chwilę nad ich grobem. Dominik mnie na pewno zapyta, powinienem to zrobić.

– Ja się nie zgadzam! – Ojciec podniósł głos, choć całą rozmowę przeprowadzali po cichu. – Ktoś cię zobaczy!

– Po nocy się tam przecież nikt nie kręci.

– Ale drogę musiałbyś przejść – oburzył się ojciec. – Jesteś we wsi znany, ludzie o tobie gadają. Wiedzą, że zniknąłeś razem z Dominikiem Podhorskim, tego samego dnia. Ci, którym teraz stało się ciężiej, opowiadają sobie wieczorami, że syn dawnego dziedzica przyjedzie i ich uratuje. Jak cię zobaczą, zrobi się straszny rejwach. Pomyślą, że naprawdę nadjeżdżacie i staniecie do walki. Choć to przecież taka głupota. Jakżeby dwóch ludzi mogło pokonać taką armię? Bo on to tu-

taj prawie już ma armię. Trzyma swoje wojsko niby na wypadek, jakby trzeba było zaborcy pomagać. Szkoli ich na podwórku, musztry robi. Nie uwierzysz, jak to się wszystko zmieniło.

Józkowi faktycznie nie mieściło się to w głowie, ale wiedział, że nie ma wyboru. Jeśli nie przysięgnie Podhorskiemu, że stał przy grobie jego rodziców, widział tabliczki, zmówił pacierz w intencji ich dusz, ten się nigdy nie uspokoi. A jak widać, w tej chwili nie mógł tu wrócić.

– Kiedyś przyjadę znowu, wtedy już nie z pustymi rękami – obiecał. – A teraz proszę was tylko, żebyście mi przytrzymali chwilę konia. Przed świtem ruszam.

Widział po twarzy ojca, że jest zły. Łzy napłynęły temu wielkiemu silnemu mężczyźnie do oczu, ale już nie protestował. Szkoda mu było tych paru minut, kiedy jeszcze widział syna. Bardzo się bał, że to ostatni raz, ale wdzięczny był Bogu, że dostali chociaż taką szansę. Nie było dnia, żeby nie myślał o Józku. Jak go wyprawił w drogę nieprzygotowanego, w taką ciężką misję. Nie było nocy, w której nie wyobrażałby sobie, co mogło tych dwóch młodych chłopaków spotkać po drodze, więc to i tak był niebywały cud, że zobaczył go żywego.

– Dobrze – powiedział. – Uściskajcie się jeszcze na drodze i niech cię Bóg prowadzi.

Józek objął wszystkich. Szczególnie serdecznie tego najmłodszego braciszka. Wierzył, że będzie tutaj wracał po nich i może nawet kiedyś uda mu się zabrać rodziców do nowego miejsca. Życie jest skomplikowane, ale już się nauczył, że tak jak potrafi przynieść mnóstwo złego i wiele odebrać, tak i też czasem daje. Nie wolno tracić nadziei.

Józek szybko wybiegł z chałupy. Kiedy znalazł się już w ciemności, pozwolił, by kilka gorzkich dużych łez spłynęło mu po policzkach. Otarł je szybko, a potem opłótkami skierował się w stronę cmentarza. Odetchnął z ulgą, bo wiedział, że gdyby Żalczyk tu przybył, ojciec by wiedział. Ten człowiek nie zrobiłby tego dyskretnie. Pewnie by się udał do dworu i zaraz zrobiłby się szum. Rodzina nie miała już dostępu do wieści, to fakt, ale coś takiego migiem rozniosłoby się po wsi. Zwłaszcza jeśli, jak ojciec mówił, wierzono tu powszechnie w powrót Dominika.

Prawie godzinę zajęło mu chowanie się, kluczenie, tak by dostać się niepostrzeżenie na cmentarz. Tam już było bardzo ciemno, ale jasne pomniki i światło księżycy sprawiały, że bez trudu odnalazł drogę. Tym bardziej że przed grobowcem Podhorskich świeciło się jakieś maleńkie światełko. Skradał się po cichu przerażony, bo choć mało czego się w życiu bał, chyba najbardziej tego, że Dominikowi się coś stanie albo jego rodzina ucierpi, to jednak wobec duchów zmarłych miał sporo respektu. Rozglądał się trwożnie, a wiatr mu nie sprzyjał. Poruszał gałęziami, liśćmi, a jemu ciągle się wydawało, że ktoś za nim idzie.

Przed grobowiec dawnych dziedziców dworu dotarł z duszą na ramieniu. Przestraszony tak, że prawie tracił oddech. I wtedy zobaczył, że ktoś tam stoi. Jakaś ciemna postać. Omal nie zemdlął. Złapał się pniaka dużego drzewa i próbował rozpoznać od tyłu, kim jest ten człowiek. Po chwili mężczyzna się odwrócił. Niestety był to Żalczyk.

Ten się dopiero wystraszył. Widać miał coś na sumieniu i też bał się duchów.

– Skąd się tu wzięłeś?! – zawołał, kiedy rozpoznał Józka. Ulga sprawiła, że aż położył sobie rękę na sercu. – Mało zawału nie dostałem.

Józek pomyślał, że może to nie byłoby takie złe rozwiązanie, ale jednak Żalczyk trzymał się prosto i nie wyglądało na to, żeby miał za chwilę paść na ziemię.

– Więc poznał pan prawdę? – zaczął.

– Tak. – Żalczyk wyglądał na bardzo zadowolonego. – Jakby mnie tu ręka sprawiedliwości doprowadziła. Sam powiedz, nie tak prosto było znaleźć.

– To się zgadza – przytaknął Józek, bo i w głębi serca się z tym zgadzał. Co za życie! Dlaczego los złych ludzi prowadzi, zamiast kazać im błędzić po manowcach. – Wie pan więc, że zginęli w dniu ślubu.

– Kiedy zginęli? – Żalczyk się odwrócił. – O kim mówisz? O dziedzicach na Podhorowie?

– O rodzicach Dominika, jego starszym bracie i pannie młodej. – Józek podszedł bliżej, ale zobaczył tylko dwie nowe tabliczki. Rodziców i syna. Nie znał za dobrze liter, ale co nieco był w stanie odcyfrować. – Widać nie pochowali jej tutaj – powiedział, wodząc palcami po zimnych literach.

– Ja o niczym nie wiem – obraził się Żalczyk. – Tyle tylko, że Dominika ścigają. Jest zdrajcą wobec ojczyzny i wyznaczono nagrodę za jego głowę. Zamierzam ją zdobyć.

– Co też pan opowiada? – Józek, nie bacząc na nic, złapał go mocno za rękę. – Był synem

dziedzica. Tutaj w Podhorowie. Bracki w dniu ślubu jego starszego brata najechał na dwór, razem z zaborcami. Wymordowano całą rodzinę. Ocalał tylko Dominik. Bośmy razem pojechali szukać konia, rozumie pan?! – zawołał z rozpaczą.

Do Żalczyka wyraźnie nic nie docierało.

– Co ty pleciesz? Myślisz, że możecie mnie okłamywać? Że jestem taki głupi? Ten twój Dominik zachowuje się, jakby wszystkie rozумы pozjadał, a jest zdrajcą i to takim najgorszym, co współpracuje z wrogiem.

– Jest dokładnie na odwrót – mówił szybko Józek. Zaczął wyczuwać szansę. Może uda się jednak przekonać tego mężczyznę. – To jego skrzywdzono, rozumie pan? Zamordowano mu jednego dnia całą najbliższą rodzinę. Miało to być wesele, żenili najstarszego syna, wszystko przygotowane, tak się cieszyli, dobrzy ludzie... I wszystko się skończyło przez jednego zdrajcę. Siedzi tu teraz na ich majątku i jeszcze ściga Dominika. Opowiada o nim kłamstwa.

– To być nie może! – oburzył się Żalczyk.

– Rozmawiał z nim pan?

– Nie chciał ze mną gadać – odparł niechętnie. – Mówili, że to zbyt możny pan, żeby się ze mną spotkać, ale ponoć jeśli sprowadzę młodego Podhorskiego, to przyjmie mnie na pokojach.

– Nie wątpię – przyznał Józek. – Byłem w chałupie u rodziców. To jedyna nadzieja wszystkich ludzi tutaj, że młodszy syn prawdziwych właścicieli kiedyś wróci. – Głos mu zadrżał. – Z kim pan gadał? – zapytał.

– Tylko z jego sługami – odparł Żalczyk.

– Brackiego? Przecież oni prawdy nie powiedzą – tłumaczył rozpaczliwie Józek. – Niech pan zostanie tutaj jeszcze jeden dzień, pochodzi po wiosce. Ludzie potwierdzą moje słowa. Zresztą wystarczy popatrzeć. Wszystkie daty na tym nagrobku są takie same. Zginęli w tym samym dniu. I tak dobrze, że pozwolili ich pochować, bo podobno Bracki na początku się nie zgadzał.

– Być nie może! – zawołał Żalczyk, który cały czas był bardzo dumny z prowadzonego przez siebie śledztwa. Jego ostatnim punktem była właśnie wizyta tutaj, na grobie rodziców Dominika Podhorskiego. Ponoć i oni współpracowali z zaborcą. Chciał to jeszcze zobaczyć na własne oczy. Pozbierać dane, a potem wrócić, żeby w razie czego mieć co powiedzieć policji, jakby pytali. Ale czuł, że pytać nie będą. Pieniądze w takich sprawach bardzo przyspieszają procedury. Czuł się z siebie taki zadowolony, lecz nagle ogarnął go strach.

– Człowieku! – zawołał Józek. – Chcesz zrobić drugiemu taką straszną krzywdę, to przynajmniej to sprawdź! A co, jeśli się mylisz?!

Rzeczywiście Żalczyk nie pomyślał o tym, żeby popytać jeszcze ludzi w wioskach. Kiedy usłyszał w przydrożnej karczmie, że znają rodzinę Podhorskich, a ich dwór znajduje się niedaleko, popędził konia co sił. Tak się cieszył, że dotarł do celu. Kiedy odnalazł piękny budynek, bardzo zadbane, poprzestał na rozmowie z tamtejszą służbą. Nawet mu nie przyszło do głowy, że mogłaby istnieć inna wersja wydarzeń.

Prawda była taka, że zazdrościł Dominikowi wszystkiego. Jego umiejętności, tej dumy, która wypływała nie z pozycji, ale z prawdziwych umiejętności i sprawiała, że ludzie go szanowali. Wiedział, co powiedzieć i wyraźnie podobał się Juliannie. To ostatnie zabolowało Żalczyka bardzo mocno.

– Niczego nie będę szukał. – Wyszarpnął ramię z ręki Józka. – Odsuń się! – zawołał.

– Nie wierzę – powiedział Józek. – Jest pan dobrym człowiekiem – zaryzykował. – Zrobi pan, co uważa. Ja nie jestem w stanie temu przeszkodzić. Proszę tylko o szansę. Dwa, trzy pytania obojętnie w której chałupie we wszystkich wioskach dookoła dworu. Może pan wybrać, którą chce – starał się mówić pewnym głosem, chociaż rozpacz sprawiała, że usta mu drżały.

Jeśli naślą kogoś na Dominika, na dodatek w dniu ślubu, to będzie coś strasznego! Musiał zatrzymać Żalczyka. Zaczął się już zastanawiać, czy nie użyć jakiegoś podstępu, może go gdzieś zamknąć. Choćby i w tej kaplicy na cmentarzu. Ale drzwi do krypty były zaryglowane i zawiązane łańcuchem. Nie dałby ich rady rozerwać gołymi rękami.

– Proszę! – zawołał. – Do rana można poczekać.

– Ależ ty męczysz. – Żalczyk jednak ustąpił. Czuł się pewien swoich racji, ale faktycznie jego serce nie było do cna zepsute, tylko pełne żalu i wściekłości. Gdyby się pomylił, żałowałby tego. – Dobrze – powiedział. – Zostanę do rana. Skoro jesteś stąd, to może dasz znać, gdzie by tu

przenocować za darmo, bo mnie te gospody wykończą.

– Oczywiście – ucieszył się Józek, że chociaż tyle udało się osiągnąć. – Pójdziemy do mnie. Chata uboga, ale znajdzie się miejsce.

## ROZDZIAŁ 39



Ojciec bardzo się zdenerwował niespodziewanym gościem. Wygnał z kuchni starsze dzieci, opróżnił łóżko. Potem matka dała świeży koc, poczęstowała Żalczyka resztką zupy, kromką chleba i położyli go spać.

Reszta rodziny stłoczyła się w drugim pokoju. Na łóżku nie dało się położyć, tak by się wszyscy zmieścili, siedzieli więc przykryci jedną pierzyną i szeptali do siebie.

– Oby tylko nie sprowadził na nas nieszczęścia – niepokoilią się mama, splatając ręce jak do modlitwy.

Józek wszystko im opowiedział i rozumieli jego decyzję, ale bali się i to bardzo. Najmłodsze dziecko płakało. Nie pomagało przytulanie i kołysanie. Noc zapowiadała się na długą i ciężką. Zasnęli nad ranem zmęczeni troskami.

A kiedy się obudzili, Żalczyka już nie było.

– Święci patroni! – załamał się Józek. – Źle zrobiłem. Gdzie ja go teraz będę szukał?!

– Nawet się nie waż ruszać z miejsca – powiedział ojciec. – Świta, robi się jasno. Ktoś cię może zobaczyć.

– Ale ja muszę jechać! – zawołał Józek z rozpaczą. – On już pewnie gna na Zasławie. Kto wie, ile godzin wcześniej wyjechał niż ja. Trzeba go dogonić. Zdradzi Dominika, sprowadzi na niego żandarmów. – Był naprawdę przerażony.

W tym momencie skrzypnęły drzwi. Do chaty niespodzianie wszedł Żalczyk. Rosa pokrywała mu włosy, buty też miał ubłocone, a nogawki od spodni mokre. Musiał się włóczyć po wsi już dłuższy czas. Usiadł przy stole ciężko, po czym spojrzał na Józka.

– Nie mogłem w to uwierzyć – powiedział. – Ale miałeś rację. Rodzinę Dominika napadnięto i to nie on jest zdrajcą.

Józek poczuł, jak z ulgi kręci mu się w głowie. Dopadł ławy, przysiadł na niej, miał ochotę uściskać Żalczyka, ale tylko przysunął się bliżej.

– To dobrze – powiedział. – To naprawdę dobrze.

Niebezpieczeństwo wyglądało na zażegnane.

– Nie! – Żalczyk podniósł głowę. Po raz pierwszy Józek zobaczył w nim jakieś ludzkie uczucia. Żal, smutek. – Bo ja już wczoraj wieczorem wysłałem mojego towarzysza z wieściami na Zasławie, żeby zawiadomili adwokata, a potem żandarmów i przyszli aresztować Dominika. Akurat pewnie dotrze na czas wesela.

– Nie może być! – Matka Józka zaczęła płakać, a za nią dzieci.

– Trzeba jechać – zerwał się Józek. – Gonić go, zatrzymać.

– Nie ma szans. – Żalczyk spojrzał na niego. – Ma dużą przewagę. Kazałem mu jechać całą noc, dałem mój prowiant, żeby się nie zatrzymywał, żeby zdążył.

Józek zacisnął zęby, potem szybko uściskał matkę i ojca.

– Zrobisz, jak uważasz – powiedział. – Ja przynajmniej spróbuję. – Zerwał się z miejsca i wybiegł z chałupy.

Żalczyk spojrzał na niego i nagle zrozumiał, dlaczego ci dwoje, Dominik i Józek, tak blisko się trzymają. To naprawdę coś wielkiego mieć takiego przyjaciela. Pobiegł szybko za nim. Obaj wyprowadzili swoje konie i nawet już nie zważając na to, czy ktoś ich zobaczy, pędem ruszyli w stronę drogi. Nie mieli żadnych szans. Obaj zdawali sobie z tego sprawę. Jedyne nadzieje to był cud. A tych zdarzyło się ostatnio już kilka. Józek bał się, że limit został wyczerpany.

## ROZDZIAŁ 40



Ignacy Łącki skrył się w gabinecie. W domu panowało coraz większe szaleństwo. Po pierwsze, na wieczór panieński Julianny przybyło mnóstwo młodych dziewcząt. Co dziwne, stanowiły one niespotykaną zbieraninę, ponieważ nikogo nie zapraszano. Nikt też nie korygował listy gości. Zjawiły się więc dziewczęta z wioski, wdzięczne za latami udzielaną pomoc, córki dzierżawców, ale też szlachetnie urodzone panny, nawet z dalekich miejscowości.

Łącki przechadzał się po jadalni, próbując sobie wmówić, że to jest dowód poważania dla jego nazwiska. Ale dziś jakoś nie mógł. Biegły w sztuce łudzenia się, wymyślania różnego rodzaju wymówek dla swojego zachowania, tego dnia słabo sobie z tym radził.

Rano był tu Żyd. Co za okropny człowiek! Nie ma za grosz taktu. Nic nie potrafi, tylko liczyć. Wiecznie gada o tym zeszytce, o cyfrach i długach, a przecież to niemożliwe, żeby tyle się nazybiało w takim krótkim czasie.

Dopiero co pieniądze były spłacone, a teraz znowu z różnych stron Łącki słyszał tylko jedno pytanie: kiedy ureguluje rachunek? A skądże on miał to wiedzieć? Naprawdę ludzie mogliby mieć trochę więcej dobrego wychowania i nie nękać go tuż przed ślubem córki. Nie zawracać głowy takimi głupotami.

Odprawił jakoś Żyda, obiecując, że za chwilę zajmę się tą sprawą, po czym schował się w swoim gabinecie. Czuł, że ten prosty człowiek odbierze jego wypowiedź dosłownie i rzeczywiście znowu się tu zjawi. Ostatnio był coraz bardziej natarczywy. Straszyl żandarmami i nawet licytacją.

Strasne to słowo sprawiło, że Łącki jeszcze bardziej wzmógł swoje działania w kierunku rozruszania jakiegoś interesu, zrobienia czegoś, co w krótkim czasie przyniesie mu ogromny majątek. Ale tutaj wszystko było takie nędzne.

Ludzie dorabiali się latami, wręcz pokoleniami. Skąd miał wziąć tak wielką ilość lat potrzebnych, by zgromadzić odpowiednią kwotę? Czasem się słyszało, że ktoś nagle się wzbogacił, ale to głównie przez małżeństwo. To się niestety w przypadku Julianny sromotnie nie udało. Poszło najgorzej, jak to tylko możliwe. Albo przy grze w karty.

Na taki pomysł wpadł ostatnio, bo ten z wódką zdecydowanie mu nie wypalił. Dlatego Łącki zniknął całymi dniami oraz wieczorami. Na początku nawet szło mu nieźle. Czuł, że wreszcie złapał wiatr w żagle i znalazła się dziedzina, w której jest dobry. Wygrał trzy razy z rzędu. Część z tych pieniędzy natychmiast wydał na trunki weselne, bo choć dworska piwnica była nieźle zaopatrzona, to obawiał się, że to nie wystarczy, by z prawdziwym gestem przyjąć każdego, kto będzie chciał się z nim napić.

Pomyślał, że to nic nie szkodzi, przecież zaraz się odegra, ale w okolicach środy karta się odwróciła. Nie dość, że przegrał tę niewielką kwotę, jaka mu została, to jeszcze się zadłużył. Chciał spróbować ostatni raz, a potem znowu, już naprawdę najbardziej ostatni ze wszystkich. Nie pomógł mu jednak nawet kolejny. Dług się tylko powiększył i sytuacja stała się bardzo nerwowa, a przecież tego musiał ponad wszystko unikać. Miał żonę w ciąży z wyczekany, wymarzony dziedzicem, absolutnie nie wolno było jej teraz niczym stresować.

Chodził więc po bibliotece sam ze swoimi kłopotami i miał ochotę rwać włosy z głowy Jak tu się ratować? Byłby nawet gotów pobiec do Antoniny i błagać ją o radę. Ponoć nie z takich kłopotów wyciągała ludzi. Ale wiedział, co mu powie, że jest sam sobie winien, musi zacząć pracować, oszczędzać, podejmować lepsze decyzje.

Co za głupota!

W czym niby mogłoby mu to teraz pomóc?! Za późno!

Wyglądał przez okno i patrzył na drogę przerażony, że to się naprawdę stanie. Przyjdą po niego, ogłoszą licytację, rodzina straci dom. Nawet nie potrafi sobie tego wyobrazić.



Ściemniło się. Wszyscy już poszli. Został tylko Dominik. Stał oparty mocno dłońmi o pień drzewa, pochylając się nad nim, co wyglądało tak, jakby chciał go gołymi rękami wykarczować. Ale on tylko próbował opanować swoją rozpacz. Najchętniej by się przywiązał do czegoś, bo

inaczej czuł, że nie wytrzyma. Ruszy w drogę mimo wszystko.

Co tam się dzieje? Wyobraźnia przez cały dzień podpowiadała mu dziesiątki różnych scenariuszy. Nagle drgnął. Zobaczył, że ktoś stoi obok. Prababcia Antonina. Podeszła do niego i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Chodź – powiedziała. – Nagotowałam ciepłej zupy.

Spodziewał się innej magii, większego kalibru. Takiej, która naprawdę mogłaby odmienić świat.

– To może mało – odparła, jakby zrozumiała, co pomyślał. – Ale zobaczysz, będzie ci lepiej.

Nie wierzył w żadne jej słowo. Poszedł jednak. Coś bowiem musiał ze sobą zrobić. Wszedł do maleńkiej chatki, usiadł, ledwo się mieszcząc za stołem, i dostał miskę pysznie pachnącej potrawy. Choć miał do takich czarów lekceważący stosunek, to jednak trzeba powiedzieć, że miały swoją moc. Nie mógł się opanować. Zaczął jeść pospiesznie, a każda łyżka wzmacniała jego siłę. Antonina usiadła naprzeciwko niego i wpatrywała się w tego mężczyznę z zadowoleniem. Widziała samo dobro i na chwilę odpędziła wszystkie swoje złe przeczucia.

– Doceniam, że zostałeś dla niej. Ona ci tego nie zapomni. Ja też nie – powiedziała ciepło.

– Wiem. – Odsunął miskę. – Ale tymczasem mój przyjaciel potrzebuje pomocy, może jest w poważnym niebezpieczeństwie – powiedział gorzko.

– Wraca – odparła Antonina z całkowitą pewnością.

– I nic mu nie grozi? – zapytał Dominik. Potrzebował każdej nadziei.

– Jest bezpieczny – przyznała. Wiedziała, że jednak jakieś niebezpieczeństwo się zbliża. Raczej jednak nie dotyczyło ono Józka. To mogła mu obiecać. – Idź spokojnie spać – dodała. – Myślę, że on na rano tu będzie.

Dominik zerwał się uradowany.

– Nawet jak ktoś nie wierzy, to mu się i tak takie rzeczy spełnią? – zapytał jeszcze.

– Owszem. Tu się liczy moja wiara, a nie twoja i Józka. A on daje sobie radę. Masz dobrego przyjaciela.

Dominik się ucieszył. Wrócił do siebie bardzo podbudowany. Gdyby nie rozmowa z Antoniną, te godziny nocne mogłyby być prawdziwym koszmarem. Tymczasem okazały się tak bardzo potrzebnym wytchnieniem.



## ROZDZIAŁ 41



Dzień przed ślubem zastał wszystkich nie najgorzej przygotowanych jak na taki krótki czas. Rano jeszcze Anna Łacka robiła ostatnie poprawki przy sukience, ale kiedy Julianna wreszcie ją włożyła, okazało się, że udało się stworzyć coś naprawdę pięknego. Wyjątkowego.

– Wspaniale wyglądasz – powiedziała, ocierając łzy wzruszenia. Tyle razy wyobrażała sobie tę scenę. Kiedy we dworze rodzi się córka, właściwie od samego początku wszyscy żyją myślą o tym, że kiedyś wyjdzie za mąż, zejdzie po drewnianych schodach w tej wyjątkowej sukience.

A rodzice będą ze wzruszeniem patrzeć na nią i życzyć jej szczęścia. Nie wszystko tutaj działo się tak, jak było zaplanowane, ale dziś Anna postanowiła o tym nie myśleć. Chciała tylko się cieszyć.

– Ale co on na siebie włoży? – zapytała. – Mówisz, że nie chciał za nic ojcowej koszuli ani spodni?

– Nie – powiedziała Julianna. – Tak się oburzył, że nawet nie miałam odwagi drugi raz zapytać. Ale jest mi trochę przykro, choć to przecież nie najważniejsze. Po pracach przy budowie jego ubranie naprawdę marny przedstawia sobą widok. Może mu Walenty coś pożyczy?

– Nie martwmy się tym. – Anna Łacka wykazała się spokojem. – Ważne, co pod ubraniem – roześmiała się, a Julianna była zaskoczona. Mama bowiem nigdy nie pozwalała sobie na takie żarty. – Zobacz, jaki ruch. – Pociągnęła córkę do swojej sypialni, z której okna wychodziły na podwórko dworu.

Faktycznie już dzisiaj ciągle ktoś zajeżdżał albo przychodził. Wyprowadzenie panny młodej miało nastąpić dopiero jutro. Julianna od rana nie widziała Dominika. Miała nadzieję, że w ogóle przyjdzie, że nie wydarzy się nic niespodziewanego. Wprawdzie dał jej słowo, ale przecież był tylko człowiekiem.

Liczyła na to jednak, że się nie złamał, choć niepokój cały czas jej nie opuszczał. Zastanawiała się, jaka pilna wiadomość skłoniła Józka do tego gwałtownego wyjazdu.

– Ale dużo gości – wyszeptła przejęta, wyglądając przez okno. – Tylko taty coś nie ma.

– Szykuje się – odpowiedziała Anna Łacka, próbując ukryć swój niepokój. Rzeczywiście mąż ciągle gdzieś się chował. Potrzebowała go, tymczasem on znikał pod różnymi pretekstami. Oby to wszystko dobrze wyszło. Ludzie gromadzili się tłumnie i powoli zaczynały schodzić dworskie kołaczki, którymi częstowano przybyłych.

Dobrze, że tyle ich przygotowaliśmy – pomyślała Anna. – Nocą dwór będzie pełen ludzi.

Wesela miało nie być, ale i tak zanosilo się na dwa dni świętowania. Ludzie wiedzieli, że głodni z dworu nie wyjadą. Nie przy takiej okazji.



Łacki poszedł daleko w sad. Był już ubrany, gotowy na przyjmowanie gości. Jednak nastrój mu nie dopisywał, strasznie się niepokoił. Nie wiedział, czy ma poważnie traktować ostrzeżenia, że podpadł ważnemu człowiekowi i tego długu karcianego on mu nie podaruje. Żyd niestety odmówił kolejnej pożyczki i teraz Łacki nie miał pojęcia, skąd wziąć pieniądze, żeby to wszystko spłacić. Chciał pójść do żony, ale wypytał ją w nocy kilkakrotnie i powiedziała wyraźnie, że nie ma już żadnej ukrytej biżuterii. Antonina zaś oddała wszystko prawnuczce.

Nikogo więcej choćby odrobinę zamożnego w rodzinie nie mieli. A jeśli ktoś tam z dalekich krewnych kiedykolwiek miał gotówkę, to dawno już był zrażony do Łackiego, który zapewne dawno coś od niego pożyczył i nigdy nie oddał.

Jak to się los potrafi czasem przeciw człowiekowi obrócić.



Łącki uznał, że tym razem się nie wyratuje. A przynajmniej nie tymi metodami, które zna. Wrócił więc do dworu, wybrał trzech najbardziej rośłych parobków i kazał im stanąć przy bramie wjazdowej. Sam poszedł razem z nimi, niby to witać gości, ale tak naprawdę chciał zobaczyć, czy rzeczywiście nie przyjdą żandarmi. Gdyby się pojawili, miał zamiar wymyślić cokolwiek. Jeszcze szczegółów nie znał, ale jakoś musiał opóźnić ewentualne działanie władz do momentu, kiedy ślub

się odbędzie.

Jego wzrok padł na starą owczarnię. Był to długi kamienny budynek wyposażony w mocne drzwi i solidnych rozmiarów piwnicę. Kiedyś trzymano tam sery. Łacki miał taki pomysł, że zaangażuje się w większą produkcję. Stworzy regionalny produkt i będzie go sprzedawał na targu. Wziął nawet parę pożyczek na to konto, ale interes się nie udał. Trzeba było sprzedać owce ze stratą i zamknąć budynek. Owczarnia miała jednak tę zaletę, że wybudowana za cudze pieniądze była naprawdę bardzo solidna.

– Idźcie tam jeszcze dalej, na drogę – powiedział do parobków. – Jeśli zobaczycie kogo obcego, podejrzanego, a zwłaszcza jakiego żandarma, złapcie, zakneblujcie. – Podał im fachowo przygotowane szmatki. – I zamknijcie w piwnicy. W owczarni. Dam wam za to sutą zapłatę – obiecał.

Oczywiście wiedział, że dużo lepiej by było, gdyby coś im teraz wsunął do ręki, wysyłając na taką dziwną akcję. Jednak niczego nie miał. Wyciągnął tylko zza pazuchy butelkę swojej nalewki i tym ich poczęstował. Ta była najmocniejsza, robiona na jarzębinie. Miał nadzieję, że doda im odwagi.

Chciał stać jeszcze dłużej, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Wrócił szybko do domu. Czekało już tam na niego.

Chwilę później przybiegł jeden z parobków i powiedział, że misja wykonana. Dwóch żandarmów i jakiś obcy mężczyzna siedzą zamknięci w owczarni. Złapani z zaskoczenia, ponoć nawet się bardzo nie bronili.

Łacki poczuł ogromną ulgę. Uznał, że sprawa jest załatwiona. Co będzie dalej, to się zastanowi potem.



– Gdzie ty się podziewasz? – przywitała go pani Łacka dość ostrym tonem. Obejmowała się za brzuch, co zawsze go przerażało.

– Jak się czujesz? – zapytał szybko.

– Dobrze – odpowiedziała – ale byłoby mi lepiej, gdybym wiedziała, że jesteś obok.

– Będę. – Podbiegł do niej uśmiechnięty i radosny, jakby udało mu się już rozwiązać wszystkie problemy. – Moja duszko, jutro będzie piękny dzień. Obiecuję ci to.

Dawno nie widziała go w tak dobrym nastroju. Pomyślała, że mogłby być naprawdę wspaniałym człowiekiem, gdyby nie te wieczne problemy z pieniędzmi.

– Wszystko dobrze u ciebie? – zapytała.

– O tak, rozwiązałem pewien problem – pochwalił się, a ona wzięła to za dobrą monetę. Łacki wierzył w to, co mówił. Uznał, że jedna noc w owczarni nikogo jeszcze nie pokonała. Tamci mężczyźni dadzą sobie radę. A potem się zobaczy, to motto życiowe najczęściej się sprawdzało.

– Julianna pięknie wygląda – powiedziała jego żona. – Właśnie poszła się przebrać, miałyśmy ostatnią przymiarkę. Śliczna dziewczyna. Wspaniała.

Miał ochotę zakląć, ale nic nie powiedział. Tak było w sumie ze wszystkim jego interesami. Nieważne, ile miał na początku, jakie asy w rękawie, zawsze źle się kończyło. I córkę wydawał dokładnie tak samo za męża. Ze stratą. Co za los!

Kompletnie nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje.



Józek był bardzo zaskoczony. Różnych rzeczy mógłby się spodziewać po tym dziwnym życiu, jakie mu przypadło, ale nie tego, że będzie gnał ramię w ramię z Żalczykiem połączony jednym pragnieniem: ratować Dominika.

Jechali cały dzień, noc i dzień bez przerwy. Zatrzymywali się tylko na chwilę w gospodach. Żalczyk wpadał do środka, kupował jakąś pajdę chleba, trochę kiełbasy, potem sikali obaj zgodnie gdzieś za krzakami i ruszali dalej.

Wiele nie rozmawiali, nie było okazji, ale kilka słów zamienionych na tych krótkich przystankach pomiędzy kolejnymi łapczywymi kęsami pożywienia, które sprawiedliwie dzielili, pokazało zupełnie inne oblicze Żalczyka. Zgnębnego człowieka, którym targały już teraz tylko wyrzuty sumienia. Świadomego popełnionych błędów.

Wpadli do miasteczka dzień przed ślubem o poranku.

– Może jest jeszcze szansa? – Józek cały czas układał to sobie w głowie.

Liczył szybkość pędu konia, odległość, czas, w jakim pokonali tę drogę z Dominikiem, to, ile potrzebował Żalczyk ze swoim towarzyszem i jak długo pędzili oni teraz z powrotem. Wychodziło im, że jedyna ich nadzieja to złapać żandarmów skoro świt, zanim ruszą do dworu. Była na to szansa.

Wpadli do miasteczka jak dwaj niosący złe wieści ponurzy jeźdźcy, gnając z dużą prędkością, nie oglądając się na nikogo. Adwokata w kancelarii nie było, a Żalczyk nie wiedział, gdzie on mieszka.

Pojechali więc na posterunek. Komisarz przekazał im informację, że wysłał żandarmów razem z adwokatem do dworu Łackich. Zrobił to godzinę temu.

– Szlag by to trafił! – Józek całkiem się załamał. Był bardzo zmęczony, ledwo trzymał się w siodle po tej szaleńczej drodze, a teraz upadła jego ostatnia nadzieja.

– Jedziemy. – Tym razem to Żalczyk wykazał się większą siłą i determinacją. – Może nie wszystko stracone. Pojedziemy tam i powiem, jaka jest prawda.

– Co komu warta twoja prawda?! – odezwał się Józek. Było mu już wszystko jedno, rozpacz ścisnęła mu serce. – Słowo przeciwko słowu. Żandarmi ci nie uwierzą. Tym bardziej że Dominika naprawdę poszukują i jest nagroda za jego głowę.

– Co mogę zrobić? – zapytał Żalczyk. Czuł się cholernie winny.

– Nie wiem. Musiałbyś im zapłacić. – To jedyne co przyszło Józkowi do głowy.

– Ale ja już nic nie mam – oburzył się Żalczyk. – Nie zadłużę się przecież jak Łacki. Cała gotowizna już mi poszła.

– No to się nie uratujemy – załamał się Józek.

– Poczekaj. Nikt na komisariat nie wrócił. Może jest jeszcze czas? – próbował go uspokajać Żalczyk, ale minę miał równie nietęgą. Wypytywali po mieście, czy ktoś nie widział żandarmów, ale oprócz mleczarki, która wskazała kierunek prowadzący do dworu na Zaslaviu, nikt niczego nie zauważył.

Żalczyk walczył ze sobą. Historia Dominika zrobiła na nim ogromne wrażenie. W jego rodzinie też przeżyto niejedną tragedię, zginęło kilka osób w różnych złych okolicznościach. Gdyby mieli szansę urodzić się w czasach pokoju, pewnie cieszyliby się rodziną, swoimi planami, pracą, ale okrutny los nie dał im na to szansy.

Już jako dziecko słyszał opowieści rodziców i nigdy nie przypuszczał, że kiedyś sam przyczyni się do tego, że jego rodak zostanie skrzywdzony. Tyle się opowiadało o zdrajcach, którzy nie mieli sumienia i dla własnych korzyści kolaborowali z władzą. Zawsze nimi pogardzał, a teraz w jakimś zamęcie wydarzeń z powodu okoliczności, których nikt by się nie spodziewał, sam znalazł się w takiej sytuacji. Jako ten, który miał sprowadzić żandarmów na niewinnego człowieka.

No dobrze – pomyślał wreszcie i wziął się w garść. – Za grzechy trzeba płacić.

Miał jeszcze na strychu jedną skrytkę. W starej belce wydrążona była dziura i tam znajdowały się ojcowe monety. Poprzysiągł, że nigdy ich nie ruszy. Były zebrane na to, że gdyby kiedyś dom wymagał remontu, to któryś z jego potomków będzie mógł to zrobić. Oszczędzały na tę okoliczność trzy pokolenia.

Zdarzało się oczywiście naruszać część tego kapitału, kiedy ktoś wymagał pilnego rachunku, ale czyniono to zawsze niechętnie. Po ostatnim razie, kiedy Żalczyk musiał wykupić swojego ojca z aresztu i zapłacić całkiem sporą sumę, przysiągł sobie, że więcej już tam nie zajrzy. Ale co było zrobić?

– Szukaj ich – powiedział do Józka. – Ja pojedę na chwilę do siebie, mam pilną sprawę, może jednak znajdę jakieś pieniądze. Spotkamy się przy bramie u Łackich. Gdyby przyjechali, zatrzymaj ich, jakim tylko chcesz sposobem. Mnie nic do głowy nie przychodzi.

Józkowi też nie, ale i tak pognął w tamtą stronę. Co innego pozostało?

Żalczyk skierował się do domu w zupełnie innym nastroju, niż gdy stąd wyjeżdżał. Smutny i przygnębiony, ale jednocześnie wreszcie spokojny.

Ta podróż wyleczyła go z targającej nim choroby, opętania na tle panienki Łackiej. Przestał też tak bardzo nienawidzić Dominika i wszystkiego mu zazdrościć. Świadomość, że ma przed sobą człowieka tak mocno dotkniętego przez los, nieco naprostowała jego spojrzenie.

Wszedł do domu i uświadomił sobie, że znów dzieci wybiegają ku niemu, a on nie ma dla nich czasu i że to jego życie przez pragnienie osiągnięcia kolejnych coraz lepszych rzeczy straciło wszelki sens i wszystko to, co do tej pory było dobre.

Zobaczył smutne oczy swojego najstarszego syna i zatrzymał się na chwilę. Wiedział, że czas ma znaczenie, ale teraz patrzył na pewne sprawy trochę inaczej. Nie wyobrażał sobie, że mógłby go stracić, że mogłaby ich dotknąć taka tragedia, jak rodzinę Podhorskich. Podeszedł do niego i uścisnął go.

– Ostatni raz jadę – obiecał. – Naprawdę na krótko. I wrócę do domu jak najszybciej. – Spojrzał mu w oczy i zobaczył brak zaufania, niepewność. Dziecko, które kiedyś traktowało jego słowa jak wyrocznię, teraz najwyraźniej zmieniło zdanie.

Uścisnął go jeszcze raz mocno, potem młodszą córkę i jednego jeszcze synka. Zaraz potem pobiegł szybko na strych. Dłużej nie mógł zwlekać, musiał załatwić tę sprawę.

– Niech to się wreszcie skończy – wyszeptał. – W co ja się wplątałem?!

Rozejrzał się, czy nikt go nie widzi, a potem podeszedł do tej ostatniej szczególnej belki, nacisnął deseczkę i włożył rękę do skrytki. Przez moment wystraszył się, że coś się wydarzyło, został okradziony, ale nie. To tylko fakt, że monety znajdowały się już na samym dnie. Ledwo, ledwo wyciągnął kilka dla dwóch żandarmów oraz adwokata. Zaborcy zasadniczo byli okrutnymi ludźmi, ale mieli jedną zaletę: niestychanie łakomym wzrokiem spoglądali na wszelkie pieniądze i w ten sposób można było z nimi sporo załatwić.

Wypadł znowu jak wiatr i przypomniało mu się, co kiedyś mówiła Antonina, że człowiek godny zachowuje się spokojnie. Musiał do tego wrócić. Jego rodzina nie zasługiwała na taki los. Ojca wariata, który szalał po polach, uganiał się za jakąś panną, gotów nawet do tego, by ją porwać.

Złapał się za głowę, nie mogąc uwierzyć, jak nisko upadł. Aż puścił lejce, a koń się spłoszył. Całe szczęście, że go nikt nie złapał, a Dominik o tym nie opowiedział. Dotrzymał słowa. Musiał mu się jakoś odwdzięczyć i nawet już wiedział jak.



Józek stał pod bramą wejściową do dworu. Bardzo chciał pojechać do Dominika, dać mu znać, że już jest, ale nie mógł opuścić posterunku. Cały czas panicznie się zastanawiał, co robi, jeśli faktycznie zobaczy tych żandarmów. Przecież ich nie zwiąże ani nie zamknie.

Sam był wobec nich bezradny.

Spoglądał co rusz w stronę starej owczarni. Idealnie nadawała się do tego, by kogoś tam przechować, ale przecież sam nie wepchnie do niej trzech dorosłych mężczyzn, nie zarygluje drzwi. Nie mógł też poprosić o pomoc Dominika, a nikt inny dostatecznie zaufany nie przychodził mu do głowy. To się musiało odbyć dyskretnie, bardzo dyskretnie.

Koło dworu kręciło się sporo osób. Przybywali jacyś goście z dalszych stron i w zabudowaniach folwarcznych zaczęła się rozbijać służba. Nikogo jednak ze znajomych nie widział. Denerwował się coraz bardziej. Zmęczenie też dawało mu się we znaki.

Czy los nie mógłby się okazać łaskawy chociaż raz i zesłać jakiegoś zrzędzenia opatrności, które by ich teraz uratowało?

Najbardziej bał się, że jest już po wszystkim. Nie było nawet kogo zapytać.

Ale kiedy spoglądał w stronę domu bielącego się pomiędzy drzewami, nie widział oznak rejwachu ani przejęcia. Wszystko zdawało się płynąć swoim rytmem.

Kiedy po godzinie zauważył jadącego na koniu Żalczyka, miał ochotę go uściskać. No do prawdy czegoś takiego nigdy by się nie spodziewał,

– Jest pan! – zawołał. – Wreszcie. Tu na razie spokój.

Wtedy też w okolice bramy wjazdowej przybył Walenty. Stał kilka metrów dalej zdziwiony bardzo tą szczególną komitywą. Ale przede wszystkim ulżyło mu, że widzi konia i Józka. W tej dokładnie kolejności. Przysunął się bliżej, bo sytuacja była zdecydowanie ciekawa.

– Jedź, odprowadź konia – usłyszał głos Żalczyka. – Daj też znać Dominikowi, że jesteś i o wszystko dyskretnie wypytaj. Tylko pary z gęby nie puść, co się wydarzyło.

Józek kiwnął głową. Na nic więcej nie miał siły.



Żalczyk stał przy bramie do dworu aż do wieczora. Zaczynało się już ściemniać, kiedy stracił nadzieję. Wiedział, że żandarmi wyjechali rano z miasteczka. Do dworu jednak najwyraźniej nie dotarli. Józek przekazał mu wieści, że przygotowania do ślubu toczą się w miarę spokojnie. Nikt nie szukał Dominika.

Co się mogło wydarzyć po drodze i dlaczego nie niosła się po okolicy w tej sprawie żadna plotka? Żalczyk zachodził w głowę, ale nic nie zdołał wymyślić.

Z kilkoma osobami zdążył się przywitać. Jechali do dworu. Nic nie wspominali o żadnym wypadku po drodze ani innych komplikacjach. Dwóch zaginionych żandarmów i adwokat. Za chwilę ktoś w tej sprawie będzie musiał podnieść alarm. Czekał na to, ale żadne wieści nie nadchodziły.

Stawiał duże kroki, maszerując tam i z powrotem w okolicach bramy, i coraz więcej osób zaczynało zwracać na to uwagę. Komentowali jego dziwne zachowanie. Usunął się więc między drzewa, potem jeszcze dalej, żeby tak nie rzucić się w oczy.

Kiedy całkiem już się ściemniło, zobaczył coś dziwnego. Otóż z dworu przedzierał się przez sad i wysokie chaszczki w tylnej części ogrodu sam gospodarz, jakby nie mógł po prostu iść główną drogą. Coś ścisnął mocno w rękach i chował pod kaftanem. Szedł w stronę starej owczarni.

Żalczyk schował się głębiej w krzaki i patrzył dalej zafascynowany. Czuł, że może to jest trop, którego od rana wypatruje.

Łącki podszedł do tej budowli, uchylił drzwi i wszedł do środka, coś niosąc. Żalczyk ruszył za nim. Aż mu się gorąco zrobiło. Wpadł do starego kamiennego budynku, zaskakując kompletnie Łąckiego. Zobaczył, jak dziedzic na Zasławiu przez wąską szparę w podłodze wsuwa jakieś zawiątko, a na dole jęczą zakneblowani ludzie.

– Coś ty zrobił?! – krzyknął na niego, a potem pchnął go z całej siły pod ścianę. Odsunął deskę i zobaczył, że na ziemi w piwnicy, zgodnie z jego przypuszczeniami, leży zakneblowany adwokat oraz dwóch żandarmów. Szybko zasunął deskę, a potem na niej stanął, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. – Coś ty zrobił?! – powtórzył. – Oszalałeś? Tak bardzo lubisz Dominika? Tyle jesteś dla niego w stanie zaryzykować?

– Dla niego? Czyś ty rozum postradał? – zdumiał się Łącki. – To nie ma z nim nic wspólnego. To moje sprawy.

– Jakie twoje?! – krzyknął Żalczyk – Ja wynająłem tego adwokata. Sam mu zapłaciłem.

– Ty? – Łącki cofnął się o kilka kroków. – Co cię obchodzą moje długi? Mścisz się? Mało ci jeszcze kłopotów, jakie przez ciebie spadły na moją rodzinę?

– Na litość boską! Czyś ty zmysły postradał? – Żalczyk nie rozumiał. – Ja nic nie wiem o twoich długach! To znaczy wiem, każdy wie, ale nie nasłałbym na ciebie adwokata! – Na dole rozległy się jakieś jęki, mężczyźni próbowali zwrócić na siebie uwagę. – Zaraz! – krzyknął do nich Żalczyk. – Zaraz wam pomogę. Czemu żeś ich tu zamknął, na litość boską?! – Popatrzył na Łąckiego. – A może dzięki Bogu? – Zaczął rozumieć, że zawdzięczają ratunek osobie, po której najmniej by się tego spodziewali.

– Przyniosłem im jedzenie, żeby mi tu nie umarli – tłumaczył Łącki bezradnie. Zaczynało do niego docierać, że zaszła jakaś pomyłka.

– I co? Jak długo ich zamierzałeś trzymać?

– Nie wiem. – Łącki rozłożył ręce.

– Z nas dwóch to tacy spiskowcy, że daj Boże.

Łącki wzruszył ramionami.

– Oni nie przyszli po ciebie. To moi żandarmi – wytłumaczył mu Żalczyk.

– Nie po mnie? – zdumiał się Łącki.

– Ale nie ma się z czego cieszyć – dodał cicho. – Trzeba ich teraz wypuścić, oporządzić i ułagodzić na tyle, żeby nie złożyli skargi. Wiesz, co ci grozi za taką napaść?

Łącki postanowił sobie, że już nigdy w życiu nie zada sobie pytania, czy jeszcze może być gorzej. Za nic w świecie nie będzie się nad tym zastanawiał. Miał bowiem wrażenie, że ostatnio każdą taką myślą prowokuje los do udowadniania mu, jak wiele ma fantazji. O, tak. W miękkich nogach, które nagle oblało gorąco, czuł dokładnie, co może się wydarzyć. Co władza zrobi z człowiekiem napadającym na jej przedstawicieli.

– Nic już nie mam – powiedział, domyślając się od razu, że przekupstwo jest jedynym ratunkiem. – Chyba że odbiorę ostatniej naszyjnik własnej córce tuż przed ślubem...

– Nie trzeba. – Żalczyk wyciągnął pieniądze z kieszeni. – Przyniosłem trochę grosza. Może to pomoże. A jak nie, to trzeba będzie potem jeszcze raz zapłacić.

Z dołu znów usłyszeli pojękiwania. Nie wiedzieli, czy to na znak protestu, czy też zgody na przyjęcie większej ilości pieniędzy. Bo ostatnie słowa wypowiedzieli głośniejszym głosem, emocje ich poniosły.

– Powoli – powiedział Żalczyk. – Zaczniemy od adwokata.

Odsunęli deski i weszli do piwnicy. We dwóch odwiązali starą szmatę z ust mężczyzny, a on natychmiast zaczął pluć, charczeć i się wściekać.

– Wiesz, co ja wam zrobię, wiesz?! Jak mogłeś?!

Już sam nie wiedział, do kogo powinien mieć większą ilość pretensji: do głupiego Żalczyka czy równie beznadziejnego właściciela dworu.

Żalczyk wręczył mu monetę.

– Pierwsza rata – powiedział, chociaż doprawdy nie miał pojęcia, w jaki sposób spłaci kolejną. – Przepraszam. Cała sprawa jest odwołana. Pomyliłem się. Posłaniec przyniósł złą wiadomość. To nie ten mężczyzna. Bardzo was przepraszam – zaczął mówić też w stronę żandarmów. Zanim ich rozwiązał, pokazał monety, które dla nich przeznaczył. – Jeszcze raz przepraszam – mówił, a Łącki stał koło niego i kłaniał się w rytm jego słów, jakby chciał podwoić ich znaczenie.

– Pomyliliśmy się obaj. To wielka pomyłka. Ogromna – kajał się Łącki.

– Ten mężczyzna, zdrajca, pojechał do zupełnie innej wioski daleko stąd – wyjaśniał jednocześnie Żalczyk. – Dominik jest niewinny. Żałuję, bardzo żałuję.

– Ja też żałuję – dodał Łącki, chociaż pojęcia nie miał, o co chodzi i czemu Podhorski mógłby być winny, ale udzielił mu się nastrój. A ponieważ właściwie zawsze miał za co przepraszać, wykorzystał więc tę szansę i giął się w pokłonach.

Nie bardzo to pomagało, zatrzymani mężczyźni byli wściekli.

– Przyniosłem wam koszyk posiłków z weselnym jedzeniem. – Łącki szybko pokazał pakupek.

– No, zapakowałeś im od serca. – Żalczyk zajrzał do środka i poczuł, jak burczy mu w brzuchu. Wręczył pieniądze dwóm żandarmom, po czym pomógł im wspiąć się po drabinie, nogi im bowiem nieco zdrętwiały od tego leżenia. – Bardzo przepraszam, błagam o wybaczenie.

Wciąż byli źli. Nieśli jedzenie w objęciach, w dłoniach ściskali monety i chyba potrzebowali czasu do namysłu. Wielką bystrością nie grzeszyli. Całe szczęście, że Żalczyk od razu uciekł się do tego ponadczasowego argumentu, jakim były pieniądze. Dotyk chłodnego metalu z pewnością nieco studził ich rozgrzane głowy.

– Pomyślimy – powiedzieli, ale poszli w miarę spokojnie w swoją stronę.

Adwokat tylko prychnął i ruszył za nimi.

– Odwiozę was – zaproponował szybko Łącki. – Bardzo proszę chwilę poczekać.

Pobiegł szybko w stronę dworu, jakby był zwykłym sługą, i mijając krzątających się po sadzie ludzi, dopadł do stajni. Kazał zaprzęgać konia oraz powóz i natychmiast jechać w stronę owczarni. Walenty stwierdził, że panu to już całkiem klepki się w głowie pomieszały, ale posłusznie wykonał polecenie.

## ROZDZIAŁ 43



Antonina dostrzegła dziwne zamieszanie w okolicy owczarni. Jakichś obcych mężczyzn odjeżdżających powozem w stronę miasteczka, co o tyle było dziwne, że dzisiaj żyw i umarły kierował się raczej w stronę dworu.

Nawet nie chciała myśleć, w jaki sposób Łącki chce to wszystko ogarnąć. Ludzie chyba będą koczować w ogrodzie, bo przecież nawet w stajniach i stodole nie znajdzie się tyle miejsca. A jutro nadjadą kolejni.

– Julianna będzie miała piękny ślub – powiedziała, dochodząc do szopy, w której sypiał Dominik. Czekala go tu jeszcze jedna ostatnia noc. – Coś ci przyniosłam – dodała, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi. – Niegodnie byłoby, żebyś stanął u boku mojej prawnuczki byle jak ubrany. Przyniosłam ci koszulę i spodnie. Pierwszy raz w życiu wzięłam u Żyda coś na zeszyt, no, ale nie chciał nalewki ani lekarstw.

Dominik się uśmiechnął.

– Bardzo dziękuję – powiedział, po czym odstąpił na chwilę koc, pod którym sypiał. Antonina zobaczyła cztery komplety ubrań. Dominik westchnął. – No sam przecież wiedziałem, że tak być nie może. Ja zapożyczyłem się z kolei u Walentego. Na takich warunkach, że do końca życia będę spłacał, a on, póki mu starczy tchu, będzie mi wypominał, że w najtrudniejszej sytuacji podał rękę. Oprócz tego gospodyni przyniosła rzeczy swojego męża, ktoś mi też podrzucił pakunek, sam nie wiem kto. Może Julianna? Nie chciała, żeby jej narobić wstydu, chociaż mówiłem, że nie potrzebuję. Albo jakaś inna życzliwa dusza. No i jeszcze Józek załatwił mi jedną koszulę we wsi, podobno od kogoś pożyczył.

– Pięknie – uśmiechnęła się Antonina. – Masz wielu życzliwych ludzi wokół siebie. To ładny symbol w przededniu ślubu.

– O tak – odparł. Sam był trochę zaskoczony.

Antonina poklepała go po ramieniu. Nie był to szczególnie romantyczny gest, ale Dominik odebrał go jak przyjęcie do rodziny. Spojrzałam mu w oczy w nadziei, że jednak stanie się cud, coś się odblokuje, a ona zobaczy przyszłość. Upewni się i będzie mogła spokojnie cieszyć się tym świętem. Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

Ma ładne oczy – tyle zdołała stwierdzić. Wyszła więc, zostawiwszy go w spokoju, żeby się przygotował.



## ROZDZIAŁ 44



Wesele Julianny i Dominika było największym i najbardziej hucznym, jakie do tej pory wyprawiono w okolicy. Tłum otaczał kościół ze wszystkich stron. Potem goście bawili się w sadzie. Niektórzy siedzieli przy naprędcie zbitych ławach, a inni po prostu na trawie, rozłożywszy tam derki od koni albo własne wierzchnie ubrania.

Jedzenia nie było jednak zbyt wiele, choć Łacki naprawdę na tę okoliczność zadłużył się po uszy. Ale takiej ilości biesiadników nawet on nie przewidział. Dlatego po północy goście zaczęli się rozjeżdżać.

Nikt jednak nie ruszał w drogę głodny. Wszyscy składali młodemu szczere życzenia.

– Dostaliśmy tak dużo prezentów – wyszeptała Julianna do mamy. – Nie spodziewałam się.

– To fakt – przyznała pani Łacka, sama mocno zaskoczona. – Dużo więcej, niż gdybyś bogato wychodziła za męża. Ludzie wiedzą, że zaczynasz od zera. To każdy rozumie. Widać złapałaś ich za serca.

– Może... – Julianna pokręciła głową.

– Jednego na pewno – uśmiechnęła się pani Łacka, spoglądając w stronę Dominika.

To fakt. Jedno z marzeń panienki Łackiej już się spełniło. Kiedy schodziła w swojej pięknej sukience ze schodów, Dominik stał, patrząc na nią oczarowany. Wprawdzie buty mu z nóg nie spadły, ale i tak mocno nim wstrząsnęło. Pięknie wyglądała, wspaniale.



– No i gdzie ten skandal? – zapytała pani Jackowska swojego syna, kiedy wyjeżdżali bryczką z dworu. Opuścili wesele jako jedni z pierwszych. Napatrzyli się i teraz chcieli w spokoju omówić wszystkie nowinki. Chłopak tylko wzruszył ramionami. Nie znał odpowiedzi.

Odezwała się natomiast jego kuzynka. Siedziała naprzeciwko ciotki, godnie, jak przystało na młodą mężatkę, dumną ze swojej nowej pozycji.

– Tak to właśnie jest – powiedziała, wysoko podnosząc głowę. – Ludzie poświęcają życie, bo boją się opinii innych, a potem się okazuje, że nikt się tym nie przejmuje. Osądy szybko się zmieniają, a w ogóle tak naprawdę to każdy interesuje się głównie sobą.

Jackowska przyjęła te słowa ze zdumieniem. Młoda mężatka miała rację. Żyli tu wszyscy złapani za gardło przez strach, co na ich temat powiedzą inni. Wydawali szybko córki za męża, podejmowali pochopne decyzje, ukrywali tajemnice, przeżykali w samotności łązy, byle tylko nikt się nie dowiedział.

Tymczasem panienka Julianna wykazała się odwagą i co się okazało? Znalazła perłę w kaszy. Podobno ten cały Dominik był jakimś dworskim synem. Szczegółów nikt nie znał, ale plotka już poszła.

Na dodatek przystojnym i mądrym. Jackowscy odjeżdżali stamtąd, myśląc o szczęściu młodych i zastanawiając się, jak ta historia potoczy się dalej.

## ROZDZIAŁ 45



Julianna ani trochę się nie zmartwiła, że wesele tak szybko się skończyło. Normalnie goście okupowaliby dwór pewnie ze trzy dni. Niektórzy zostaliby na dwa tygodnie, a najwytrwalsi nawet i miesiące. Jednak każdy widział, że jedzenie naprawdę się skończyło. Wyczyszczona spiżarnia i puściuteńka kuchnia nie pozostawiały żadnych złudzeń, a plotka, że Łącki jest już tak zadłużony, iż nic więcej nie dostanie, zdążyła się roznieść po okolicy.

Zaczęli się więc pakować i zawijać do własnych domów, każdy zadowolony, że jednak tu był i widział tę niesamowitą scenę, kiedy parobek wyszedł z szopy, poprowadzony przez swojego towarzysza, również sługę, wszedł do dworu, po czym przywitał się z dziedziczką. Pocałował ją w policzek i w dłoń, a potem poprowadził do udekorowanej kwiatami bryczki. Razem pojechali do kościoła.



Julianna była szczęśliwa. Nie chciała teraz myśleć nawet przez chwilę, co będzie dalej. Jakie niespodzianki los dla nich szykuje.

Czekała wyłącznie na ten moment, kiedy wreszcie będą sami. Matka wyszykowała dla nich jeden z pokoi we dworze, nikt bowiem nie traktował poważnie buńczucznych zapowiedzi Dominika, że przed świętami wprowadzi żonę do własnego domu. Choć tempo jego prac budowlanych było naprawdę imponujące.

Przez moment Julianna miała wrażenie, że Dominik – zajęty rozmawianiem z gośćmi, dbaniem o jej dobry nastrój oraz całym przebiegiem wesela – zapomni w ogóle o tym, że się ożenił i właśnie czeka ich noc poślubna. Wyraźnie się spłoszył, kiedy po północy powiedziała mu, że czas już iść.

Ale objął ją za ramiona i poszli sami.

To wesele miało dość nietypowy przebieg. Nikt ich nie odprowadzał, oszczędzono im więc sprośnych pieśni i niezbyt mądrych okrzyków.



Dominik postanowił, że od tej pory będzie patrzył tylko przed siebie i na tym się skupi. Zostawi przeszłość ze sobą i o niej zapomni. To postanowienie stało się szczególnie silne, kiedy pocałował Juliannę, pogłaskał jej miękkie włosy i mocno do siebie przytulił. Był szczęśliwy. Łatwo było teraz zapomnieć o tym, co za sobą zostawił.

Jednak przeszłość nie zapomniała o nim.